Rozkład lewicy ▪ Student walczy o dom ▪ Iran–Izrael: równowaga strachu
Jak wierzą faceci ▪ Wyścig z grypą ▪ Powrót smoka Diplodoka ▪ Mit Stańczyka

Kraków 9 – 15 października 2024 nr 41 (3927) cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Wikipedia rządzi światem

Kto rządzi Wikipedią

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

Historia, która domagała się, by ją opowiedzieć. Największe literackie zaskoczenie tej jesieni!

Jakub Jarno

Światłoczułość

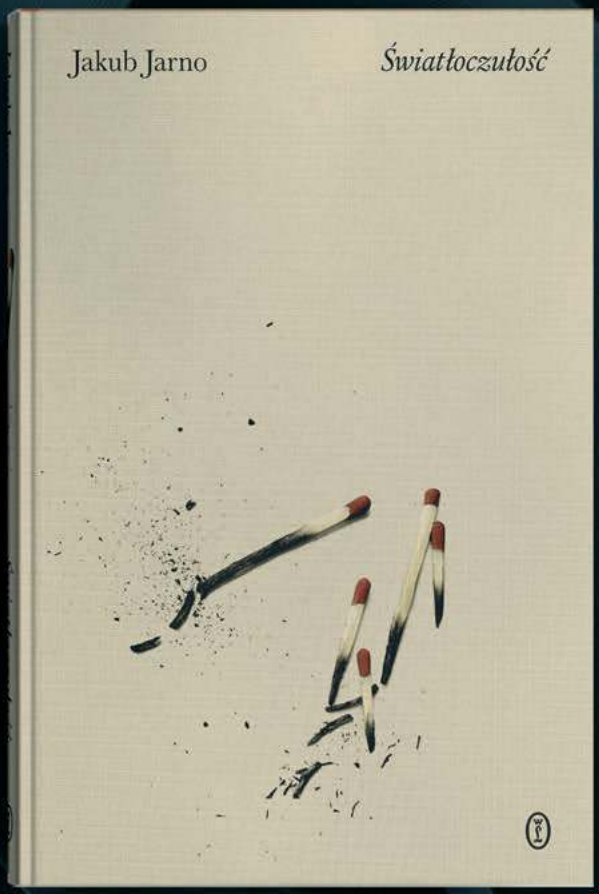

„To pasjonująca książka, w której splatają się, a czasem plączą, losy, perspektywy i języki. Historia zbiorowa i jednostkowa, miłość i okrucieństwo, tęsknota i rozpacz – z tych składników Jakub Jarno układa przejmującą i piękną opowieść o roli, jaką w życiu odgrywa przypadek, a może przeznaczenie. Poza wszystkim – nie sposób się od tej opowieści oderwać. Bardzo polecam".

Tomasz Stawiszyński

poleca WYDAWNICTWO LITERACKIE

patron medialny RADIO NOWY ŚWIAT

REKLAMA

KS. ADAM

Boniecki: *Mężczyźni w moim życiu*

Mężczyzna? W dodatku wierzący? Z czym mi się to właściwie kojarzy? Najważniejsze są pierwsze wspomnienia, szczególnie – ojca. Był kimś bardzo mi bliskim, a jednocześnie dalekim. Nie wiem, jak to dziś opisać, bo dziś (we wspomnieniach) zwykle jest inaczej. Widywaliśmy go codziennie rano. Przychodziliśmy – ja i mój o półtora roku młodszy brat – rano do pokoju rodziców. Potem widywaliśmy ojca na obiedzie – to już wiek późniejszy, bo jeszcze jako całkiem mali jadaliśmy osobno. Był kimś bliskim, miał czas na rozmowę ze mną. Zaprosił mnie kiedyś do salonu i odbyliśmy poważną rozmowę o... chodzeniu po stole. W jadalni, odchodząc od stołu (wcześniej niż dorośli), zawsze całowaliśmy w rękę oboje rodziców. Nie zamartwiał się, przynajmniej nie okazywał zmartwienia, choć pewnie nie było mu lekko, kiedy Niemcy wyrzucili nas z domu i majątku. Wtedy przeprowadziliśmy się do większego domu i majątku, który został mi zapisany w spadku. Śladem panującego wtedy nastroju, prawdziwego, czy raczej podtrzymywanego sztucznie, są podpisy (zabawne) pod zdjęciami z przeprowadzki. Zamieszkaliśmy w dużym pałacu, który z czasem stał się w latach okupacji przystanią dla wielu ludzi.

Uratował się od rosyjskich aresztowań dzięki pozbyciu się dystynkcji oficerskich. Z frontu wrócił jakimś cudem do domu. Gospodarował, był zaangażowany w ruch podziemny, wspierał go, lecz nie walczył. Odpowiadał za rodzinę. W styczniu 1944 r. został aresztowany i po kilku dniach rozstrzelany. Niebawem straciliśmy wszystko. Wyrzuceni z domu, zdani na siebie. Postacie brata mojej mamy i (zwłaszcza) stryja, brata mego ojca, są w tym długim i smutnym okresie, który potem nastąpił, ważne. Wspierali nas, moją matkę z pięciorgiem małych dzieci. Stryj poczuwał się do roli wychowawczej przynajmniej wobec nas, chłopców, od czasu do czasu. Można by o tym wiele... Był dla nas ważny.

Szukałem w życiu, coraz bardziej dorosłym, rad życiowych od mężczyzn. Wstąpiłem do zakonu, siłą rzeczy wokół byli starsi i mądrzy faceci. Ale teraz, gdy patrzę na życie z perspektywy lat, widzę, że ludzi, którzy rzeczywiście pomagali mi podjąć jakąś decyzję, było niewielu. Piszę o tym bez żalu, bo dzięki temu decyzje podejmowałem sam, na własny rachunek. Rzeczywistych doradców życiowych miałem kilku: Stryj Andrzej, ks. Bronisław Bozowski, Jerzy Turowicz, biskup Jan Pietraszko, to jedyne postacie, które wymieniam bez namysłu.

Pisanie o mężczyznach, którzy odegrali ważną rolę w moim życiu, szczególnie tym religijnym, jest jednak trudne, bo nie widzę jasnego odgraniczenia ich od kobiet. Ważna rola to co innego niż emocje. Ważna rola odegrana w moim życiu to coś, co jest (chyba) ponad podziałami na męskie i żeńskie.

O mężczyznach (jak i kobietach) wiele mogę powiedzieć jako ksiądz, który całe życie spotykał się z ludźmi. Nie wchodząc w szczegóły, by nawet mimo woli nie naruszyć dyskrecji, powiem, że w najgłębszej warstwie nie widzę wielkiej różnicy. Oczywiście kobiety na ogół są o wiele bardziej szczegółowe. To pewnie wynika z otwartości, potrzeby podzielenia się tym, co przeżyły. Mężczyźni (na ogół) są bardziej lakoniczni. Jest moment, który szczególnie wymaga od księdza szacunku dla człowieka, z którym rozmawia. Bo ważność spowiedzi nie zależy od jej szczegółowości. Tylko samo wyznanie grzechów i postanowienie poprawy powinny być jasno wyrażone. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego”

RYS. ZUZA KARDYŚ // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Numer, który właśnie do Państwa trafia, różni się nieco od tego, który sobie zaplanowaliśmy: jeszcze w piątek późnym popołudniem zakładaliśmy, że korespondencja **JAGODY GRONDECKIEJ Z BEJRUTU** – otwierająca Obraz Tygodnia – znajdzie się w dziale Świat.

Odsłonię kulisy: większość stron wydania papierowego wysyłamy do drukarni piątkowej nocy, a pozostałe w poniedziałek. Na tekst z Libanu czekaliśmy do ostatniej chwili, jednak wywołane bombardowaniami przerwy w dostępie do internetu sprawiły, że nasza Autorka nie mogła oddać go w terminie; w internecie opublikowaliśmy go w sobotę, a zawartość działu Świat zmieniliśmy.

Piszę o tym nie tylko po to, żeby docenić niewidzialną często pracę redakcji, fotoedycji, korekty i składu. W pierwszej kolejności chciałbym wspomnieć o współpracujących z nami korespondentach. Myślę, że siłą redagowanego przez **WOJCIECHA PIĘCIAKA** działu jest sieć autorów opisujących – jak towarzysząca uciekinierom na bejruckiej plaży Grondecka – wydarzenia, które widzą na własne oczy. Ale myślę też o cenie, jaką czasem za to płacą...

W tym numerze znajdą Państwo relację **ŁUKASZA GRAJEWSKIEGO** z Berlina i rozmowę, którą przeprowadziła w Kijowie **MONIKA ANDRUSZEWSKA**. Tłumaczący zawiłości konfliktu bliskowschodniego **ŁUKASZ FYDEREK** i piszący o Kaukazie **WOJCIECH JAGIELSKI** również doskonale znają regiony, które przybliżają Czytelnikom. Nie ma numeru „TP", w którym brakowałoby takiego spojrzenia z najbliższej perspektywy. Korespondenci wojenni (oprócz Andruszewskiej na Ukrainę jeżdżą Antonina Palarczyk i Paweł Pieniążek) spotykają się tu z wysłannikami redakcji w miejsca gorące z innych powodów: **NA RZYMSKIM SYNODZIE** są Zuzanna Radzik i Edward Augustyn. Po sejmowych korytarzach krąży Piotr Śmiłowicz, z terenów powodziowych wrócił Marek Rabij. To wszystko „potrzebne źródła", czasami jak pokazuje w Temacie Tygodnika **ŁUKASZ LAMŻA** – bardziej potrzebne niż Wikipedia.

„Lubię się zmęczyć, lubię, kiedy droga sprawia mi trudność, lubię się ubrudzić, zgubić w lesie i w błocie. A potem niespodziewanie wyjść na otwartą przestrzeń. To niezwykłe momenty uderzenia rzeczywistości" – mówi w moim ulubionym materiale z tego numeru **GRZEGORZ BOGDAŁ**. „Rzeczywistość" to w ogóle moje słowo numeru. ©℗

MICHAŁ OKOŃSKI
REDAKTOR PROWADZĄCY

Redaktor wydań specjalnych „TP", autor książek o futbolu, laureat nagrody Grand Press w kategorii publicystyka i Nagrody im. Mariusza Waltera w kategorii Sport w mediach.

32 Synod pełen zagadek
EDWARD AUGUSTYN
Wielu zaangażowanych katolików wciąż wierzy w to rzymskie spotkanie. Pokłada w nim nadzieje większe niż w papieżu.

41 Watykan w kordonie
ZUZANNA RADZIK
Znów jesteśmy w Rzymie razem: organizacje na rzecz kapłaństwa kobiet, diakonatu kobiet i reform Kościoła.

70 Życiowa rola smoka Diplodoka
REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI
Od czterech dekad bawił miłośników historyjek obrazkowych, teraz trafia do kin.

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP // ALESSANDRA TARANTINO / AP / EAST NEWS // GRAŻYNA MAKARA // MATERIAŁY PRASOWE STOWARZYSZENIA NOWE HORYZONTY

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Ponad milion wygnańców
JAGODA GRONDECKA Z BEJRUTU

7-9 Komentarze

10-11 Informacje

■ ■ CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ, O. WACŁAW OSZAJCA, PIOTR SIKORA, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

20 Gdzie jest nasza kasa
MARCIN KĘDZIERSKI: *Na boomie edukacyjnym zarobiły głównie wielkie korporacje. Miasta, które uznały tę sytuację za własne Eldorado, za chwilę będą miały problem*

24 Casting na lokum
MATEUSZ MACIERAKOWSKI: *Studia w Polsce stają się dobrem dla wybrańców z dobrze sytuowanymi rodzicami albo z mieszkaniami w dużych ośrodkach*

27 Chore ogniwo koalicji
PIOTR ŚMIŁOWICZ: *Nie dość, że polska lewica jest podzielona i bliska rozłamu, to jeszcze dostarcza afer*

■ ■ WIARA

32 Synod pełen zagadek
EDWARD AUGUSTYN

35 Skrzywdzeni przez księży piszą do Franciszka
ROZMOWA Z TOŚKĄ SZEWCZYK: *Powiedziałam biskupom, że przy tak sformułowanym prawie kanonicznym czuję się przez Kościół powtórnie użyta*

38 Jak wierzą faceci
MARCIN WÓJCIK: *Na Jasnej Górze pojawiły się stowarzyszenia i grupy modlitewne skupiające mężczyzn*

■ ■ ŚWIAT

42 Równowaga strachu
ROZMOWA Z ŁUKASZEM FYDERKIEM: *Dla strategicznego obrazu konfliktu Izrael–Iran istotne jest, że kilkanaście rakiet przedarło się przez izraelską obronę. To pokaz zdolności Teheranu*

TEMAT TYGODNIKA

NOSTRIX: CC BY-SA 4.0

12 Źródło wszystkiego
ŁUKASZ LAMŻA
„Encyklopedia, którą każdy może edytować”. Wikipedia to przepis na gigantyczny sukces, potężną odpowiedzialność i całą masę problemów.

■ FELIETONY ■
31 TOMASZ STAWISZYŃSKI
41 ZUZANNA RADZIK **62** ELIZA KĄCKA
76 OLGA DRENDA **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: Część kuli Wiki wiszącej w biurze Wikimedia Foundation. San Francisco, USA 2009 r.
FOT.: DMGULTEKIN / CC BY-SA 3.0 // MONTAŻ TP

46 Niemcy chcą (s)pokoju
ŁUKASZ GRAJEWSKI: *Za Odrą topnieje poparcie dla dalszego wspierania Ukrainy*

48 Putinowski archipelag gułag
ROZMOWA Z NARIMANEM DŻELALEM, LIDEREM KRYMSKICH TATARÓW: *Łagry niszczą osobowość więźnia*

51 Kaukaz na rozdrożu
WOJCIECH JAGIELSKI: *W 33. roku niepodległości Azerbejdżan, Armenia i Gruzja stoją przed wyborem dalszej drogi*

■ ■ HISTORIA

54 Rzecz o muzeach
PIOTR KOSIEWSKI: *Zmiana dyrektora Muzeum Historii Polski powinna wywołać dyskusję nad polityką pamięci*

■ ■ NAUKA

58 Wirus, który nie zna barier
BARTOSZ KABAŁA: *Ptasia grypa uśmierciła setki milionów zwierząt – także ssaków*

■ ■ KULTURA

64 Bez złotej rybki
ROZMOWA Z GRZEGORZEM BOGDAŁEM: *Lubię się zmęczyć, lubię, kiedy droga sprawia mi trudność, lubię się zgubić w lesie i w błocie. A potem niespodziewanie wyjść na otwartą przestrzeń*

68 Myślą, mową i uczynkiem
DARIUSZ KOSIŃSKI *o Tołstoju i Tukidydesie w Teatrze Śląskim*

70 Życiowa rola smoka Diplodoka
REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

74 Dalej jest wojna
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Pod wulkanem” Damiana Kocura*

75 Nike dla prawdziwej poetki
LEKTOR *o zbiorze wierszy „Raptularz” Urszuli Kozioł*

■ ■ ZMYSŁY

78 Błazen narodowy
MAGDALENA ŁANUSZKA: *Przez okładkę albumu Lady Gagi i przez drzwi Luwru Stańczyk dołącza do pocztu europejskich figur mądrego głupca*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Wybierz swoją prenumeratę... ... na stronie 17

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube/TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

PONAD MILION WYGNAŃCÓW

Uciekając przed izraelskimi nalotami i ofensywą lądową, swój dom opuścił już prawie co czwarty mieszkaniec Libanu. Przywykli do niewydolności swego państwa, dręczonego także wcześniej kryzysami, ludzie pomagają sobie nawzajem.

JAGODA GRONDECKA Z LIBANU

Plaża Ramlat al-Baida w Bejrucie tętni życiem. Dorośli parzą kawę w tygielkach, dzieci bujają się na huśtawkach i biegają. Grupa chłopców bawi się z czarnym kundelkiem. Tylko rozłożone w plażowych domkach materace i suszące się ubrania wskazują, że to nie zwyczajne rodziny cieszące się wolnym dniem. To libańscy uchodźcy wewnętrzni, którzy poza tą plażą nie mieli dokąd pójść.

Konflikt między Izraelem a Hezbollahem wywołał wielki kryzys: w ciągu dwóch tygodni z domów musiało uciekać 1,2 mln ludzi, prawie co czwarty mieszkaniec Libanu. Od kiedy 24 września zaostrzyły się izraelskie naloty, Ad-Dahija, dzielnica na południowych przedmieściach Bejrutu, wcześniej zamieszkana głównie przez szyitów, została wyludniona. Opuścili ją niemal wszyscy z jej pół miliona mieszkańców.

Wael i jego rodzina uciekli, gdy bombardowania były już tak blisko, że czuli się, jakby bomby spadały im na głowy. – Cały dom zaczął się trząść – Wael opisuje noc, gdy w desperacji opuścili mieszkanie w Ad-Dahiji. Bejrut był ich domem od 2011 r., gdy uciekli przed wojną z sąsiedniej Syrii. – Myśleliśmy, że docieramy w bezpieczne miejsce, ale teraz jest jeszcze gorzej.

Są teraz na plaży, bo nie mogli znaleźć miejsca w przepełnionych szkołach, pospiesznie przerabianych na schroniska dla uciekinierów. Poza tym słyszeli, że pierwszeństwo w kolejce mają Libańczycy. Ich nowym domem stał się więc drewniany podest na plaży, gdzie na kilkunastu metrach kwadratowych żyje kilka rodzin. Miejsca nie wystarcza dla wszystkich, muszą spać na zmianę. Waela najbardziej martwi, jak sytuacja wpłynie na jego dzieci: – Przecież to nie ich wina.

POWYŻEJ: Mieszkańcy południa Libanu uciekają przed izraelskimi nalotami. Niektórzy decydują się nawet na ucieczkę do Syrii. Na zdjęciu: okolice libańsko-syryjskiego przejścia granicznego Massna, 6 października 2024 r.

NALOTY | Rodzina Waela opuściła dom tak, jak stała. Z dobytku zabrali tylko klatkę z kanarkiem. Wprawdzie Wael chciał wrócić po najpotrzebniejsze rzeczy, ale członkowie Hezbollahu i libańskich służb mundurowych nie pozwolili mu na to.

Jad al-Rayess, pracownik humanitarny, koordynuje dostarczanie pomocy na plażę. Mówi, że wiele rodzin próbuje wracać do Ad-Dahiji. – Uciekali, ratując życie, z pustymi rękoma. Jadą tam w dzień i na noc wracają tutaj, bo w nocy bombardowania są najintensywniejsze – mówi Jad al-Rayess. Ale to igranie z ogniem: uważane za bastion Hezbollahu, szyickie dzielnice są bombardowane bezlitośnie. Izrael twierdzi, że atakuje pozycje Hezbollahu. Jednak zniszczeniu ulegają głównie obszary mieszkalne.

– Nie rozróżniają, na kogo spadną bomby, na dowódców, bojowników czy cywili. Uderzają gdzie popadnie – uważa 47-letni Mustafa, który od tygodnia koczuje z rodziną przy placu Męczenników. Zgromadziły się tu tysiące wyczerpanych i przerażonych rodzin. Większość opowiada tę samą historię: nie udaje im się znaleźć miejsca w żadnym z tymczasowych schronisk.

PRZETRWANIE | W przeciwieństwie do wyludnionych południowych dzielnic, centrum i północ Bejrutu są zatłoczone. Auta nie mieszczą się na ulicach, wiele ma rejestracje gubernatorstw (odpowiednik województw) Południowego Libanu i An-Nabatijji, gdzie Izrael nakazał ewakuację 70 miejscowości. Wielu ludzi koczuje na ulicach, w parkach, pod mostami.

Libański rząd tymczasowy nie jest w stanie na tę sytuację odpowiedzieć – już wcześniej kraj mierzył się z wieloma kryzysami. Hiperinflacja i polityczna niestabilność w połączeniu z konfliktem zbrojnym to mieszanka wybuchowa. Ulice toną w śmieciach, prąd jest kilka godzin dziennie, szpitale mają problem z udzielaniem podstawowych świadczeń. Pomocy uciekinierom nie dostarcza też Hezbollah, skoncentrowany na walkach z Izraelem.

Próżnię starają się wypełnić organizacje i prywatne inicjatywy, które dystrybuują wodę i żywność. Przyzwyczajeni do niewydolności swego państwa, Libańczycy pomagają sobie nawzajem. – Poczucie przynależności, wspólnotowości, pomaga nam przetrwać – uważa Jad al-Rayess.

Oddolne wsparcie to jednak kropla w morzu potrzeb. Większość rodzin, z którymi rozmawiał „Tygodnik", nie otrzymała żadnej pomocy. – Próbuję znaleźć leki i ubrania dla dzieci, które rozchorowały się po deszczowej nocy. Rząd nie zapewnia nam niczego – mówi 41-letnia Nazmieh, która opuściła dom z 11-osobową rodziną po otrzymaniu izraelskiego esemesa z nakazem ewakuacji. – Dostaliśmy tylko trochę wody i jedzenia dla dzieci od prywatnych osób.

GRUZ | Choć najpierw naloty ograniczały się do południowych dzielnic, 3 października bomby spadły na placówkę medyczną w centrum. Na odległym o 2 km placu Męczenników huk wybuchu przeraził koczujących. Mieszkańcom Bejrutu towarzyszy też nieustający odgłos izraelskich dronów, który wielu uważa za element wojny psychologicznej.

4-letnia Aileen wybucha płaczem za każdym razem, gdy słyszy głośny dźwięk. – Sytuacja ją straumatyzowała – mówi Dżamil, jej ojciec. On sam przeżył już wiele: – Pamiętam wojnę w 1982 r., pamiętam rok 2006. Gdy ciągle trwają bombardowania, mózg nie jest w stanie działać normalnie. Spodziewam się, że będzie jeszcze gorzej, ciągle bombardowane są kolejne miejsca.

Rodzina całe dnie i noce spędza na gołej ziemi. Dzielnicę Ad-Dahija opuścili pieszo: mąż, żona i dwoje dzieci, w środku nocy. Maszerowali od trzeciej do pół do siódmej. Gdy wrócili, by sprawdzić, co z ich domem, potwierdziły się ich obawy: budynek został obrócony w gruz.

– Nie wiem, co zrobimy, gdy zacznie padać i przyjdą chłodniejsze dni. Nie mamy dokąd pójść ani gdzie się schronić – martwi się Ghiyab, żona Dżamila. – Oby Bóg dał nam cierpliwość, bo nie wiemy, co jeszcze może się wydarzyć. ©

JOAO RELVAS / EPA / PAP

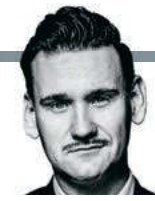

Władza w saszetkach

JAKUB DYMEK

Gdy do sklepów w Polsce trafił alkohol w saszetkach, premier Donald Tusk poderwał z miejsca ministrów rządu, by wzięli się do roboty i zapowiedział ukaranie odpowiedzialnych osób oraz błyskawiczne działanie prawne, aby uchronić „bezpieczeństwo i zdrowie naszych dzieci". Niektórzy z nas odnieśli pewnie wrażenie powtórki. Gdzie to już widzieliśmy i słyszeliśmy? Pedofile, hazard, dopalacze, kibicowskie burdy, fentanyl? Tak, to już było.

Najczęściej premier bierze się do spektakularnego działania, gdy jakiś problem medialnie wybije i trzeba działać pozasystemowo.

Wcześniej nie istniały regulacje, nikt na wysokim szczeblu nie zainteresował się w porę sprawą, albo nie było woli zajęcia się patologią w systemowy sposób.

Zanim ktokolwiek dokona realnej oceny tego, co się stało, cykl zacznie się od nowa – z innym zagrożeniem. Panika moralna – jak podkreślają badacze tego zjawiska – potrzebuje dwóch elementów. Po pierwsze, dzieci lub bezbronnych ofiar. Po drugie, zagrożenia, które jest zarazem oczywiste i jasne, ale i perfidne, bo ukryte pośród nas. Narkotyki, dewianci, sataniści czy agenci obcych imperiów świetnie nadają się na polityczną pożywkę.

Zastanówmy się: czy w Polsce problemem jest to, że ktoś zaczął sprzedawać alkohol w saszetkach, czy może fakt, że siła lobby producentów alkoholu, jego dostępność, łatwość kupienia, a także skala powodowanych przez alkohol nieszczęść są czymś niespotykanym w Unii Europejskiej? Politycy uderzają w najbardziej widoczny punkt – nie w źródło.

Taki sposób rządzenia skazuje nas na populizm prawny: pisanie prawa (najlepiej: surowego) pod konkretne sytuacje i zadośćuczynienie lękom, a nie sprawiedliwości. Więcej, podobne metody rządzenia wzmacniają posługującego się nimi polityka, ale ośmieszają państwo. Jeżeli premier musi osobiście zwalniać prokuratorów, układać program i linie muzeów, regulować asortyment dostępny w sklepach, piętnować dilerów i kierować pracą służb ratowniczych na miejscu klęski żywiołowej – skłonni jesteśmy uwierzyć, że państwo nie działa już w żadnym aspekcie i cała odpowiedzialność spoczywa na barkach jednego człowieka.

Przepis na obywatelską klęskę? Powszechne poczucie, że „nie potrzebujemy silniejszego państwa, ale silniejszych liderów". Czy niebawem usłyszymy o kolejnym zagrożeniu, z którym tylko premier może się rozprawić? ©

Czekając na cud

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Toczącej się w Polsce ostrej wojnie politycznej są sfery, które na szczęście spod tej wojny wciąż są wyjęte. To przede wszystkim kwestia bezpieczeństwa obronnego Polski. Wydarzenia ostatniego tygodnia pokazują, że dla przyszłości państwa pożądane staje się wyjęcie spod niego również wymiaru sprawiedliwości.

W tej chwili między głównymi obozami politycznymi nie ma nawet zgody co do tego, kto jest prokuratorem krajowym. Czy Dariusz Barski, jak chce prezydent i PiS, którego na to stanowisko „przywróciło" orzeczenie Sądu Najwyższego, czy Dariusz Korneluk, jak chce minister sprawiedliwości i koalicja rządowa, twierdzący, że orzeczenie SN jest nieważne, bo wydali je tzw. neosędziowie.

Truizmem jest stwierdzenie, że to sytuacja destrukcyjna dla państwa i że winien jest PiS, który w ciągu ośmiu lat rządów rozmontował wymiar sprawiedliwości, a obecnie działająca Krajowa Rada Sądownictwa została powołana w sposób niezgodny z konstytucją.

Tyle że obecna władza zdaje się podchodzić do tej kwestii bardzo instrumentalnie i tam, gdzie jest to dla niej wygodne, uznaje orzeczenia neosędziów.

Jest to w sumie zrozumiałe, bo podważenie werdyktów wszystkich sędziów powołanych po 2018 r. spowodowałoby zawalenie się systemu. Zarazem wprowadza to jednak element uznaniowości i czyni zasadnym zarzut politycznego traktowania werdyktów.

Ale podobny zarzut można postawić stronie prezydencko-pisowskiej. Dopóki decyzje prokuratury są dla niej politycznie niewygodne, jak w sprawie Marcina Romanowskiego, prawomocność działań prokuratorów jest kwestionowana. Jeśli zaś orzeczenia dotyczą przeciwników, jak w przypadku Janusza Palikota, wszystko jest *lege artis*.

Gdyby zdarzył się cud i doszłoby do wyciągnięcia wymiaru sprawiedliwości spod sporu politycznego, racjonalne byłoby uznanie, że oczywiście KRS powinna być znów kontrolowana przez sędziów, a nie polityków, zaś dotychczasowe awanse neosędziów cofnięte. Ale czy wtedy nie powinno się uznać ich wszystkich orzeczeń? Włącznie z tymi, które zapadły w Sądzie Najwyższym? To wymaga szczegółowych ustaleń.

Apelowanie o ponadpartyjne porozumienie w tej sprawie to jednak wołanie na puszczy, bo skłócone obozy nie zrezygnują z używania sądownictwa jak pałki, którą się okładają. I nie ma sposobu, by im tę broń odebrać, niczym niebezpieczne zabawki dzieciom. ©

Nowi kardynałowie

EDWARD AUGUSTYN Z RZYMU

Nowe nominacje kardynalskie – na grudniowym konsystorzu czerwony biret otrzyma 21 duchownych – mówią wiele o Franciszkowej wizji Kościoła i kierunku, w jakim chce go prowadzić.

Decyzji o poszerzeniu kolegium można się było spodziewać – w ciągu najbliższych kilkunastu miesięcy aż 20 kardynałów straci czynne prawo wyborcze; wśród nowo mianowanych, którzy ich zastąpią, zdecydowaną większość (19) stanowią więc hierarchowie w wieku około 70 lat.

Czy wśród nowych kardynałów jest przyszły papież? Nie można tego wykluczyć. Dziś największe szanse z tego grona miałby zapewne o. Timothy Radcliffe (tyle że do konklawe musiałoby dojść w przyszłym roku, bo dominikanin ma już 79 lat) – nie tylko ze względu na swoje cechy osobiste, ale dlatego, że jest przez wszystkich ceniony i dobrze znany.

Różnorodność i atomizacja kolegium, która jest celem Franciszka, na pewno nie ułatwi kardynałom wyboru jego następcy. Duża część głosów na konklawe będzie pochodzić z krajów małych lub o niewielkiej liczbie katolików (jak Mongolia, Tonga, Timor Wschodni czy Iran), których przedstawicieli nikt nie zna, ani oni nie znają pozostałych elektorów. Co oznacza, że podczas konklawe większość kardynałów może głosować nie zgodnie z własną wiedzą i doświadczeniem, ale kierując się opinią i sugestią innych.

Przemeblowując od lat i konsekwentnie kolegium kardynalskie, Franciszek osiągnął także inny cel, doprowadzając do równowagi pomiędzy Północą a Południem. Gdyby do konklawe doszło w najbliższym roku, jego następcę wybierałoby 71 kardynałów z Europy, USA i Kanady oraz 69 z pozostałych części świata. Najbardziej w siłę urosła Azja i Oceania – na poprzednim konklawe, w 2013 r., z tego regionu wywodziło się 12 elektorów, teraz będzie ich 28. Zwiększa się też liczba elektorów z Afryki (z 11 do 17) i Ameryki Łacińskiej (z 18 do 24).

Po raz kolejny kardynalskie birety nie trafią do Stanów Zjednoczonych czy Niemiec (te ostatnie mają tylko 3 elektorów, o jednego mniej niż Polska). Kardynałem zostanie natomiast arcybiskup Teheranu (którego diecezja liczy 6 tys. wiernych, w większości obcokrajowców, pracujących w Iranie), co wspomnianemu już kryterium geograficznemu dodaje nowego, symbolicznego, a nawet politycznego zabarwienia. ©℗

Ojciec Timothy Radcliffe podczas rekolekcji na Synodzie Biskupów. Watykan, 2 października 2024 r.

INDEPENDENT PHOTO AGENCY SRL / ALAMY STOCK

NA PUNKTY

KATALONIA KUSI
Wojciech Szczęsny odwołał decyzję o zakończeniu kariery i dołączył do Barcelony – drużyny, w której znów bryluje Robert Lewandowski (zdobywca trzech goli w ostatnim meczu z Deportivo Alavés).

PREZYDENT SZUSUJE
Na społecznościowym profilu sklepu dostarczającego sprzęt dla wodniaków pojawiło się nagranie Andrzeja Dudy uczącego się podstaw jet surfingu. „Trzeba złapać balans i dopiero wtedy zacząć" – tłumaczy prezydentowi instruktorka.

MINISTER BIEDUJE
Radosław Sikorski pogratulował Adamowi Glapińskiemu podwyżki (prezes NBP będzie zarabiał 122 tys. zł miesięcznie), ujawniając przy okazji wysokość własnej pensji: państwo polskie płaci szefowi MSZ... 10 064 zł.

GENERAŁ PRZESTRZEGA
„Wszystko wskazuje na to, że jesteśmy tym pokoleniem, które stanie z bronią w ręku w obronie naszego państwa" – powiedział podczas inauguracji nowego roku w Akademii Wojsk Lądowych szef Sztabu Generalnego WP gen. Wiesław Kukuła. ©℗

Kapsuła Glapińskiego

MAREK RABIJ

Prezes NBP powrócił. Znów gości na czołówkach serwisów internetowych i w głównych wydaniach telewizyjnych wiadomości. Okazją do wydobycia Adama Glapińskiego (na zdjęciu) z niebytu dla suflujących rządowi mediów stała się podwyżka, jaką zafundował prezesowi zarząd NBP – czyli *de facto* on sam, bo nie od dziś wiadomo, kto w tym zespole jest dyrygentem. Podwyższona premia daje Glapińskiemu prawo do wynagrodzenia wyższego o 191 tys. zł rocznie, czyli – jak obliczyli dziennikarze Money.pl – ponad 122 tys. zł miesięcznie.

ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER

Czy szef polskiego banku centralnego, stojącego na straży dość prowincjonalnej w skali globu waluty, powinien zarabiać sześć razy więcej od prezydenta RP? Na to pytanie nie ma oczywiście jednej odpowiedzi, bo trudno też o jedną miarodajną ocenę pracy obu oficjeli. Łatwiej o analogie. Jerome Powell, szef amerykańskiej Rezerwy Federalnej – czyli instytucji, której decyzje śledzi uważnie cały świat – zgodnie z widełkami płacowymi FED może zarobić do 246,2 tys. dolarów rocznie, a więc około 62 proc. rocznego uposażenia gospodarza Białego Domu.

Możliwe, że Adam Glapiński, którego kadencja zakończy się dopiero w czerwcu 2028 r., postanowił wyciągnąć z prezesury ile się da – w granicach prawa, choć już niekoniecznie w granicach dobrego smaku. Kierowany przez niego NBP jest dziś kapsułą czasu dla działaczy i akolitów PiS-u, próbujących możliwie komfortowo przetrwać do kolejnych, oby już zwycięskich dla nich wyborów. Utrata władzy przez obóz Kaczyńskiego sprawiła wprawdzie, że NBP przestał być jeszcze jednym departamentem resortu finansów, ale niezależność banku centralnego od władzy wykonawczej w wykonaniu Glapińskiego bywa niebezpiecznie podobna do czystej politycznej przekory. Rząd wie, że usuwając skutki powodzi, będzie zmuszony wpompować do gospodarki dodatkowe kilkadziesiąt miliardów złotych, które rozhuśtają inflację jeszcze mocniej. Jak w tej sytuacji zachowa się NBP? Trudno oprzeć się wrażeniu, że temat postawienia Glapińskiego przed Trybunałem Stanu wraca dziś nieprzypadkowo. ©℗

Za wojnę z Iranem zapłaci też Polska

MAREK KĘSKRAWIEC

Straty, jakie poniósł Izrael w wyniku ostatniego ataku rakietowego Iranu, są o wiele większe niż w kwietniu i każą zadać pytanie, co by było, gdyby Żelazna Kopuła musiała zneutralizować nie 200, a 2000 pocisków balistycznych. Problem z Iranem polega jednak na tym, że w tej quasi-dyktaturze pozwolono w lipcu na wybór światłego prezydenta, który wysyła sygnały gotowości do rozmów z Zachodem, także o programie nuklearnym. Fakt, uwikłanie tego kraju w finansowanie Hezbollahu i Hamasu stawia go po „ciemnej stronie mocy", ale bywały w historii o wiele czytelniejsze momenty, gdy Iran zasługiwał na kontrę. Dziś raczej prowadzi akcje odwetowe niż ofensywne.

W węższej perspektywie rządu Benjamina Netanjahu sytuacja wygląda inaczej. Po masakrze dokonanej rok temu przez Hamas dąży on do likwidacji (lub mocnego osłabienia) wszystkich zewnętrznych wrogów Izraela. Jednak Iran to nie Syria czy Irak. Nawet z pomocą USA nie da się go najechać, bo ma zbyt potężną armię i społeczeństwo, które nawet jeśli w większości ma już dość dyktatu ajatollahów i generałów, to jeszcze bardziej nienawidzi obcych interwencji. Natomiast kraj ten można jednak zaatakować z powietrza, niszcząc jego instalacje naftowe, jego program atomowy czy centra dowodzenia.

Gdyby do tego doszło, zagoniony do rogu Iran może zatapiać tankowce płynące przez wąską Cieśninę Ormuz, które transportują piątą część zużywanej na świecie ropy. Także saudyjskiej, która stanowi niemal połowę polskiego importu tego surowca. Jeśli dojdzie do choćby czasowej blokady, zapłacimy za to słono na stacjach benzynowych – rurociągami da się przesłać jedynie część zamówionej ropy. Będziemy musieli (i nie tylko my) szukać innych dostawców, a cena za baryłkę według ekspertów przekroczy wówczas 150 dolarów (dziś to ok. 80). Putina to na pewno ucieszy. ©℗

Palikot: Buntownik bez pokrycia

BIZNES ▪ Z kurtką narzuconą na kajdanki, zaskoczony obrotem spraw, rozczochrany i wystraszony – w takim stanie zapozował reporterom do zdjęć Janusz Palikot, gdy agenci Centralnego Biura Antykorupcyjnego w ubiegły czwartek prowadzili go do wrocławskiej prokuratury. W tym miejscu końca dobiegł też „Bunt Finansowy" Palikota, czyli program inwestycyjny oferujący odsetki wyższe niż w banku w zamian za kapitał na rozwój alkoholowego imperium lubelskiego inwestora. Perły z jego alkokorony są dziś w stanie upadłości, a prokurator oskarża go o doprowadzenie do niekorzystnego rozporządzenia mieniem tysięcy osób na ok. 70 mln zł.

Być może to nie ostatni akt oskarżenia. Pod koniec ub. roku serwis Bankier.pl szacował, że powiązane z Palikotem firmy pozyskały łącznie 343 mln zł od ponad 5 tysięcy inwestorów i pożyczkodawców – a mowa tylko o długach objętych wówczas układem z wierzycielami. Osób i podmiotów, którym biznes Palikota winien był pieniądze, było dwa razy więcej. Widniały na tej liście firmy z sektora finansowego, byli zamożni inwestorzy indywidualni, nie brakło też drobnych ciułaczy, którzy Palikotowi i wspólnikom powierzyli oszczędności życia.

Biznesowy „sztukmistrz z Lublina" – jak z uznaniem mówiono i pisano o nim przez lata – linię obrony oparł na dwóch argumentach. Pierwszy usiłuje przedstawić jego aresztowanie jako polityczny odwet, nie warto więc poświęcać mu uwagi. Ciekawszy jest drugi. Ustami swego mecenasa Palikot usiłuje przekonać opinię publiczną, że biznes po prostu mu nie wyszedł. Wchodząc na ścieżkę zbiórek społecznych i obiecując odsetki od pożyczonego kapitału, pomieszał jednak z premedytacją porządki inwestycji biznesowej i lokaty bankowej. UOKiK, który od dłuższego czasu prześwietlał jego działalność, idzie w zarzutach jeszcze dalej i zarzuca mu stworzenie klasycznej piramidy finansowej. Pieniądze inwestorów wierzących w jego „Bunt Finansowy" od pewnego momentu szły na wypłaty odsetek dla poprzedników. Słowem, UOKiK uważa, że Palikot musiał zdawać sobie sprawę, że pędzi ku ścianie.

Śledczy zapewne poszukają też odpowiedzi na pytanie, gdzie podziały się powierzone mu miliony. Na tym etapie może się okazać, że Janusz Palikot istotnie zasłużył na miano sztukmistrza. Dobry prestidigitator potrafi ukryć w dłoni naprawdę dużo. ©℗ MAREK RABIJ

Wuhłedar pada, wyłom nad Oskołem

UKRAINA ▪ Ponad dwa lata, z paromiesięczną przerwą na szpital: tyle czasu Witalik spędził w Wuhłedarze. Niewysoki i krzepki, w wieku już średnim, należał do tych ludzi z ukraińskiej 72. Brygady, którzy dosłownie „zaryli się" w tym górniczym mieście w Donbasie. Choć pod Wuhłedar Rosjanie podeszli już w marcu 2022 r., zostali zatrzymani. Dogodny do obrony, bo leżący na płaskowyżu i składający się z betonowych bloków mających solidne piwnice-schrony (w latach 60. budynki projektowano z myślą o wojnie jądrowej) – Wuhłedar został zamieniony w twierdzę.

Własnoręcznie, łopatą i kilofem, Witalik wyrył sobie okop; potem był operatorem drona. Warunki terenowe w połączeniu z koordynacją piechoty, artylerii i dronów: to sprawiło, że okolice Wuhłedaru stały się cmentarzyskiem rosyjskich czołgów. Ale obrońcy też krwawili – bywało, że stan osobowy 72. Brygady nie przekraczał siły jednego batalionu. Mimo to nigdy nie została wycofana: na tyły trafiał tylko ten, kto był ranny. Jak Witalik. Kilka dni po tym, jak spotkaliśmy się w styczniu 2023 r. (odebrał wtedy agregat i ciepłe rękawice), odniósł poważną ranę. Na kilka miesięcy trafił do szpitala i na rehabilitację. Po czym wrócił do swojej „kompanii braci".

Dopiero nocą z 30 września na 1 października ostatni obrońcy opuścili miasto. Musieli, bo Rosjanie dokonali wyłomów na obu flankach i groziło, że ich okrążą. Z Witalikiem nie ma kontaktu. W ukraińskiej przestrzeni informacyjnej krążą sprzeczne opinie o stratach podczas odwrotu: jedni twierdzą, że 72. Brygada niemal przestała istnieć i obwiniają dowództwo, że nie pozwoliło na wcześniejszy odwrót; inni, że straty są „jak na taką sytuację normalne".

Upadek Wuhłedaru może mieć poważne skutki. Rosjanie mogą uderzyć na północ na Kurachowe i także na zachód, aby „zrolować" (używając języka wojskowych) ukraiński front aż do granicy obwodu zaporoskiego. Wtedy z całego Donbasu w rękach obrońców zostałyby już tylko aglomeracje Pokrowska i Kramatorska.

To niejedyna zła wiadomość. Na północy, na pograniczu obwodów charkowskiego i ługańskiego, Rosjanie doszli niemal do rzeki Oskoł, rozcinając na dwie części zgrupowanie, które broni się na jej wschodnim brzegu. Ukraińcy odzyskali ten teren we wrześniu 2022 r. i odtąd front był tu stabilny; wróg nacierał, ale bez efektów. Jednak w końcu Rosjanom udało się dokonać wyłomu, który przez minione ponad pół roku powoli, ale konsekwentnie pogłębiali. Teraz po dojściu do Oskołu kolejny etap ich ofensywy może polegać na tym, że i tu będą „rolować" ukraińską obronę: wzdłuż rzeki w kierunkach północnym (na Kupiańsk) i południowym, na Łyman i dalej z opcją obejścia od północy Kramatorska.

W ten sposób historia ukraińskiego Donbasu dobiegłaby końca.

©℗ WOJCIECH PIĘCIAK

Wuhłedar po ponad dwóch latach walk, sierpień 2024 r.

GAELLE GIRBES / GETTY IMAGES

Mapa mózgu muszki owocówki

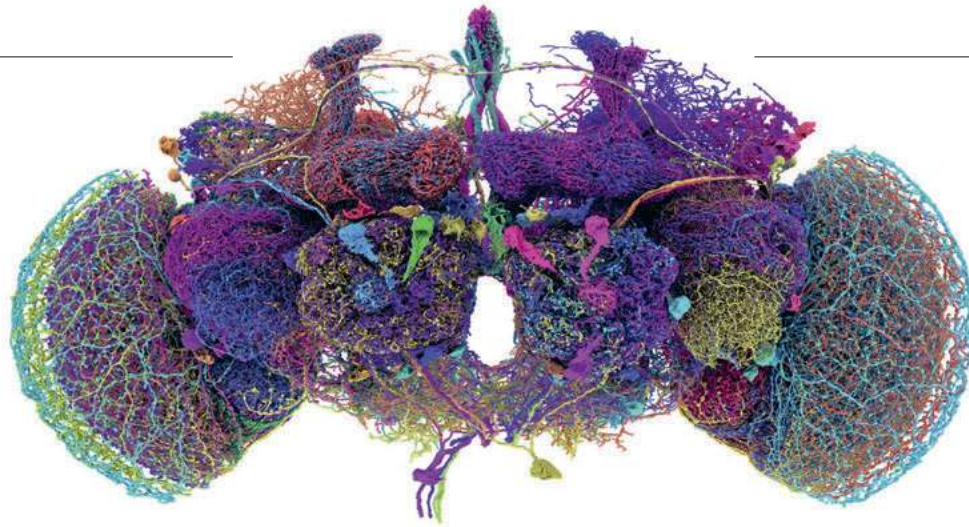

MATERIAŁY PRASOWE FLYWIRE / PRINCETON UNIVERSITY

Wizualizacja części neuronów mózgu muszki owocowej i połączeń między nimi.

NEURONAUKA ▪ Od czasów pionierskich badań Santiago Ramóna y Cajala, który barwił wypreparowane neurony i odkrył, że nie tworzą jednolitej, bezładnej masy, ale złożoną sieć, minęło już ponad 120 lat. Ale wciąż przekonujemy się, że neuronauka to bardzo młoda dziedzina, a każde ważne odkrycie dotyczące mózgu rodzi mnóstwo nowych pytań – i przede wszystkim unaocznia nam skalę naszej ignorancji.

W „Nature" ukazał się właśnie zbiór artykułów opisujących najdokładniejszy jak dotąd konektom (mapę połączeń neuronalnych) zwierzęcia – muszki owocowej. Członkowie konsorcjum naukowego FlyWire dokładnie przeskanowali mózgi muszki owocowej mikroskopem elektronowym, potem przy użyciu sztucznej inteligencji zidentyfikowali na fotografiach 140 tys. neuronów i 54,5 mln połączeń między nimi, a także dokładnie je opisali – m.in. przyporządkowali każdy neuron do jednego z ponad 8,4 tys. typów komórek, różniących się budową, lokalizacją czy funkcją. Jednym z efektów badania było zidentyfikowanie ponad 4 tys. nowych typów neuronów. „Każdy z tych typów to znak zapytania" – mówił w „Nature" Sebastian Seung z Uniwersytetu Princeton, jeden z liderów zespołu.

Praca wykonana przez algorytmy wymagała dokładnego sprawdzenia i ręcznej redakcji – wraz z wolontariuszami z całego świata zespół badaczy w ciągu 5 lat trwania projektu dokonał ok. 3 mln korekt w kontektomie. Lwia część tej pracy wykonana została w 2020 r., w szczytach pandemii covid-19 .

To cała ta plątanina neuronów odpowiada za to, jak zwierzę odbiera świat, odnajduje się w nim, jak myśli i się zachowuje. Dysponując konektomem, badacze mogą łatwiej identyfikować obwody neuronów odpowiedzialne za konkretne działania organizmu. Mogą także tworzyć przewidywania dotyczące zjawisk czy procesów występujących w mózgu.

Twórcy stworzyli także aplikację Codex (codex.flywire.ai), w której można samodzielnie buszować po zgromadzonych danych, analizować statystyki czy generować wizualizacje sieci połączeń każdego zmapowanego neuronu lub całych obwodów, w których uczestniczy.

Aplikacja jest wspaniałym narzędziem dla neurobiologów, dla których jeszcze długo nie zabraknie pracy. W mózgu człowieka znajduje się ok. 86 mld komórek nerwowych i drugie tyle komórek glejowych, które pełnią rozmaite funkcje pomocnicze. Każdy neuron może stworzyć nawet 10 tys. połączeń synaptycznych. Inne zespoły pracują obecnie m.in. nad stworzeniem konektomu myszy, której mózg jest ponad 500-krotnie większy od mózgu muszki owocowej – i tysiąckrotnie mniejszy niż mózg człowieka.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

ChatGPT: nowe możliwości i stare problemy

SZTUCZNA INTELIGENCJA ▪ W wielu dziedzinach jest wolniejszy i udziela gorszych odpowiedzi od wcześniejszego ChataGPT 4, a do tego OpenAI ostrzega, że – jeśli jego zabezpieczenia zostaną złamane i trafi w niepowołane ręce – może być „najniebezpieczniejszym modelem", jaki firma dotąd wypuściła. Mimo to o1 ma być przełomowy, bo „rozumuje szybciej i lepiej niż ludzie".

Informacje dotyczące ryzyka, jakie niesie program, można traktować jak chwyt marketingowy, który OpenAI stosuje dość regularnie, ale poinformowano też, że program „przeszkolono przy użyciu zupełnie nowego algorytmu optymalizacji i nowego zestawu danych szkoleniowych" dostosowanego do rozwiązywania problemów ściśle naukowych. Ponadto wykorzystano w nim „łańcuch myśli" – model, przetwarzając zapytania, stara się rozwiązywać problemy krok po kroku, rozumując podobnie jak ludzie. Dzięki temu o1 ma się specjalizować w nauce, kodowaniu i matematyce.

Efekt? „Na moim polu fizyki kwantowej daje znacznie bardziej szczegółowe i spójne odpowiedzi niż poprzedni model GPT-40" – mówi magazynowi „Nature" Mario Krenn, lider Artificial Scientist Lab w Instytucie Maxa Plancka w Erlangen. Krenn był jednym z pierwszych naukowców, którym OpenAI umożliwia przetestowanie programu.

O1 stał się również pierwszym modelem językowym, który przewyższył doktorantów w trudnych testach naukowych – w egzaminie Graduate-Level Google-Proof Q&A Benchmark (GPQA) udzielił poprawnych odpowiedzi na 78 proc. pytań, w tym aż 93 proc. z fizyki (doktoranci osiągnęli poniżej 70 proc.) W teście kwalifikacyjnym do Międzynarodowej Olimpiady Matematycznej model osiągnął wynik 83 proc., podczas gdy poprzedni model GPT-40 poprawnie rozwiązał tylko 13 proc. zadań.

Choć o1 nadal wymaga nadzoru ludzi i weryfikowania odpowiedzi, może być użyteczny dla naukowców. Zespół Krenna opracował na jego podstawie system SciMuse, który wykorzystuje grafy wiedzy zbudowane na podstawie ponad 58 mln artykułów naukowych. SciMuse generuje spersonalizowane pomysły badawcze i sugestie dotyczące współpracy naukowej. „Znajduje znacznie ciekawsze idee niż GPT-4 czy GPT-40" – zauważa Krenn.

© AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

TEMAT TYGODNIKA

ŹRÓDŁO WSZYSTKIEGO

„Encyklopedia, którą każdy może edytować”. To przepis na gigantyczny sukces, potężną odpowiedzialność i całą masę problemów.

ŁUKASZ LAMŻA

Co by nie mówić, słowo „encyklopedia” robi swoje. Ten spokojny głos ekspertów, ta nobliwa powściągliwość... Od razu czuję, że Wikipedia, „wolna encyklopedia”, to takie miejsce w internecie, gdzie dom swój mają wyłącznie fakty i gdzie nie ma miejsca na ideologiczne przepychanki.

Owszem, kogoś mogłoby zdziwić, dlaczego właściwie artykuł encyklopedyczny na temat Donalda Trumpa rozpoczyna się od nieopatrzonego żadnym przypisem stwierdzenia, że zdaniem naukowców i historyków był jednym z najgorszych prezydentów USA w historii, albo dlaczego artykuł na temat aktualnego prezydenta, Joego Bidena, starannie omija wszelkie wzmianki o jego słabnących władzach poznawczych.

Za kulisami tych artykułów toczą się jednak dyskusje, czasem rozciągnięte na lata i setki stron maszynopisu, w których wikipedyści oskarżają się wzajemnie o najgorsze intencje i gorączkowo debatują, czym jest osławiony „neutralny punkt widzenia”. W dyskusjach tych padają nazwy tajemniczych akronimów, administratorzy wymierzają kary i nakładają blokady, a pojedyncze słówka w artykułach bywają roztrząsane staranniej niż niejeden akt prawny. Tak rodzi się prawda, która za chwilę trafi do miliardów ludzi.

Radosna twórczość

Idea jest prosta: wchodzisz i edytujesz. Gdy jako nastolatek zacząłem bawić się Wikipedią, jej polska edycja była młodziutka i zachęcająco pusta. Wieczorami tworzyłem dziesiątki artykułów na interesujące mnie tematy – po prostu, bo mogłem. Czasem ktoś dołączał do zabawy, a czasem mój prosty zalążek wisiał w internecie latami. Dzisiaj zwykle nie umiem już rozpoznać swojego tekstu pod warstwą setek, a czasem tysięcy, drobnych zmian.

Każda edycja jest widoczna: przykładowo, wiem, że w ciągu ostatnich trzech minut polską Wikipedię edytowano dokładnie 15 razy. Ktoś rozdzielił zdanie złożone na dwa zdania pojedyncze w artykule „Chrześcijaństwo”. Użytkownik Gjakovarus doprecyzował, że żona greckiego polityka Sofoklisa Wenizelosa nazywała się Katerina Zerwudaki. Użytkownik Pikador dodał przypisy do artykułu o widłonogu *Faurea princeps*. Itd.

Metoda ma oczywiście ograniczenia. Znanym zjawiskiem jest wandalizm: od zastąpienia całego artykułu słowami „Sprzedam Opla”, aż po uporczywe dodawanie do biografii jakiegoś polityka określeń „świnia” i „zdrajca narodu”. Dziś edycje dokonane przez niezarejestrowanych użytkowników są początkowo niewidoczne, a odsiewaniem ziarna od plew zajmuje się bohaterska armia administratorów-ochotników. Użytkownikom zarejestrowanym grozi szereg kar.

Są i bardziej złożone mistyfikacje. W Polsce sławą okrył się Henryk Batuta – nieistniejący działacz komunistyczny, na cześć którego nazwano rzekomo ulicę Batuty w Warszawie. Spore hasło na jego temat istniało przez 15 miesięcy, a wzmianki o nim rozproszono w dodatkowych hasłach.

Angielska Wikipedia też ma podobne historie. Przez 11 lat informowała o nieistniejącej górze Kiligantian w Filipinach, a przez 14 lat o pojęciu ekonomicznym o nazwie „punkt Morrisa-Putnama”, który miał rzekomo służyć do analizy cen soku i metali ciężkich, przewidywania epok lodowcowych i optymalnego stosowania *staccato* w utworze operowym. Trudno oszacować, ile tego typu „ciekawostek” znajduje się na Wikipedii w tej chwili.

Internetowa encyklopedia stała się także areną globalnej bitwy na penisy. Dla kontekstu: Wikipedia nie jest cenzurowana, więc artykuł na temat kału ilustruje kał, a artykuł na temat powieszenia – zdjęcie wisielca; tysiące mężczyzn zapragnęły więc, aby to ich narząd stał się globalnym prototypem. Repozytorium Wikimedia, które służy Wikipedii jako baza mediów, zostało zalane fotografiami i filmami. W 2018 r., gdy licznik dobił do pięciu tysięcy, zablokowano możliwość dodawania kolejnych zdjęć, a artykułowi „*Human penis*” towarzyszy odezwa adresowana do wikipedystów pragnących przysłać kolejną fotografię: „Niestety, prawa popytu i podaży nie są po twojej stronie”.

Poważniejszym zjawiskiem jest edycja artykułów przez ludzi lub instytucje, które chcą sobie poprawić *image*. W 2007 r. powstał WikiScanner, który wynajdywał edycje dokonywane z „podejrzanego” miejsca. Metodą tą wykryto, przykładowo, że artykuł na temat Pfizera wielokrotnie „polepszano” z komputerów zlokalizowanych w siedzibie firmy. Podobne praktyki stosowali m.in. AstraZeneca, Boeing, Disney, Dow Chemical, DuPont, Pepsi, Sony, Walmart. W 2008 r. udokumentowano, że proizraelska organizacja CAMERA opłacała kampanię systematycznego edytowania Wikipedii, przemycając do niej sentymenty proizraelskie i antypalestyńskie.

System wiedzy

Szybko okazało się, że nieregulowana aktywność tysięcy ochotników nie sprawdza się na dłuższą metę jako metoda tworzenia encyklopedii. Wikipedia wymaga też systematycznej, płatnej pracy, np. programistów i prawników. Dziś ok. 700 osób jest na stałe zatrudnionych w Wikimedia Foundation – organizacji-matce Wikipedii i spokrewnionych projektów, finansowanej z drobnych datków od użytkowników oraz większych grantów od organizacji i firm. Strategiczną rolę odgrywają programiści botów, które automatycznie edytują Wikipedię, realizując proste, powtarzalne zadania, jak usuwanie wandalizmów.

Sercem Wikipedii są jednak wciąż wikipedyści-ochotnicy, którzy tworzą złożoną, hierarchiczną społeczność. Na samym dnie są użytkownicy niezarejestrowani. Spośród zarejestrowanych jako pierwsza wyłoniła się rola „administratora”, który może usuwać artykuły albo blokować innych użytkowników. „Redaktor” ma prawo zatwierdzać edycje robione przez użytkowników niezarejestrowanych. Bardziej techniczne uprawienia mają „checkuserzy”, „rewizorzy” albo „administratorzy interfejsu”; są też „stewardzi”, „ombudsowie” czy „researcherzy”. Poważniejsze konflikty rozwiązują członkowie Komitetu Arbitrażowego. Istnieje również wąskie grono „biurokratów”, którym wolno nadawać tego typu funkcje specjalne.

Równolegle trwa ewolucja zasad i wskazówek redakcyjnych. Nowi użytkownicy są zwykle witani „pięcioma filarami”, istnieje też jednak „sześć zasad założycielskich” oraz „uproszczony zbiór zasad” (zawierający 20 punktów). Nikt nie wie, ile reguł istnieje tak naprawdę. „WP:GUIDELINES”, czyli strona-matka dla „regulaminu” edytowania Wikipedii głosi, że „ponad 200”. Znajdują się tam linki do ponad stu głównych reguł, ale ↦

13-metrowa instalacja haftu przedstawiająca stronę Wikipedii o Wielkiej Karcie Swobód na wystawie „To Be Free”. Katedra w Salisbury, Wielka Brytania, 10 maja 2023 r.

FINNBARR WEBSTER / GETTY IMAGES

↦ prowadzą one zwykle do całych zbiorów szczegółowych zasad. Choć łatwo sobie wyobrazić, jak powstała każda z osobna, lista robi przytłaczające wrażenie. Zwłaszcza że każda zasada ma określenie kodowe, a administratorzy swobodnie się nimi posługują.

„WP:HOAX" to zakaz tworzenia mistyfikacji *à la* Batuta. „WP:NNUM" to jedna z licznych reguł dotyczących „*notability*", czyli „encyklopedyczności" danego tematu: to reguły pomagające ocenić, czy dany temat jest na tyle istotny, że zasługuje na artykuł. Jest ich sporo. Ta konkretna zasada dotyczy liczb, „WP:NCRYPTO" – kryptowalut, a „WP:JUDGE" – sędziów. „WP:NCENPOV" opisuje, jak zachować neutralność przy nazywaniu artykułów o wydarzeniach („Zamachy z 11 września 2001 roku" czy „Zamachy terrorystyczne z 11 września 2001 roku"?). „WP:MTAU" dotyczy przystępnego pisania na tematy techniczne, a „WP:MPN" pomaga zadecydować, którego wariantu nazwy geograficznej używać, gdy jest ich kilka.

Samozwańczy strażnicy

System zasad Wikipedii jest równie spójny i zrozumiały jak prawo. Już w 2008 r. „The Economist" pisał o „samozwańczych strażnikach Wikipedii, którzy usuwają wszystko, co nie spełnia ich standardów, uzasadniając swoje działania lawiną akronimów – proces znany jako *wiki-lawyering* [wiki-prawniczenie]". W 2013 r. administrator Oliver Moran narzekał na natłok zasad i „luźny kolektyw rządzący stroną (...) prowadzący opresyjną biurokrację w często agresywnej atmosferze, która zniechęca nowicjuszy".

W miarę jak rósł poziom skomplikowania Wikipedii, słabł początkowy twórczy entuzjazm. Dobry orientacyjny punkt przegięcia na drodze od spontanicznego kolektywu do dojrzałej biurokracji to lata 2006-2007. To wtedy maksimum osiągnęło tempo powstawania nowej treści oraz liczba aktywnych twórców – od tego czasu powolutku malejące.

Z „luźnym kolektywem" spotka się dziś każdy, kto zacznie regularnie edytować Wikipedię. Jego rolę – i władzę – najłatwiej odczuć przy pracy nad artykułami o dużym znaczeniu społecznym. Wtedy zaczynają pojawiać się problemy, które w zwykłym procesie wydawniczym rozwiązuje się w gronie redakcyjnym. Z jakiej perspektywy pisać? Co trzeba powiedzieć, a co jest niekonieczne?

> W 2024 r. przeanalizowano „nastawienie", z jakim na Wikipedii opisano 1628 tematów. Wynik był jednoznaczny: osoby i instytucje prawicowe przedstawia bardziej negatywnie niż lewicowe.

Poważne media informacyjne powinny, czysto teoretycznie, dążyć do tego, co Wikipedia określa jako NPOV – „neutralny punkt widzenia".

Wszyscy wiemy, jak z tym bywa w przypadku czasopism albo stacji telewizyjnych: są media lewicowe czy prawicowe, od lekkiej skłonności po ewidentną sympatię. Słowo „encyklopedia" wydaje się jednak wymuszać najwyższy standard suchego obiektywizmu. Wszelkie „skrzywienia" Wikipedii budzą więc potężne emocje. Po Facebooku czy Reddicie mogę się rozsądnie spodziewać sympatii politycznych. Ale po encyklopedii?

Serce po lewej

Nie jest tajemnicą, że angielska Wikipedia zmaga się z problemem liberalnego skrzywienia ideologicznego. Ba, większość najlepszych przykładów znalazłem właśnie na Wikipedii (pod hasłem „*Ideological bias on Wikipedia*"). Dodajmy, że na Wikipedii polskiej problem nie jest aż tak jaskrawy.

Po pierwsze, to kwestia skali. Polski artykuł o Andrzeju Dudzie edytowano 1613 razy. Angielski artykuł o Joe Bidenie – 12 636. To 8 razy więcej pretekstów do ideologicznej walki na słówka. Po drugie, na różnych Wikipediach panuje po prostu różny klimat, choćby ze względu na nastroje społeczne wśród mówców danego języka. Przykładowo, dużym problemem było swego czasu silne skrzywienie prawicowe na Wikipedii chorwackiej. Skupmy się jednak na Wikipedii angielskiej – jest nie tylko największa, ale ma też największy wpływ na globalny rynek idei.

Larry Sanger, współtwórca Wikipedii, gdy opuszczał projekt, jako jedną z przyczyn podał fakt, że zaczyna ona reprezentować „lewicowy, liberalny i »oficjalny« [*establishment*] punkt widzenia". Potwierdził to też inny współtwórca, Jimbo Wales, a w 2012 r. – pierwsze duże badanie naukowe (S. Greenstein i F. Zhu z Harvard Business School). Co istotne, Wikipedia została w nim zestawiona z Britanniką i okazała się wyraźnie bardziej „skrzywiona ideologicznie" od swojej brytyjskiej prababci, co zadało kłam przytaczanemu czasem sloganowi, że to „rzeczywistość ma lekkie skrzywienie liberalne". Oj, da się pisać neutralnie. Tylko „kolektyw" wikipedystów najwyraźniej tego nie umie.

W 2024 r. analityk mediów David Rosado opublikował raport, w którym posłużył się standardowymi dziś narzędziami do oceny nacechowania emocjonalnego tekstu. Przeanalizowano „nastawienie" – pozytywne lub negatywne – z jakim na Wikipedii opisano 1628 tematów; na ich liście znalazły się m.in. nazwiska amerykańskich senatorów, europejskich przywódców czy nazwy mediów. Wynik był jednoznaczny: Wikipedia opisuje osoby i instytucje prawicowe bardziej negatywnie niż lewicowe.

W sekcji „Dyskusja", która towarzyszy każdemu artykułowi, zachowały się niezliczone żmudne, czasem wieloletnie dyskusje nad tym, czym jest NPOV w danym przypadku. Mój ulubiony przykład to debata zajmująca ekwiwalent setek stron maszynopisu, czy Nikola Tesla powinien być przedstawiony jako Serb, Chorwat czy Amerykanin. Nawet *credo* nicejskie nie było staranniej redagowane, a ostatecznie stanęło na: „serbsko-amerykański inżynier, urodzony w Cesarstwie Austrii, dzisiaj: Chorwacja".

Gdy czyta się wikipedyjne sekcje „Dyskusja", staje się jasne, jak silnie oś liberalizm-konserwatyzm organizuje dziś myślenie o... praktycznie wszystkim. Niekończące się wzajemne oskarżenia o zlewaczenie i pro-Trumpizm czytamy więc przy dyskusjach o: zmianach klimatu (czy powinno mu towarzyszyć zdjęcie samotnego misia polarnego na krze lodowej?), używkach (czy niektóre artykuły nie zachęcają do spożywania?), feminizmie (a może by wspomnieć o jego agresywnie antymęskim skrzydle?), płci czy religii, nie mówiąc już o historii i polityce. Są wręcz wysuwane oskarżenia o „zafał-

ADAM CZERNENKO / EAST NEWS

Montaż pierwszego na świecie pomnika poświęconego współautorom Wikipedii. Słubice, 21 października 2014 r.

szowywanie historii", a jednym z gorących punktów jest artykuł „Socialism", który niektórzy wikipedyści określają niemal jako reklamę socjalizmu. A mówimy, bądź co bądź, o źródle numer jeden dla uczniów na całym świecie, próbujących na szybko przygotować esej albo nauczyć się do sprawdzianu.

A oto i problem bieżący: dlaczego w artykule na temat Joego Bidena nie ma nic o jego pogarszających się siłach poznawczych – co jest już dziś czymś więcej niż plotkarską ciekawostką, bo realnie wpływa na historię najnowszą? Administratorzy zwykle ucinają tę dyskusję tak: „Nie piszemy o tym z powodu WP:BLP i WP:MEDRS". Te dwa akronimy odsyłają do dwóch obfitych katalogów zasad dotyczących biografii żyjących osób oraz wiarygodnych źródeł medycznych. Czy wynika z nich jednak wprost i jednoznacznie, co konkretnie powinno się znaleźć w artykule na temat Bidena? Oczywiście nie. Do ich interpretacji potrzebne jest żmudne „wiki-prawniczenie", a kto ma w nim największe doświadczenie, jeśli nie doświadczeni administratorzy?

Paragraf 22

Początkujący wikipedysta próbujący edytować któreś z tysięcy „kontrowersyjnych" haseł szybko natrafi na mur. Wybrane artykuły są całkowicie zablokowane, tj. ich edycja jest technicznie niemożliwa. Znacznie większa liczba teoretycznie może być edytowana, jednak próby są automatycznie cofane, jeśli nie poprzedzi ich uzyskanie zgody administratorów, a czasem i głosowanie. Kluczowe jest uzasadnienie swoich racji. To jednak może być niełatwe – uzasadnienie musi być bowiem „poprawne". Obok „WP:NPOV" drugą mantrą administratorów tłumaczących nowicjuszom, co wolno napisać, jest zasada „WP:RS": na Wikipedii może znaleźć się tylko to, o czym piszą „wiarygodne źródła".

Ta zasada traktowana jest ze śmiertelną powagą. Nieoficjalny, ale i tak powszechnie cytowany, jest esej „*Wikipedia is wrong*" (Wikipedia się myli). Główna idea: wikipedystów nie interesuje prawda. Cytat: „Kryterium akceptowalności czegoś na Wikipedii jest weryfikowalność, a nie prawda". Wikipedia ma być wyłącznie rzetelną relacją z tego, co twierdzą inni, choćby i się mylili. Jacy inni? Oczywiście: „wiarygodni inni".

Pytanie brzmi: które źródła są wiarygodne? Regulują to rozliczne zasady, istnieje też jednak gigantyczny dokument („WP:RSP"), w którym szczególnie popularne źródła podzielono na trzy główne kategorie: czerwone „niewiarygodne", żółte „podejrzane" i zielone „wiarygodne". Cóż za wygoda! Teraz, gdy któryś wikipedysta niezadowolony z tego, jak negatywnie Wikipedia opisuje Trumpa, z dumą potrząśnie artykułem przedstawiającym go w dobrym świetle, można szybko sprawdzić, czy ów artykuł opublikowano w „wiarygodnym źródle". Jeżeli nie – dziękujemy: to tak, jakby ów tekst nie istniał. Haczyk tkwi w tym, że – jak wspomniałem – Wikipedia ma wyraźne tendencje liberalne, również jeśli chodzi o ocenę źródeł.

Skutki tego zostały już nawet policzone. W 2022 r. P. Yang i G. Colavizza stwierdzili na Wikipedii istotną przewagę źródeł liberalnych nad źródłami konserwatywnymi, nawet po uwzględnieniu stopnia ich wiarygodności. Użytkownik próbujący znaleźć „wiarygodne źródło" na to, że Trump nie jest aż tak okropny, albo że Biden miewa już dziś trudności z logicznym wysławianiem ↦

AI też się uczy z Wikipedii

ROZMAITE „SKRZYWIENIA" WIKIPEDII – obok politycznego, pisze się też czasem o płciowym, geograficznym, pronarkotykowym czy (anty) religijnym; nie mówiąc już o mistyfikacjach i korporacyjnych „akcjach ocieplania wizerunku" – to nie tylko jej wewnętrzna sprawa. Niemal wszystkie aplikacje typu ChatGPT (technicznie: duże modele językowe, „LLM") są trenowane również na Wikipedii. Nic dziwnego: to gigantyczny zbiór tekstu (angielska Wikipedia liczy 4,6 miliarda słów), otwarcie dostępny, na wszelkie wyobrażalne tematy, i o mimo wszystko dość dużej wiarygodności. Chwali się tym sama Wikimedia Foundation: „Jak na razie każdy LLM jest trenowany na Wikipedii i niemal zawsze jest ona największym źródłem danych treningowych". To realistyczna przechwałka: analiza zlecona w kwietniu tego roku przez „Washington Post" wykazała, że Wikipedia jest prawdopodobnie drugim głównym źródłem tekstu dla najważniejszych LLM-ów (tuż po zgromadzonej przez Google gigantycznej bazie treści patentów).

WERSJA RZECZYWISTOŚCI, którą przedstawia Wikipedia, trafia więc do nas nie tylko przy okazji googlowania. Jest ona zakodowana w języku, jakiego używa „sztuczna inteligencja" – ta zaś z każdym miesiącem coraz silniej i zarazem coraz dyskretniej pośredniczy pomiędzy nami i światem informacji. Jeśli więc na Wikipedii jakaś sfera rzeczywistości jest konsekwentnie opisana jako groźna, jakaś ideologia jako negatywna, a jakaś firma jako solidna – LLM-y do pewnego stopnia odziedziczą te sentymenty jako oczywistość językową i będą „zakładać", że tak po prostu jest. © ŁL

się, jest więc trochę w takiej sytuacji, w jakiej znalazłby się Polak próbujący udokumentować wszystkie pozytywne dokonania PiS-u na podstawie stosu „Newsweeków". Co gorsza, na Wikipedii trzeba wykazać „konsensus wiarygodnych źródeł", co prowadzi czasem do żmudnego zliczania odwołań – po czym do artykułu trafia głos większości.

Przypuśćmy jednak, że ktoś uparty próbowałby zmienić status jakiegoś źródła w wielkiej tabeli na WP:RSP, aby wpuścić do Wikipedii „konserwatywny głos". Teoretycznie jest to oczywiście możliwe, jednak administratorzy napominają, że jeśli dyskusja na temat danego źródła prowadzona była już wielokrotnie, to szanse na zmianę są niewielkie, a wniosek trzeba poprzedzić dogłębną lekturą zarchiwizowanych dyskusji. Co więcej, wiarygodność źródła też by trzeba dobrze uzasadnić, najlepiej... wiarygodnymi źródłami.

Kto jest ekstremistą?

Jednym z najbardziej kontrowersyjnych „wiarygodnych źródeł" Wikipedii jest Southern Poverty Law Center (SPLC), amerykańska organizacja non-profit zrzeszająca prawników walczących o prawa czarnych Amerykanów. SPLC publikuje regularnie listę „ekstremistów" i „grup nienawiści": organizacji nacjonalistycznych czy skinheadowskich, ale też „anty-LGBT" albo „męskich suprematystów". W 2019 r. liczebność tej listy przekroczyła 1000, co wywołało szereg komentarzy (tak, również w „wiarygodnych źródłach" Wikipedii, jak „Washington Post", „The Atlantic" czy „Politico"...), że organizacja czasem przesadza, nawet jeśli z dobrej woli.

> Wikipedystów nie interesuje prawda. Wikipedia ma być wyłącznie rzetelną relacją z tego, co twierdzą „wiarygodne źródła", choćby i się myliły.

„Suprematysta" i „ekstremista" to mocne słowa, będące bardziej oskarżeniem niż kategoryzacją. I po czym konkretnie poznać, czy dana grupka religijna głosząca „świętość rodziny" promuje tym samym „nienawiść" wobec LGBT? Są już zresztą przypadki wygranych pozwów o zniesławienie, które kończyły się sądowym nakazem usunięcia kogoś z listy SPLC. Organizacja ta pozostaje jednak na Wikipedii koronnym argumentem, że ktoś jest „suprematystą", a jakaś instytucja „grupą nienawiści" – mimo ponad 20 zarchiwizowanych wniosków o przesunięcie jej choćby do „grupy żółtej".

Temat wraca jak bumerang choćby przy artykułach na tematy z kręgu „manosfery". Polska Wikipedia jest w tej kwestii dość ostrożna, określając (stan na 2 października 2024 r.) manosferę jako „nieformalną sieć blogów, forów internetowych i stron internetowych, które skupiają się na kwestiach związanych z mężczyznami i męskością". Dalej: „Często jest on interpretowany jako maskulinizm, tj. męski odpowiednik feminizmu lub sprzeciw wobec niego. Wspólne tematy obejmują prawa mężczyzn, prawa ojców i MGTOW; samodoskonalenie; antyfeminizm; męskie ofiary przemocy". Nie brzmi to źle. Tymczasem na angielskiej Wikipedii artykuł o manosferze wita, w samym tylko wstępie, mizoginią, skrajną prawicą, cyberprzemocą, radykalizmem, przemocą wobec kobiet oraz masowymi strzelaninami.

Czy jest na to wszystko jakaś systemowa odpowiedź? Wikipedia ma trudną, nieoczywistą relację ze „sztuczną inteligencją" typu ChatGPT [zob. ramka], ale jeszcze trudniejsza jest historia prób jej reformowania od środka. Choć obrosły tysięcznymi regułami i miejscami mocno pachnący biurokracją, jest to wciąż, co do swojej zasady, projekt otwarty i rozwijający się metodą samoorganizacji.

Sanger i Wales marzyli o tym, że otwarta encyklopedia stanie się jednym z wiodących głosów w światowej infosferze, ale nie mogli przewidzieć, co to oznacza w praktyce dla globalnego przepływu informacji, wiedzy, przekonań, a nawet emocji i działań ludzkich. Wikipedia jest więc nieodrodnym dzieckiem, wręcz kwintesencją internetu.

© ŁUKASZ LAMŻA

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński, Marek Rabij, Piotr Śmiłowicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska, Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska, Anita Piotrowska
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński, Maciej Müller, Monika Ochędowska, Katarzyna Rutkowska
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja marki: Monika Lech
Marketing i sprzedaż: Marek Bednarz, Anna Cieślak, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Michał Sowiński
Rozwój cyfrowy: Sławomir Bieniek, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Iwona Kuciel, Joanna Pelka, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Rafał Matyja, Paweł Musiałek, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Płachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Wybierz swoją prenumeratę

TYGODNIK POWSZECHNY

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na **TygodnikPowszechny.pl/sklep**
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
  ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
  Nr konta Bank Pekao SA
  49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Pełna oferta prenumeraty Tygodnika:
TygodnikPowszechny.pl/sklep

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

W sprawie zakupu prenumeraty papierowej przez internet pomocy udziela Iwona Kuciel w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: **kontakt@TygodnikPowszechny.pl**

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA	
	Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
Kwartał – 12 wydań	160 zł	200 zł
Rok – 52 wydania	550 zł	680 zł
Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA	480 zł	
4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	100 zł	
Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	640 zł	770 zł
Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

Suwerenni dzięki Wam

Suwerenni dzięki Wam – to hasło towarzyszy „Tygodnikowi" od dłuższego czasu. Oznacza tyle, że przetrwanie pisma zależy od jego Czytelniczek i Czytelników, a nie od widzimisię władzy politycznej czy kapitałowej. Zalety takiej sytuacji są obopólne: Państwo mają pewność, że publikacje „Tygodnika" są niezależne, redakcja natomiast ma możliwość pisania obiektywnego i o sprawach najważniejszych.

Misja „Tygodnika"

Każda osoba prenumerująca nasze pismo wspiera realizację naszej misji: Odważnie prowadzimy Czytelniczki i Czytelników przez świat, zachęcając do patrzenia na rzeczywistość z różnych perspektyw. Nasze publikacje i działania poszerzają horyzonty myślenia i wolności. Prawda jest dla nas sprawą nadrzędną. Ważne są dla nas wzajemny szacunek i otwartość – nie zamykamy się na żadną ze stron dialogu. **Wierzymy, że świat da się naprawić.**

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Sukcesja po Mojżeszu

Żydzi zwykle nie mówią „Sto lat!". Czyżby nie chcieli winszować długiego życia dostojnym jubilatom? Wręcz przeciwnie – życzą im „do stu dwudziestu!" (jid. *biz hundert un cwancik*, hebr. *ad mea weesrim*). Ów dwudziestoprocentowy naddatek pochodzi od Mojżesza, który – wedle tradycji – urodził się 7 dnia miesiąca adar i umarł tego samego dnia po 120 latach. Skąd o tym wiadomo? Wiekuisty zapowiada, że jeśli Izrael będzie postępował zgodnie z Jego zaleceniami, „[n]ie będzie roniącej ani niepłodnej w kraju twoim; liczby dni twoich dopełnię" (Wj 23, 26). Sprawiedliwi – jak pustynny przywódca – mogą liczyć na pełnię swoich dni. Trzy rozdziały przed końcem Księgi Powtórzonego Prawa „poszedł Mojżesz i wypowiedział te słowa wszystkiemu Israelowi, – I rzekł do nich: »Sto dwadzieścia lat mam dzisiaj...«" (Pwt 31, 1-2; Cylkow).

A jak brzmiało jego następne zdanie? „[N]ie mogę już wychodzić i wchodzić; Wiekuisty też powiedział do mnie: »Nie przejdziesz za ten Jarden [po hebr. Jordan]!«" (dokończenie wersu 2). Pamiętamy: to smutna konsekwencja wydarzeń u wód Meriwa (zob. Lb 20, 1-13), bezpośrednio po śmierci Miriam – najstarszej z trójki rodzeństwa. Tamże „rzekł Wiekuisty do Mojżesza i Ahrona: »Za to, żeście nie zawierzyli Mi, aby uświęcić Mnie w oczach synów Israela, przeto nie zaprowadzicie zgromadzenia tego do ziemi, którą oddaję im!«" (Lb 20, 12). Aaron dokonuje żywota wkrótce potem (zob. wersy 22-29), przekazując tuż przed śmiercią na górze Hor arcykapłańskie szaty Eleazarowi, najstarszemu ze swoich żyjących synów.

A sukcesja po najmłodszym z rodzeństwa? W dniu swoich 120. urodzin „przyzwał Mojżesz Jehoszuego, i rzekł doń przed oczyma całego Israela: »Bądź silnym i wytrwałym; bo ty wnijdziesz z ludem tym do ziemi, o której zaprzysiągł Wiekuisty ojcom ich, iż ją odda im«" (Pwt 31, 7). Już w Księdze Liczb Najwyższy wyznacza na następcę Jozuego: „Weź sobie Jehoszuę, syna Nuna, męża obdarzonego duchem, a połóż rękę twoję nań" (Lb 27, 18). Dzieje się to na wyraźną prośbę Mojżesza: „Niechaj ustanowi Wiekuisty... nad zborem tym – męża, [k]któryby wychodził przed nimi, i któryby wchodził przed nimi" (wersy 16-17). Rzuca to nowe światło na przytoczone wyżej słowa jubilata: „nie mogę już wychodzić i wchodzić". Nie – starym i nogi mnie nie niosą, lecz – nastał nowy lider, a ja tu tylko sprzątam. ©

Małgorzata Kordowicz jest rabinką w warszawskiej Gminie Wyznaniowej Żydowskiej. Hebraistka, opublikowała m.in. polsko-hebrajski modlitewnik dla dzieci.

O. WACŁAW

Oszajca:
Miłość bez dyspensy

Pochodzę z powiatu tomaszowskiego, religijnego i kulturowego pogranicza polsko-ukraińsko-żydowsko-wołoskiego. W pamięci mojego pokolenia siedemdziesięciolatków to piękne i straszne dziedzictwo wciąż trwa. Jako dzieciak w grudniowe wieczory podczas darcia pierza i gręplowania wełny nasłuchałem się ponad miarę opowieści o dobrych i złych Polakach, Ukraińcach, Żydach, jak też o żołnierzach polskich, rosyjskich, ukraińskich, madziarskich, niemieckich. Ta pamięć sprawia, że pytanie Jana Pawła II z „Tryptyku rzymskiego": „Jak przeniknąć poza granice dobra i zła?", przyprawia o ból głowy.

Dla przykładu, siostra mojego dziadka wychodząc za mąż nie wiedziała, że jej mąż w niedalekiej przyszłości stanie się niemieckim konfidentem i zostanie za to rozstrzelany przez partyzantów. Gdy się to już stało, jego zwłoki wydobyto z leśnej mogiły i pogrzebano na parafialnym cmentarzu. Dlaczego tak? Dlatego, że ten złoczyńca był jednym z nas i tak już pozostanie. Nie nam sądzić zmarłych. Dwa tysiące lat wcześniej Piotr tak mówił o Judzie Iskariocie, który „wskazał drogę tym, którzy pojmali Jezusa, bo on zaliczał się do nas i miał udział w naszym posługiwaniu". Moja babka stając wobec takiego splątania dobra i zła i nie wiedząc, co powiedzieć, mawiała: „Nawet prorocy nie znają boskiej mocy".

Lipcowy niedzielny poranek, szykujemy się do kościoła, a tu od Majdanu nachodzą chmury. „Idzie dyszcz". Kto żyw zrzucał z siebie świąteczne ubranie i co koń wyskoczy jechał w pole po zboże. W następną niedzielę proboszcz Witold Korsak z ambony ogłaszał, że widząc gradową chmurę, udzielił wszystkim dyspensy, żeby ratowali chleb, bo chleb to życie. Nie cytował przy tym Biblii, ale działał w jej duchu: „Modliłem się i otrzymałem w darze roztropność, błagałem żarliwie i wstąpił we mnie duch mądrości". Z całą pewnością nie czytał też Karla Rahnera, który pisał, „że na przykład miłość, a nie tylko sytuacja przymusowa może nas zwolnić od przykazania kościelnego". Dlatego dyspensowania od piątkowego postu i niedzielnego obowiązku na pewno nie potrzebowali powodzianie i ich ratownicy. Nie oglądając się na nic, robiąc, co należało zrobić, z całą pewnością wybrali to, co Jezus nazywa „najlepszą cząstką". *Sensus fidelium* wziął górę nad *sensus ecclesiae*. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Duch Eliasza i Duch Jezusa

Uciążliwego brata znoś wedle swoich możliwości.

BARSANUFIUSZ Z GAZY

I przyjemne, i dobre człowieka nachodzi. Mędrzec po zastanowieniu rozróżnia oba.

UPANISZADA KATHA

Jezus „postanowił udać się do Jeruzalem i wysłał przed sobą posłańców. Ci [przyszli] do pewnego miasteczka samarytańskiego, by przygotować Mu pobyt. Nie przyjęto Go jednak, ponieważ zmierzał do Jeruzalem. Widząc to, uczniowie Jakub i Jan rzekli: Panie, czy chcesz, byśmy powiedzieli: »Niech ogień spadnie z nieba i pochłonie ich?«. Lecz On, odwróciwszy się, zgromił ich" (Łk 9, 51-56).

W wielu dawnych rękopisach w tym miejscu pojawia się zdanie, którego nie przytacza nasz lekcjonarz: „zgromił ich, mówiąc: Nie wiecie, czyjego ducha jesteście! Syn Człowieczy nie przyszedł, aby dusze zgubić, lecz zbawić!". Co to znaczy? Jan i Jakub zareagowali dokładnie tak, jak dziewięć wieków wcześniej Eliasz, który ściągnął z nieba ogień na żołnierzy, którzy podawali w wątpliwość jego godność prorocką (zob. 2 Krl 1, 10. 12). Czy Eliasz nie był Bożego Ducha? Ależ, oczywiście, że był! Więc dlaczego to, co było przejawem Ducha dziewięćset lat przed Jezusem, nie jest nim teraz? Najwyraźniej z Jezusem Bóg znajduje się już w daleko innym miejscu, niż był z Eliaszem. Pan nie zatrzymał się w epoce Eliasza i na poziomie jego rozeznania. Co było właściwe dla starotestamentalnego proroka, w Jezusie jest przekroczone i przemienione. Co było „z Ducha" w czasach Eliasza, nie jest już takie w gronie uczniów Jezusa.

Tego dnia na synodzie w Rzymie o. Timothy Radcliffe komentował 21. rozdział Ewangelii Jana, opisujący objawienie się Zmartwychwstałego Piotrowi i jego towarzyszom nad Jeziorem Galilejskim. Jezus przyszedł do nich po nocy spędzonej na bezowocnym połowie ryb. „Na czym polega noc Piotra? – pytał nas rekolekcjonista. – Dlaczego była bezowocna?". Otóż Piotr wrócił po trzech latach dokładnie do tego, czym żył wcześniej. Tak jakby się tymczasem nic nie wydarzyło. Wrócił do tego, co dawniej było dobre i skuteczne. Teraz jednak już takie nie jest. Zmartwychwstanie nie jest powrotem do dawnego życia. Jest wejściem w życie tożsame, a jednak kompletnie nowe.

Bóg Eliasza i Bóg Jezusa to ten sam Bóg. Duch Eliasza i Duch Jezusa to ten sam Duch. Ale to Bóg w drodze, idący naprzód, ciągle nowy i odnawiający. Wierny Mu jest ten, kto towarzyszy Mu w drodze, a nie okopał się w miejscu, gdzie On był dziewięć wieków wcześniej. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

CZYTANIA LITURGICZNE (13 – 20 X)

28. niedziela zwykła: Mdr 7, 7-11; Ps 90; Hbr 4, 12-13; Mk 10, 17-30;
Poniedziałek: Ga 4, 22-24. 26-27. 31 – 5, 1; Ps 113; Łk 11, 29-32;
Wtorek: Ga 5, 1-6; Ps 119; Łk 11, 37-41;
Środa: Ga 5, 18-25; Ps 1; Łk 11, 42-46;
Czwartek: Ef 1, 1-10; Łk 98; Łk 11, 47-54 ;
Piątek: 2 Tm 4, 10-17a; Ps 145; Łk 10, 1-9;
Sobota: Ef 1, 15-23; Ps 8; Łk 12, 8-12;
29. niedziela zwykła: Iz 53, 10-11; Ps 33; Hbr 4, 14-16; Mk 10, 35-45.

Wybrał PIOTR SIKORA

KRAJ

GDZIE JEST NASZA KASA

Na boomie edukacyjnym, który pchnął miliony Polaków na uczelnie, zarobiły głównie wielkie korporacje. Miasta, które uznały tę sytuację za własne Eldorado, za chwilę będą miały problem.

MARCIN KĘDZIERSKI

Coraz mocniej do debaty publicznej przebija się teza o „złotym wieku" polskiej gospodarki. Nawet jeśli wielu z nas nie przeczytało książki prof. Marcina Piątkowskiego o tym, „jak Polska została europejskim liderem wzrostu i jaka czeka ją przyszłość", intuicyjnie czujemy, że nadszedł nasz historyczny moment. Dyskusje wokół CPK pokazują, że niemała część społeczeństwa ma rosnącą świadomość dziejowej szansy na szybki rozwój, a co za tym idzie – także rosnące aspiracje.

Polska na wyścigach

Społeczne intuicje są potwierdzane za sprawą obserwacji dokonywanych przez naszych rodaków w trakcie powszechnych już zagranicznych wyjazdów wakacyjnych. Choć wciąż mamy u nas przestrzenie biedy, co do zasady zaczynamy dostrzegać, że Polska staje się państwem coraz bardziej zamożnym i w porównaniu do wielu innych europejskich krajów – jest fajnym miejscem do życia. Zresztą, co jakiś czas przez media zarówno tradycyjne, jak i społecznościowe przewijają się sygnały, że Grecy, Hiszpanie, Włosi, a nawet Anglicy rozważają przeprowadzkę nad Wisłę. W polskich mediach prawdziwą furorę zrobił materiał wyemitowany przez BBC, zgodnie z którym pod względem dochodów „wyprzedzimy" przeciętnego Brytyjczyka już w 2030 roku.

Co warte podkreślenia, te intuicje znajdują potwierdzenie w danych. Od czasów światowego kryzysu finansowego lat 2007-2008 realne dochody w Polsce wzrosły o niemal 50 proc. W tym samym czasie państwa Południa Europy doświadczyły stagnacji, a Grecja wręcz spadku realnych wynagrodzeń o ponad 30 proc. Dziś przeciętny Polak zarabia więcej od Greka oraz Portugalczyka i powoli, ale systematycznie, dogania Hiszpana i Włocha.

Nawet w naszym regionie sytuacja zmienia się diametralnie na naszą korzyść. W momencie wejścia do UE polskie PKB *per capita* mierzone siłą nabywczą dobijało do 50 proc. ówczesnej unijnej średniej. W tym czasie Czechy były – według danych Eurostatu – na poziomie 72 proc. Jednak najnowsze dane pokazują, że w 2023 roku zarówno płaca minimalna, jak i mediana dochodu rozporządzalnego w Polsce okazały się już wyższe niż u naszych południowych sąsiadów. A jeszcze u progu transformacji PKB Czech było około dwukrotnie wyższe od polskiego. Czyż nie jest to dowód ogromnej *success story*?

Bogaci, ale wciąż biedni

Cała retoryka „doganiania" Europy nie jest specjalnie sensownym sposobem dyskutowania o rozwoju, ale nie ulega wątpliwości, że zarabiamy zdecydowanie lepiej niż kilkanaście lat temu. Kiedy jednak przyjrzymy się poziomowi bogactwa mierzonego posiadanym majątkiem, sytuacja nie wygląda już tak kolorowo. Wystarczy spojrzeć na porównania przygotowywane co roku w ramach tzw. *Global Wealth Report* przez bank UBS (a wcześniej Credit Suisse). Zobaczymy tam, że majątek przeciętnego Polaka to niecałe 100 tys. zł. Często kluczowym i *de facto* jedynym jego składnikiem jest mieszkanie (którego wartość dzieli się na wszystkich członków rodziny), na dodatek będące nierzadko w posiadaniu gospodarstwa do-

ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

Warszawa, na Rondzie Ignacego Daszyńskiego, październik 2018 r.

mowego za sprawą transformacyjnego uwłaszczenia się na spółdzielczym zasobie, odziedziczonym po epoce PRL.

Jak to się stało, że choć zarabiamy już całkiem przyzwoite pieniądze, to nie udało nam się przez ostatnie 30 lat istotnie zwiększyć poziomu naszego majątku i wciąż jesteśmy znacznie biedniejsi od takich Greków, nawet jeśli zarabiają oni już wyraźnie mniej od nas? Dlaczego ciągle jesteśmy państwem, które cierpi na chroniczny brak kapitału? Krzysztof Mazur na swoim internetowym kanale o geoekonomii, próbując odpowiedzieć na to pytanie, wskazywał na rozbuchane modele konsumpcji. Ot, zamiast gromadzić majątek, po ciężkich latach „komuny" i transformacji wreszcie stać nas na korzystanie z życia, choćby w postaci drogich, zagranicznych wakacji. W ten sposób mielibyśmy przepuszczać pieniądze przez palce.

Ta odpowiedź nie wydaje mi się jednak kompletna. Kiedy patrzę na historię własnej rodziny, a także wielu moich znajomych z wyżowych roczników przełomu lat 70. i 80. XX wieku, znajduję też inne wytłumaczenie. Pieniądze te poszły w dużej mierze na sfinansowanie ogromnego boomu edukacyjnego, który przeżywaliśmy na przełomie wieków. Przypomnę, że w jego szczycie (rok akademicki 2005/2006) na polskich uczelniach studiowało prawie dwa miliony osób. Co więcej, aż 60 proc. z nich płaciło za studia: czy to w formule studiów niestacjonarnych na uczelniach publicznych, czy też w postaci czesnego na uczelniach niepublicznych. Do tego trzeba doliczyć ogromne koszty pośrednie, związane z koniecznością utrzymania się w dużym mieście uniwersyteckim, choćby koszty wynajmu mieszkania lub pokoju. Jeśli dodamy do tego fakt, że mieliśmy wówczas 20-procentowe bezrobocie (wśród młodych było ono jeszcze wyższe), a dorabianie na studiach nie było zajęciem tak powszechnym jak dziś, wyłania się nam obraz rodzin, które każde wolne środki ładowały w szeroko rozumianą edukację dzieci. Do tego dochodziły też pieniądze wydane na korepetycje i zajęcia w szkołach językowych. Nie zapominajmy, że wtedy, u progu XXI wieku, toczyła się w Polsce zaciekła walka o miejsca na bezpłatnych studiach. Moje pokolenie wchodziło w dorosłość w klimacie konkurencji spod znaku „10 kandydatów na jedno miejsce".

↦

Gigantyczny skok

↦ Nie spotkałem się z kompleksowym szacunkiem kosztów tego edukacyjnego boomu, ale były to dziesiątki, a niewykluczone, że nawet setki miliardów złotych, gdyby tak podliczyć wszystkie bezpośrednie i pośrednie wydatki na studia milionów Polaków (w tym także utracone przychody wynikające z braku możliwości podjęcia pracy w pełnym wymiarze czasowym w trakcie studiów). Dlatego jeśli miałbym powiedzieć, gdzie się podziały te nasze majątki, to bez większych kontrowersji szukałbym ich właśnie w historiach edukacyjnych pokolenia wyżu demograficznego lat 70. i 80. XX wieku.

Z mojej perspektywy ciekawsze są jednak inne pytania. Po pierwsze, skąd tak naprawdę wzięła się ta powszechna „moda" na studiowanie? Po drugie, kto był beneficjentem tego procesu, lub – mówiąc wprost – kto na tym zarobił? Po trzecie wreszcie, jakie miało to skutki zarówno dla poszczególnych grup społecznych, ale i szerzej – całego społeczeństwa oraz tzw. gospodarki.

Z pewnością istnieje wiele przyczyn, które spowodowały tak ogromny wzrost popytu na studia wyższe w latach 90. XX wieku. Przypomnijmy, że w 1989 roku tzw. współczynnik skolaryzacji brutto (relacja między liczbą osób uczących się na danym poziomie kształcenia do liczby ludności w określonej grupie wiekowej) w przypadku edukacji wyższej nie przekraczał 10 proc. i wyraźnie odstawał od europejskiej średniej. Choćby z tego powodu było wiadomo, że Polska musi dokonać w tym zakresie wyraźnego skoku. Pytanie, czy musiał on być aż tak gigantyczny – w szczytowym momencie wspomniany współczynnik przekroczył 50 proc. i był istotnie wyższy niż w państwach Europy Zachodniej. Polacy faktycznie masowo ruszyli na studia, widząc w tym obietnicę lepszego życia. Na początku XXI wieku czynnikiem, który stanowił dodatkowy motywator, okazało się wspomniane już wcześniej bezrobocie wśród młodych – decyzja o pójściu na studia była w jakimś sensie ucieczką i odroczeniem momentu, w którym wejdzie się na rynek pracy. Inna sprawa, że osoby z mojego pokolenia po zakończonych studiach nie miały za wiele szczęścia, bo choć w wyniku akcesji do UE współczynnik bezrobocia spadł (także za sprawą masowej emigracji), to trafiliśmy na rynek niedługo przed początkiem światowego kryzysu finansowego.

Nauka od podstaw

Nie ograniczałbym jednak wyjaśnienia edukacyjnego boomu jedynie chęcią doszusowania do Zachodu albo ucieczką przez wejściem na rynek pracy w sytuacji wysokiego bezrobocia. Nie bez znaczenia pozostawał bowiem fakt, że dyplom stanowił bramę wejściową do pracy w polskich oddziałach zagranicznych firm. Globalne korporacje zawarły ze światem akademickim nieformalną (ale nieraz i całkiem oficjalną) umowę, że oto teraz uczelnie będą w jakimś sensie gatekeeperami procesu rekrutacyjnego. Utyskiwanie, że uczelnie nie przygotowywały (i nadal tego nie robią) do funkcjonowania na rynku pracy, jest w moim odczuciu bezzasadne. Czyniły to, jak umiały, ucząc karnego funkcjonowania w grupie i zdolności do wykonywania rutynowych, może niezbyt ambitnych, ale systematycznych zadań. Z tej perspektywy sam proces przygotowywania się do egzaminów (nieważne z czego), a także pisania pracy magisterskiej (nieważne o czym), stanowił wystarczający próg kwalifikacyjny. Uzyskanie dyplomu oznaczało, że kandydat ma wystarczające predyspozycje, aby odnaleźć się w firmie, gdzie i tak wszystkiego nauczy się go od podstaw.

Nie jestem wyznawcą teorii spiskowych, dlatego nie uważam, że w tej strategii był ukryty jakiś misterny plan zagonienia Polaków na studia i „zmarnowania" ich czasu oraz budującego się kapitału na wejście w proces, który w gruncie rzeczy nie ma większego znaczenia – w końcu do oceny predyspozycji kandydata do pracy w korporacji nie było konieczne aż pięć lat studiów. Nie da się jednak wykluczyć, iż właściciele zagranicznego kapitału dostrzegali ten pozytywny z ich perspektywy efekt uboczny i nie byli zainteresowani, aby go zmienić. Rozproszenie kapitału w Polsce gwarantowało, że nie pojawi się tu konkurencja, więc korporacje będą mogły zajmować najbardziej intratne miejsce w globalnym łańcuchu wartości. Nie da się przecież wykluczyć, że zakumulowany w polskich rękach kapitał posłużyłby w ostatnich latach zbudowaniu większej liczby naprawdę dużych firm, zdolnych podjąć konkurencję z zagranicznymi koncernami w walce o większy udział w wartości dodanej, czyli w praktyce – o większe marże i tym samym większy rodzimy kapitał.

Kto wygrał

Opisany mechanizm funkcjonował w niemal niezmienionym kształcie przez tyle lat (dopiero niedawno współczynnik skolaryzacji spadł do poziomów zachodnioeuropejskich i wynosi 39,6 proc. w Polsce, przy średniej unijnej – 36,5 proc.), gdyż poza zagranicznymi korporacjami był on także w interesie dwóch innych, rodzimych grup – włodarzy największych polskich miast oraz świata Akademii. Spójrzmy choćby na Kraków – minione 25 lat to okres bezprecedensowego rozwoju miasta, napędzanego w bardzo dużym stopniu czymś, co można określić mianem renty demograficznej. Lokalne władze nie musiały robić prawie nic, aby przyciągnąć młodych, ambitnych ludzi, bo stolica Małopolski historycznie cieszyła się opinią miasta studenckiego. Równie niewiele musiały robić, aby przyciągnąć zagraniczne korporacje – wystarczającym argumentem był dostęp do taniej i dobrze wykształconej siły roboczej. Dodatkowo, skoro pojawiało się tak wielu młodych ludzi, powstał też popyt na mieszkania – deweloperzy bili się o możliwość budowa-

SPROSTOWANIE

W ostatnim numerze Tygodnika Powszechnego, w artykule **„Zdrowie w podejrzanie dobrej cenie",** przedrukowaliśmy przez pomyłkę **zdjęcie innej osoby,** zamiast fotografii **PROF. PAWŁA JANUSZEWICZA** – pediatry i psychiatry związanego z Centrum Zdrowia Dziecka, a także kierownika Katedry Chorób Cywilizacyjnych i Medycyny Regeneracyjnej w Wyższej Szkole Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie.

Przepraszamy Pana Profesora i czytelników za błąd.

nia bloków w Krakowie, czasem nawet w korupcyjny sposób, czego dowodem jest kilka afer z czasów długiej prezydentury Jacka Majchrowskiego.

Skutkiem tego procesu były zatem nie tylko rosnące wpływy z tytułu podatków od osób prawnych i fizycznych, ale i nierzadko bezpośrednie korzyści majątkowe. Nie tylko zresztą dla niektórych urzędników, ale także dla „rdzennych" mieszkańców Krakowa, którzy mogli bez większego wysiłku bogacić się na wynajmie mieszkań dla studentów. Jednocześnie ten zyskowny interes nie wymagał w zasadzie zaangażowania – dopóki krakowskie uczelnie przyciągały studentów, było to *perpetuum mobile*. Tyle że przy odrobinie zaangażowania miasto mogłoby dziś być w zupełnie innym miejscu: stać się europejską metropolią, a nie ośrodkiem, z którego najbardziej ambitne jednostki wolą jednak uciec. Nie jest przypadkiem, że absolwenci krakowskich liceów coraz rzadziej trafiają na miejscowe uczelnie.

Niestety, boom edukacyjny stanowił doskonałe usprawiedliwienie i zasłonę dymną dla nic-nie-robienia, a włodarze akademickich metropolii mogli odcinać kupony od nie swojego sukcesu.

Feudalne hybrydy

Identyczny proces dotknął uczelni. Podmioty funkcjonujące w feudalnej logice wskoczyły w świat globalnego kapitalizmu. Podobnie jak największe polskie miasta, także Akademia nie musiała dokonywać żadnych realnych zmian, gdyż miała zapewniony stały dopływ studentów, a wraz z nimi dostęp do pieniędzy. Co gorsze, skoro w całej grze chodziło głównie o dyplomy i przygotowanie pewnego określonego typu absolwenta, to nie było absolutnie żadnej zewnętrznej presji na poprawę jakości kształcenia ani ze strony biznesu, ani państwa. Odnoszę wrażenie, że skala deprawacji uczelni stała się nawet większa niż w przypadku miast – te ostatnie musiały się mimo wszystko czymś zajmować i były pod pewną kontrolą społeczną, choćby dzięki wyborom. Uczelniom nie pozostało nic innego jak korzystać z tego Eldorado. Oczywiście nie wszyscy akademicy brali w tym udział w równym stopniu – nie brakowało takich, którzy klepali biedę lub odchodzili z pracy. Jednak ostatnie 20 lat to głównie czas budowy wielu profesorskich fortun, a jednocześnie utrwalania osobliwej feudalno-kapitalistycznej hybrydy (z elementem monarchicznym, bazującym na dziedziczeniu stanowisk), która skutecznie wypchnęła wielu obiecujących ludzi nauki na zagraniczne uczelnie. Swoją drogą, zrozumienie kultury organizacyjnej polskich uczelni jest zadaniem niezwykle trudnym i skomplikowanym. Nie wiem, czy istnieje na świecie struktura, która funkcjonowałaby w podobny sposób, co polskie uniwersytety. Nie jest to powód do dumy.

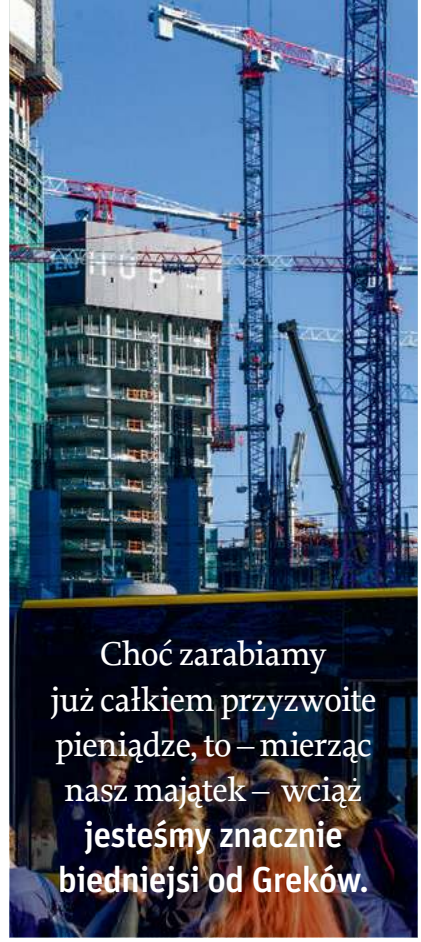

Choć zarabiamy już całkiem przyzwoite pieniądze, to – mierząc nasz majątek – wciąż **jesteśmy znacznie biedniejsi od Greków.**

ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

Największy problem polega jednak na tym, że ostatnie 20 lat zatrzymało miasta studenckie i ich uniwersytety w miejscu (widać to też w międzynarodowych rankingach). Stało się tak w momencie, w którym świat nie tylko się nie zatrzymał, ale wręcz dynamicznie się zmieniał. Bardzo trudno będzie je teraz wyrwać z tego „konserwatyzmu na kapitalistycznych sterydach".

Koniec ery

Niestety, złota era się kończy. Za sprawą z jednej strony rosnących kosztów pracy, a z drugiej szybko malejącej liczby studentów (co wynika z pogłębiającego się niżu demograficznego, ale też z ucieczki na Zachód osób najzdolniejszych i pochodzących z najbogatszych rodzin), w perspektywie najbliższej dekady globalne korporacje, w tym choćby sektor usług dla biznesu, zaczną się z Polski zwijać – a proces ten może się jeszcze pogłębić za sprawą rozwoju sztucznej inteligencji. Nie oznacza to oczywiście, że znikną wszystkie miejsca pracy w tych sektorach, ale trzeba być gotowym na istotną redukcję zatrudnienia. Jeśli dziś w samym Krakowie sektor usług biznesowych generuje ok. 100 tysięcy miejsc pracy, warto zadać pytanie, co się stanie, gdy w przeciągu powiedzmy pięciu lat wyparuje połowa z nich? Taki scenariusz oznacza prawdziwą katastrofę dla miasta, i to z wielu powodów – zarówno dochodowych (zmniejszenie bazy podatkowej), ale także wizerunkowych. Nie trzeba być wielkim znawcą tematu, by dostrzec, że takie miasta jak Kraków, Wrocław, Poznań czy Gdańsk nie są dziś przygotowane na negatywny rozwój wypadków. Mniejsze środki również.

Jeszcze bardziej dramatycznie rysuje się jednak przyszłość uczelni. Już nawet biznes zorientował się, że cała ta zabawa z dyplomami nie ma większego sensu. Prędzej czy później (raczej prędzej) do podobnego przekonania dojdą również kandydaci na studia. Uczelnie, które utknęły w konserwatywno-feudalnym sztafażu, niespecjalnie mają dziś narzędzia, a nawet świadomość i instytucjonalne przywództwo, by jakoś na ten proces odpowiedzieć. Na razie próbują zaklinać rzeczywistość, tworząc studia w partnerstwie z zagranicznymi korporacjami i licząc na to, że zbliżające się tsunami ich nie zmiecie. Trudno jednak nie odnieść wrażenia, że to nic więcej jak terapia paliatywna.

Najgorsze w tym wszystkim jest jednak to, że właśnie miasta i uczelnie są kluczowymi instytucjami z perspektywy możliwości rozwojowych kraju. Obawiam się bowiem, że mariaż z globalnym kapitalizmem skutecznie wydrenował z nich rozwojowy potencjał. Nie wykluczam, że to jeszcze poważniejszy problem niż fakt, że Polacy nie zdążyli przez ostatnie 30 lat powiększyć swojego majątku. Bo może się okazać, że straciliśmy przez ten wydrenowany potencjał okazję, aby dokonać cywilizacyjnego skoku teraz, kiedy nasze dochody są wreszcie na europejskim poziomie. A Polska, przed czym zresztą przestrzega prof. Marcin Piątkowski w swej książce, w najbliższych latach wejdzie już w okres stagnacji i utknie w nim podobnie jak państwa Południa Europy.

© MARCIN KĘDZIERSKI

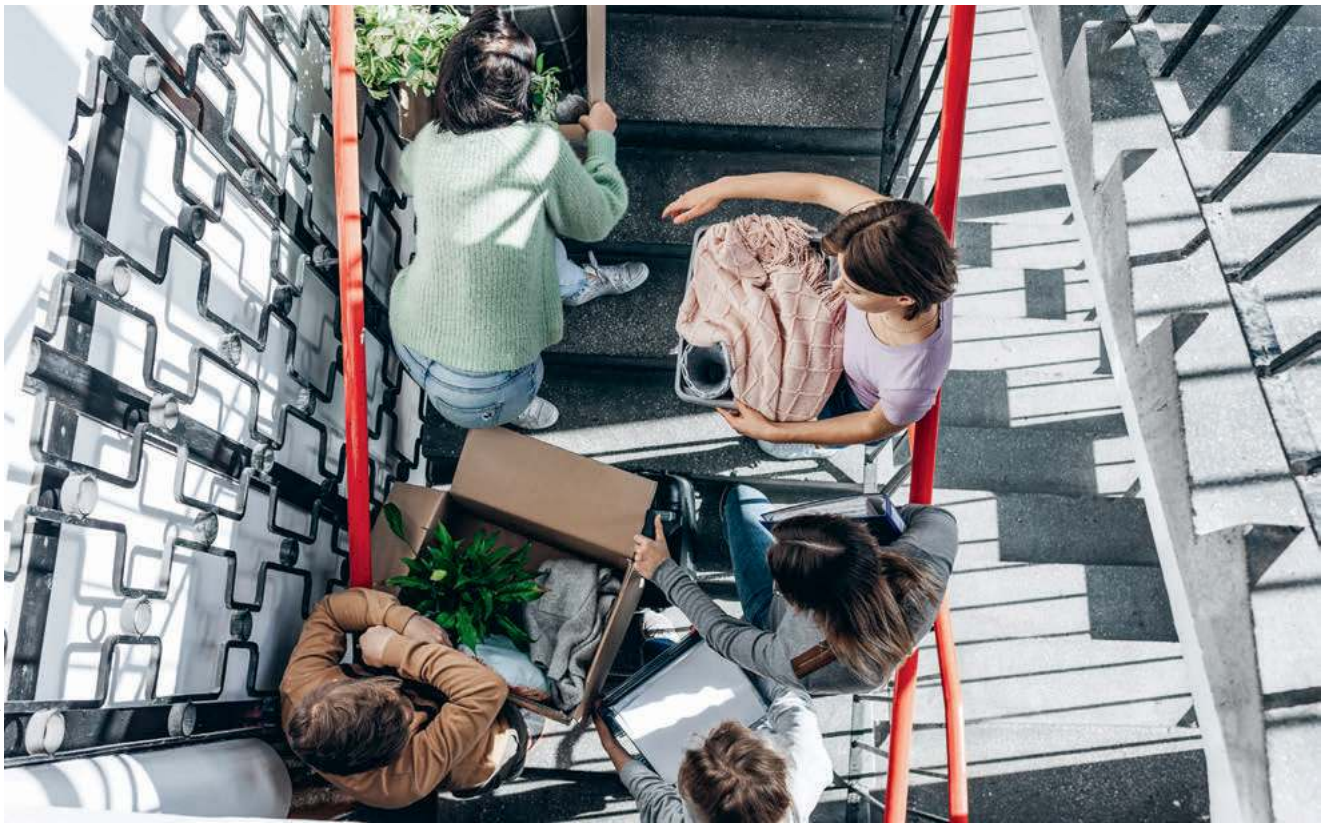

TATIVOPHOTOS / SHUTTERSTOCK

Dzielenie mieszkań na osobne klitki, wykorzystywanie balkonów i piwnic – to nowa polska rzeczywistość

Casting na lokum

MATEUSZ MACIERAKOWSKI

Studia w Polsce stają się dobrem dla wybrańców: z dobrze sytuowanymi rodzicami albo z mieszkaniami w dużych ośrodkach. Sprawdziliśmy, jak wygląda akademicka walka o stancje.

Od października kilka tysięcy studentów w Polsce trafi na tzw. listę rezerwową akademików. Nie dostaną miejsca w domu studenckim, ponieważ chętnych jest za dużo, natomiast akademików za mało. Sytuacja na rynku najmu uderza głównie w najbiedniejszych. „Landlordzi" – właściciele mieszkań – znów zacierają ręce z powodu braku nowych regulacji prawnych i liczą pieniądze. Mieszkania dzielą na pięciometrowe pokoje, dostosowując studentów do ciasnych i niekomfortowych warunków. Wiedzą, że reprezentanci tej grupy społecznej mają niskie wymagania, więc można ich stłoczyć na małej przestrzeni.

A 20-letni najemcy, by do takiego pokoju trafić, i tak muszą mieć szczęście. Wcześniej zaś przechodzą przez sito „konkursów" i „plebiscytów" organizowanych przez wynajmujących na „najwygodniejszego" lokatora. Jeśli chcesz zamieszkać w mikrokawalerce lub klaustrofobicznym pokoju w dużym mieście, najlepiej nie być obcokrajowcem, nie pracować na budowie, mieć status studenta, nie mieć ukończonych 30 lat. Być też cichym oraz unikać imprez.

Spełniam część tych warunków, więc odpowiadam na dwa zgłoszenia. Wszędzie słyszę od wynajmujących, żebym się spieszył, bo jest już kilkunastu chętnych na moje miejsce.

Tysiąc sześćset za 9 metrów

Wybieram krakowskie Bronowice – dzielnicę popularną wśród studentów, znaną z największego dzieła Wyspiańskiego i muzeum „Rydlówka" przy ulicy Tetmajera. Z drugiej strony to miejsce z nowoczesnymi, typowo patodeweloperskimi osiedlami dla klasy średniej i sklepami meblowymi, jak IKEA – co może być kluczowe dla „flipperów" [tak mówi się potocznie o osobie, która skupuje mieszkania, tanio je remontuje i sprzedaje potem z zyskiem – red.] oraz wynajmujących.

Pod jednym z ogłaszających się adresów jestem punktualnie – o 9.30. Tak jak nakazał właściciel, który spóźnił się 20 minut. Osiedle przypomina baraki w kształcie kostek Rubika – tylko całe białe, postawione rzędem blisko siebie. Trzy wielkie „klocki" okazują się należeć do pana Piotra, dobrze zbudowanego 35-latka. Szybko zauważam, że cztery pokoje mieszkania są ulokowane w... piwnicy. Czuję się speszony. Schodzimy w dół ciasnym korytarzem bez oświetlenia – brak jednej działającej żarówki właściciel tłumaczy poranną awarią. Nie mogę zrobić zdjęć mieszkania.

Mężczyzna przechodzi na „ty" i sugeruje, bym się szybko zdecydował. Nawet nie zdążyłem dokładnie obejrzeć toalety i aneksu. Odpowiada jednak, że ma jeszcze dzisiaj 12 spotkań, ale jeśli dam znać w ciągu dwóch godzin, może obniżyć cenę o 90 złotych. Wyjściowy koszt

to 1690 zł za 9-metrowy pokój, w tym wszystkie opłaty. Plus kaucja 2000 zł – zwrotna, jeśli nie doprowadzę do żadnych zniszczeń.

Wystrój? Szablonowy, w stylu Ikei, jak z papierowych magazynów. Na ścianach wiszą obrazy i plakaty z pierwszego lepszego sklepu meblowego. Czuję, że mieszkanie w piwnicy, nawet w wysokim standardzie, nie spełnia moich architektonicznych marzeń. Krótkie łóżko, szafa, biurko i krzesło, a to wszystko za prawie 1700 zł i poza centrum Krakowa – to nie jest wygrana w totka.

Mówię, że dam znać. Właściciel naciska, twierdząc, że to najlepsze z możliwych miejsc. Chwali dostęp do ogródka za moim oknem, dodaje manipulacyjnie, że w ogłoszeniu nie wspomniał o prowizji – normalnie bierze dwukrotność czynszu, ale teraz chce tylko spokoju i szybkiego wynajęcia ostatnich pokoi (twierdzi, że od września wynajął takich 30). Podkreśla, że lokum ma naturalne światło padające od południa. Myślę, że słońce może oświetli także korytarz bez jednej żarówki. Czuję, że właścicielowi zależy na czasie, dlatego chce natychmiast podpisywać umowę. Na koniec pyta, czy jestem studentem i czy nie skończyłem 30 lat, bo takich osób szuka. Moje szanse w tym rynkowo-mieszkalnym konkursie wydają się rosnąć, ale odmawiam i wychodzę.

Nie starzec, nie Ukrainiec

Kilka godzin później umawiam się na kolejne oglądanie „wymarzonego lokum". Mieszkanie ma podobny klimat jak u pana Piotra – wysoki standard w stylu loft. Jadę bliżej centrum dzielnicy. Umawiałem się z właścicielką, ale na miejscu wita mnie studentka Ania, która potencjalnie chce oddać mi swoje miejsce.

Spotykamy się przy grubych, drewnianych drzwiach mieszkania na drugim piętrze wieżowca, w którym na parterze mieści się przedszkole i Biedronka. Okolica przypomina warszawski Hongkong, sławetne osiedle na Woli. I tak samo jest nazywane przez wielu krakowian.

W ogłoszeniu przeczytałem, że cena wynosi 1660 zł za sześciometrowy pokój. Plus kaucja wynosząca „dwukrotność czynszu". Ale studentka mówi, że lekko się spóźniłem – dwie godziny temu ktoś się zdecydował na tę „okazję". Mam jednak jeszcze do wyboru 8 metrów za taką samą cenę w tym pięciopokojowym „najlepszym mieszkaniu okolicy" – jak wyraża się dziewczyna.

Microliving nie jest dla mnie, więc mimo uroczego aneksu kuchennego i marmurowej łazienki wychodzę, rzucając na koniec pytanie, ile razy w ciągu roku bywa tu właścicielka. – Raz, podczas podpisania umowy – słyszę w odpowiedzi.

Dzwonię do niej jeszcze na klatce. Sugeruje, żebym podjął decyzję dzisiaj, bo ma umówionych 10 innych osób. Po chwili daje do zrozumienia, iż szuka konkretnego lokatora, który będzie dobrze pasował do pozostałych młodych mieszkańców. Musi to być kobieta lub mężczyzna do trzydziestki. Pyta, czy studiuję, na jakim uniwersytecie i jaki kierunek, oraz czy pracuję – musi mieć pewność, że jestem wypłacalny. Dodaje, że umowę możemy podpisać na minimum rok, bo wzięła mieszkanie na kredyt i nie zamierza przeprowadzać kolejnych rekrutacji w najbliższych miesiącach.

Na koniec pytam, dlaczego szuka tylko młodych. – Nie może to być, wie pan, jakiś 35-letni budowlaniec, który organizuje burdy. Nie może to być obcokrajowiec, nie biorę też Ukraińców – mówi. I podkreśla, że zależy jej na komforcie studentów. – Nie chodzi o to, żeby organizować tutaj jakieś castingi na najemców. Szukam osoby spokojnej, bo to spokojna okolica i spokojni ludzie tutaj mieszkają – dodaje. Każe mi się śpieszyć z decyzją, a „umowę możemy podpisać tego samego dnia".

Po raz pierwszy coś wygrałam

Agnieszka, studentka III roku energetyki jądrowej na Akademii Górniczo-Hutniczej, mówi mi, że w tym roku zderzyła się ze „ścianą castingów". – Przez całe wakacje, prawie codziennie przez trzy miesiące, dzwoniłyśmy wraz z trzema koleżankami i umawiałyśmy się na wizyty. Nie można było znaleźć nic konkretnego. Obłożenie chętnymi było tak duże, że po sekundzie od opublikowania nowego ogłoszenia było ono już nieaktualne, więc trzeba było cały czas odświeżać stronę i natychmiast umawiać się na spotkanie. W końcu się udało, ale nasi rodzice musieli podpisać dziwne oświadczenie zaproponowane przez właścicielkę: że jeśli nas wyrzuci, rodzice nas przygarną. Nigdy nie spotkałam się z czymś takim – mówi Agnieszka. Wspomniany przez nią zapis w umowie jest coraz częstszym zabezpieczeniem dla właścicieli. Dzięki niemu niepłacący najemca jest łatwy do usunięcia.

Castingi o dach nad głową stały się w Polsce smutną normą. Przypomina to program „Mam Talent", gdzie po wyczerpującej autoprezentacji przechodzi się do kolejnych etapów. Wie o tym Karolina, tegoroczna absolwentka filologii polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim, która została wybrana spośród kilkudziesięciu osób. – Z castingami zetknęłam się po raz pierwszy rok temu. Szukałam mieszkania bliżej centrum miasta, w sierpniu zadzwoniłam do jednej z właścicielek. Kiedy powiedziałam, że jestem zdecydowana, wybuchła śmiechem: „Trzydzieści osób jest zdecydowanych, proszę pani". Ostatecznie wybrała mnie, ale musiałam odpowiadać na dziwne osobiste pytania, np. gdzie mieszkam i z jakiej rodziny pochodzę. Spotkania właścicielka organizowała całą sobotę, każdy student miał 15 minut – opowiada Agnieszka.

I dodaje, że musiała w pośpiechu szukać bankomatu, gdy okazało się, że przeszła casting. – Pierwszy raz coś wygrałam – śmieje się dziewczyna. – Zadzwoniłam do rodziców, by przelali mi prawie 4 tysiące złotych na konto, bo właścicielka chciała z miejsca podpisywać umowę.

Plebiscyty na najlepszego najemcę zabijają mobilność społeczną – młodzi ludzie (oczywiście jeśli tego pragną) nie mogą wyjechać ze swoich rodzinnych stron do większych miast. Niektórym hamuje to marzenia o awansie społecznym. Problem nie dotyczy jednak osób najzamożniejszych, które dzięki rodzicom mają przewagę na starcie i w kolejnych etapach życia. Mieszkanie w dużym mieście daje im większą sieć kontaktów, otwiera kolejne drzwi, a ich perspektywy zawodowe stale się powiększają.

Zarazem wykluczonych z rynku mieszkaniowego jest coraz więcej. Jesienią zeszłego roku zainteresowanie kwaterami w skupisku akademików na tzw. miasteczku studenckim AGH w Krakowie było tak duże, że 800 żaków wylądowało na liście rezerwowej. Na UJ było to 500 osób. By przetrwać, trzeba brać udział w brutalnej grze o lokal lub chociaż o mały pokój w nim.

Kawka z niższym czynszem

Okazuje się, że oprócz zamożności liczą się także predyspozycje biologiczne ↦

– konkretnie aparycja i prezencja. Mówiąc wprost, panie mają łatwiej, choć wiele z nich byłoby raczej zażenowanych, gdyby usłyszały, dlaczego.

Na własnej skórze przekonała się o tym Ania, studentka II roku latynoamerykanistyki na UJ, która rok temu – wraz z innymi młodymi ludźmi – wynajmowała 6-osobowe mieszkanie na Bronowicach. – Wynajmujący miał dziwną fanaberię – opowiada Ania. – Przyjmował tylko pierwszoroczniaków i tylko dziewczyny. Po roku nie pytał nawet, czy chcemy przedłużyć umowę, tylko nas wyrzucał.

Ania dodaje, że w Warszawie jej przyjaciółka na etapie szukania pokoju w centrum dostała od właściciela propozycję: „Jak będzie kawka raz w tygodniu, to dostaniesz niższy czynsz". Problem nieformalnych transakcji na rynku najmu z podtekstem seksualnym w tle był już opisywany w marcu tego roku we Wrocławiu. W mediach społecznościowych pojawiło się zdjęcie oferty, którą anonimowy użytkownik znalazł na Tinderze – aplikacji randkowej. Oferta dotyczyła regularnych spotkań w zamian za wynajem mieszkania w stolicy Dolnego Śląska: „Jeśli mieszkanie ci się spodobało i byłabyś zainteresowana wynajmem za cztery spotkania w miesiącu, daj lajka. Możemy się dogadać".

Po tym ogłoszeniu zawrzało od komentarzy w stylu: „Prostytucja lokatorska będzie zbierać coraz większe żniwa". Takie propozycje to jednak raczej rzadkość. Jak podsumowuje Marta, studentka III roku iberystyki na UJ, wszystkie chwyty są dozwolone, by przetrwać, ale największym problemem są ogłoszenia znikające niemal natychmiast. – Zaczęłam szukać w maju i wiedziałam, że jak czegoś nie wynajmę w czerwcu lub na początku lipca, to później już nie będzie szans. Po wynikach rekrutacji ludzie rzucają się na mieszkania, które schodzą w przeciągu dnia, potem kilku godzin, a na końcu kilku minut – mówi Marta.

Mieszkanie w piwnicy, w „wysokim" standardzie. Krótkie łóżko, szafa, biurko i krzesło, a to wszystko za prawie 1700 zł, poza centrum Krakowa – to nie jest wygrana w totka.

Studia: towar luksusowy

Czy castingi na wynajem są legalne? Według ekspertów – tak, pod warunkiem że unika się dyskryminacji określonych grup lokatorów, np. ze względu na pochodzenie, rasę, płeć czy narodowość. W praktyce jednak egzekwowanie tego prawa jest dość trudne. Konkursy na mieszkania mają przecież charakter dobrowolny, mimo że ludzie biorą w nich udział, bo muszą.

Pytam Jana Śpiewaka, socjologa i aktywistę, twórcę pojęcia „patodeweloperka", jak zrodziło się zjawisko mikrokawalerek i castingów na wynajem. – Jeśli jest deficyt jakiegoś dobra, to warunki dostępu do niego będą coraz gorsze. W dodatku jest bardzo dużo dezinformacji dotyczącej lokatorów. Ludzie boją się wynajmować, bo słuchają niestworzonych historii o najemcach. Dużym problemem jest też brak mieszkań socjalnych, budowanych przez gminy – odpowiada Śpiewak.

Z badań Polskiego Instytutu Ekonomicznego wynika, że akademickość ma znaczący wpływ na rozwój miast [polemizuje z tą tezą Marcin Kędzierski w artykule na s. 20 – red.] i jest jednym z ich najważniejszych zasobów, na równi ze wzrostem poziomu życia czy atrakcyjnością rynku pracy. Co z tego, skoro z roku na rok przez patologiczne warunki najmu najważniejsze ośrodki tracą tysiące studentów?

W Warszawie w zeszłym roku akademickim studiowało blisko 247 tysięcy osób, co stanowiło około 20 proc. wszystkich studentów w Polsce. W 2019 r. liczba ta wynosiła 235 tysięcy. Ale stolica jest pod tym względem wyjątkowa. Z danych wynika również, że w 2009 r. w Krakowie było 190 tys. studentów, a w 2023 r. już tylko 129 tys. Wrocław w 2016 r. przyjął na swoje uczelnie ponad 118 tys. osób, by sześć lat później zanotować dwunastotysięczny spadek tej liczby.

Studia w Polsce stają się powoli towarem luksusowym. I dobrem coraz rzadszym, bo od października rozpoczynają je coraz częściej tylko wybrańcy. Najlepiej sytuowani, mieszkańcy wielkich miast (ale wtedy muszą najczęściej mieszkać z krewnymi) albo ci, których rodzice pracują na dwóch etatach i zrobią wszystko, by dziecko miało lepiej od nich. Kto dziś nie przejdzie przez gęste sito wymogów i castingów ze strony wynajmujących lokale landlordów, pozostanie daleko z tyłu. Ukryty za banerem z równie niedostrzegalnym jak on lub ona hasłem: „Mieszkanie prawem, nie towarem".

© MATEUSZ MACIERAKOWSKI

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkanie Klubów „Tygodnika Powszechnego"

KATOWICE, środa 9 października, godz. 18.00, „Kto nas zastąpi? Czyli jakich zmian w stosunkach społecznych możemy się niedługo spodziewać i jak się na nie przygotować". Klubowa kawiarenka wokół tekstu Jakuba Dymka „Praca przyszłości" (TP 37/24). Coffee-jka (ul.Plebiscytowa 21)

GLIWICE, wtorek 15 października, godz. 18.00, spotkanie z Krzysztofem Zanussim. Klub Pracowników Politechniki Śląskiej (ul. Banacha 3)

TRÓJMIASTO, środa 16 października, godz. 16.00, spotkanie z Magdą Benedą, „Magda Beneda – twórczość zainspirowana Gdańskiem". Oliwski Ratusz Kultury (ul. Opata J. Rybińskiego 25)

WARSZAWA, czwartek 17 października, godz 18.00 „AI, wróg czy przyjaciel", spotkanie z Wojciechem Brzezińskim o Wydaniu Specjalnym TP „Sztuczna Inteligencja". Sala KIK, (ul. Freta 20/24A, II piętro)

REZERWUJ CZAS!

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

Chore ogniwo koalicji

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Jest najmniejszym ugrupowaniem koalicji, a stwarza jej najwięcej problemów. Nie dość, że lewica jest podzielona i bliska rozłamu, to jeszcze dostarcza afer. Wizja Włodzimierza Czarzastego na fotelu marszałka Sejmu zaczyna się oddalać.

ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER

Konwencja Lewicy – na zdjęciu Włodzimierz Czarzasty i Robert Biedroń. Warszawa, 5 czerwca 2024 r.

W historii III RP każda ekipa rządząca przeżywała moment, w którym spora część opinii publicznej zaczynała uważać, że zwycięska formacja niewiele różni się od poprzedników. Popełnia podobne błędy i wykazuje patologiczne zachowania. Często są to oskarżenia przesadzone, ale mocno wpływają na wyniki w sondażach. Niewykluczone, że obserwujemy właśnie taki moment w odniesieniu do koalicyjnego rządu Donalda Tuska, spowodowany przez lewicę, a konkretnie przez jej przedstawicieli kierujących Ministerstwem Nauki.

Janów nowej władzy

Poszło o odwołanie prof. Piotra Sankowskiego z funkcji prezesa zajmującej się sztuczną inteligencją spółki IDEAS NCBR. Ten wybitny w skali światowej ekspert od AI, zdobywca najbardziej prestiżowych grantów, został zastąpiony przez dr. hab. Grzegorza Borowika, człowieka bliskiego politykom lewicy – kolegę ministra nauki Dariusza Wieczorka i ministra cyfryzacji Krzysztofa Gawkowskiego. Oficjalnie oczywiście przeprowadzono konkurs, a decyzję podjęła rada nadzorcza spółki.

Sankowski został odwołany, choć to on był założycielem IDEAS NCBR w 2021 r., skompletował zespół i zdobył granty na badania wokół AI. Oficjalną przesłanką rezygnacji z jego usług były, jak przekonywał wiceminister nauki Maciej Gdula, straty spółki. Wszyscy jednak zdawali sobie sprawę, że to pretekst, bo wyniki finansowe raz były lepsze, a raz gorsze i nie one były zresztą celem istnienia IDEAS. Stąd decyzja wyjątkowo oburzyła wiele osób ze środowiska polskiej nauki.

Z rady IDEAS wystąpili w ramach protestu niemal wszyscy wybitni eksperci, a sprawa trafiła na czołówki serwisów medialnych, także tych przychylnych obecnej władzy. „Gazety Wyborcza" określiła sprawę IDEAS „Janowem obecnej władzy", zwracając uwagę, że mechanizm jest podobny jak w stadninie w Janowie w 2016 r. za epoki PiS. Tam również światowej sławy eksperta zastąpił wówczas partyjny nominat.

Z ostrą krytyką działań resortu nauki wystąpili nawet niektórzy klubowi koledzy ministrów Wieczorka i Gawkowskiego. „Dramatyczna sytuacja w polskiej nauce to fakt. Z różnych środowisk płynie ta sama opowieść. Brak kompetencji i buta w ministerstwie podlana sosikiem skoku na stołki. Krytykowałam te mechanizmy za PiS, będę krytykować nadal" – napisała na portalu X Marcelina Zawisza z Razem.

W tych okolicznościach atmosfera polityczna wokół lewicy mocno zgęstniała. Media były pełne tekstów o listach protestacyjnych do premiera Tuska, pisanych z nadzieją, że „wścieknie się" i zrobi porządek z koalicjantem. A „Rzeczpospolita" pytała w nagłówku: „Kogo utopi minister Maciej Gdula – naukę, lewicę czy rząd?".

Tusk najwyraźniej rzeczywiście „wściekł się", bo liderzy lewicy zaczęli gwałtownie odkręcać aferę wokół IDEAS NCBR. Minister nauki Dariusz Wieczorek wraz z wicepremierem i ministrem cyfryzacji Krzysztofem Gawkowskim spotkali się z prof. Sankowskim i obiecali mu utworzenie nowego instytutu, zajmującego się AI. „A po nocy przychodzi dzień, a po burzy spokój" – tak wspólne zdjęcie całej trójki skomentował na portalu X Włodzimierz Czarzasty.

Specjaliści od kłopotów

Ale częściowe ugaszenie pożaru po aferze nie rozwiązuje problemów lewicy, których skumulowało się w ostatnim czasie ↦

bardzo wiele. Głównie za sprawą działalności resortu nauki, choć swój wkład miał i resort cyfryzacji. A to przecież dwa z trzech ministerstw kierowanych przez przedstawicieli lewicy.

W kwestii działalności resortu cyfryzacji, atmosferę wokół podlegających wicepremierowi Gawkowskiemu instytucji – Centralnego Ośrodka Informatyki i Narodowej Akademickiej Sieci Komputerowej – dobrze charakteryzuje jeden z wpisów na portalach społecznościowych: „Kochani. Lewica się nie zatrzymuje. Po bezceremonialnym zamachu na stołek w IDEAS NCBR widzimy, że nasi milusińscy z subtelnością armii czerwonej dokonują czystek w COI i NASK".

Nagromadzeniu społecznych frustracji trudno się dziwić, bo lewica stworzyła koalicji rządowej wiele innych politycznych kłopotów. Wcześniej była choćby sprawa Bartłomieja Ciążyńskiego, wiceministra sprawiedliwości, który płacił służbową kartą za benzynę na prywatnych wakacjach. Przed objęciem fotela w resorcie sprawiedliwości był zaś typowym partyjnym nominatem w należącym do Sieci Łukasiewicz Polskim Ośrodku Rozwoju Technologii i doprowadził do odejścia kompetentnej szefowej PORT.

Z gwałtownymi protestami wielu naukowców spotkał się też projekt nowej ustawy o Polskiej Akademii Nauk, przygotowany w resorcie nauki, a przez obecne kierownictwo akademii uznawany za skok lewicy na majątek PAN oraz jej niezależność. Według pojawiających się doniesień, w operacji tej chodzić może też o drobniejsze, ale konkretne sprawy. Np. o ośrodek PAN w Kosewie Górnym na Mazurach, znany z posiadania hodowli jeleni, pozostałość po zlikwidowanym Instytucie Parazytologii PAN. Teren ten sąsiaduje bowiem z nieruchomością czołowego działacza Stowarzyszenia Ordynacka i byłego ministra w rządach SLD, więc powstał plan, by na obu połączonych terenach utworzyć pole golfowe.

Problemy kumulują się za sprawą resortu nauki, choć swój wkład miał i resort cyfryzacji. To dwa z trzech ministerstw, kierowanych przez przedstawicieli lewicy.

Środowiska naukowe to poważna część elektoratu obecnej koalicji. Nie może zatem dziwić reakcja liderów lewicy, być może zainspirowana przez „wściekłego" premiera Tuska. W związku z gaszeniem pożaru wokół IDEAS postanowili oni zorganizować bodaj pierwsze od powstania rządu nieformalne spotkanie z grupą dziennikarzy, podczas którego zakomunikowali o sposobie rozwiązania problemu prof. Sankowskiego oraz poinformowali o innych politycznych planach formacji. Znamienny był zresztą skład liderów, którzy spotkali się z dziennikarzami – poza Włodzimierzem Czarzastym, Marcinem Kulaskiem i Anną Marią Żukowską wzięła w nim udział Dorota Olko z Razem, co miało pokazać, że klub lewicy jest wciąż zjednoczony.

Razem czy osobno

Wiele jednak wskazuje na to, że to tylko pozory. Koalicyjny Klub Parlamentarny Lewicy jest dziś najmniejszym w koalicji rządowej, liczy 26 posłów, a niebawem może być jeszcze mniejszy. Będąca jego częścią partia Razem (od początku znajdująca się formalnie poza rządem, ale go wspierająca) jest właściwie jedną nogą w opozycji i cały czas zastanawia się, czy nie wyjść z klubu. W samym Razem jest w tej sprawie głęboki podział, a do rozstrzygnięcia dylematu „wyjść czy nie wyjść" ma się przyczynić referendum wśród członków partii. Ostateczną decyzję ma zaś podjąć kongres Razem w końcu października. Niewykluczone więc, że niedługo Koalicyjny Klub Lewicy będzie liczył nie 26 posłów, a 19.

W sejmowych kuluarach można usłyszeć, że kierownictwo drugiej składającej się na klub partii, Nowej Lewicy (dowodzonej przez Czarzastego i mało aktywnego w krajowej polityce Roberta Biedronia), stara się akcję rozłamową Razem maksymalnie ograniczyć. Jak przyznają nieoficjalnie politycy z tego środowiska,

REKLAMA

zdecydowanymi zwolennikami wyjścia z klubu i przejścia do twardej opozycji wobec rządu Tuska są Adrian Zandberg, Marcelina Zawisza i Maciej Konieczny. Natomiast Dorota Olko i Daria Gosek-Popiołek są za pozostaniem, podobnie jak wicemarszałek Senatu Magdalena Biejat.

– Razem jest przekonane, że niedługo z Nowej Lewicy nic nie zostanie, bo wchłonie ją Koalicja Obywatelska. Zandberg z Zawiszą liczą, że wtedy to oni staną się jedynymi depozytariuszami sztandaru – przyznaje polityk KO.

Dlatego też kierownictwo Nowej Lewicy stara się wciąż dowartościowywać przeciwników wyjścia z Razem. W tym kontekście nie dziwi udział Doroty Olko w spotkaniu z dziennikarzami, wspólnie z wąskim kierownictwem Nowej Lewicy. Ostatnio pojawiły się też kuluarowe plotki, że nie można wykluczyć, iż to Biejat będzie kandydatką całego lewicowego bloku w wyborach prezydenckich. Mimo że wcześniej przedstawiciele Nowej Lewicy kategorycznie przeciwstawiali się pomysłowi, by prezydenckim kandydatem był ktoś z Razem.

Sytuacja wokół wyborów prezydenckich mocno się jednak skomplikowała, bo nikt w Nowej Lewicy nie pali się do kandydowania. Ostatnio z propozycji startu miała zrezygnować nawet dotychczasowa faworytka Agnieszka Dziemianowicz-Bąk. Jak można usłyszeć od działaczy lewicy, w partii nie ma chętnych do wyścigu o Pałac, bo dominuje przekonanie, iż wybory prezydenckie ciągną partię w dół.

– Wszyscy myśleli, że gorszego wyniku niż Magdalena Ogórek w 2015 r., czyli 2,38 proc., nie można zrobić. Okazało się jednak, że Robert Biedroń pięć lat później zdobył jeszcze mniej głosów: 2,22 proc. I to pomimo bardzo aktywnej kampanii – mówi były polityk lewicy.

Magdalena Biejat ma w opinii środowiska tę zaletę, że nie mówi „nie", a także jest kobietą, co lewica uznaje za jeden ze wstępnych prezydenckich warunków. Poza tym, przypominają niektórzy, całkiem nieźle zaprezentowała się w kwietniowych wyborach na prezydenta Warszawy. Wiele wskazuje na to, że kwestia decyzji o kandydacie na prezydenta Polski rozwiąże się być może 7 grudnia, na konwencji podsumowującej rok obecności Nowej Lewicy w rządzie Tuska. – Chodzi o to, byśmy wraz z nowym rokiem

FILIP NAUMIENKO / REPORTER

Prof. Piotr Sankowski. Warszawa, 1 października 2024 r.

rozpoczęli kampanię – mówi jej prominentny polityk.

Mglista przyszłość Czarzastego

Zarazem można jednak usłyszeć, że najchętniej lewica, która nie ma przecież szans na zwycięstwo w wyścigu o Pałac, zgodziłaby się na wspólnego kandydata Koalicji 15 października, jeśli taki by się pojawił. Tym bardziej że za jego poparcie można by wynegocjować na przykład dodatkowe stanowisko w rządzie. To jednak może być trudne, bo w pozostałych ugrupowaniach koalicyjnych panuje przekonanie, że lewica z trzema resortami jest i tak nadreprezentowana w gabinecie Tuska.

Dodatkową komplikacją ewentualnych politycznych zdobyczy jest sytuacja w samej Nowej Lewicy. W ubiegłym tygodniu polityczne kuluary obiegła pogłoska, że być może na planowanej na weekend 5-6 października Radzie Krajowej Nowej Lewicy dojdzie do zmiany na czele partii i Włodzimierza Czarzastego oraz Roberta Biedronia zastąpią jako współprzewodniczący Agnieszka Dziemianowicz-Bąk i Krzysztof Gawkowski.

Według niektórych działaczy informacje te nie były jedynie plotkami, bo dawni działacze środowiska Wiosny, czyli rozwiązanej już partii Biedronia, rzeczywiście do tego dążyli. Według relacji jednego z nich, Czarzasty miał nawet początkowo poprzeć takie zmiany, a jedynym jego żądaniem było pozostawanie we władzach Anny Marii Żukowskiej, obecnej szefowej klubu parlamentarnego. Pomysł wymiany, jak można usłyszeć, miał m.in. służyć powstrzymaniu Razem przed opuszczeniem klubu, jednak był też wyrazem niechęci do obecnego kierownictwa.

Czarzasty od dawna ma wielu wrogów na lewicy. Niektórym nie podoba się jego przeszłość, zwłaszcza ciągnący się za nim cień afery Rywina. Ale ważniejsze są jego rządy w SLD przed połączeniem z Wiosną, które były ciągiem kolejnych awantur i odejść. Partie opuścili m.in. tacy działacze jak Andrzej Rozenek, wicemarszałek Senatu ubiegłej kadencji Gabriela Morawska-Stanecka, a nawet dawny druh Czarzastego Robert Kwiatkowski, obecnie członek Rady Mediów Narodowych. – Czuję się, jakbym wyszedł z rodziny przemocowej – mówi o współpracy z Czarzastym jeden z byłych posłów.

Obecni parlamentarzyści z klubu lewicy przyznają jednak, że ostatnio sytuacja się poprawiła, a Czarzasty nieco się zmienił. – Kiedyś nie było demokracji, partią zarządzano z góry, o wielu rzeczach nas nie informowano. Teraz jest lepiej, bo wszyscy uznali, że na konfliktach nikt nie zyskuje – mówi poseł lewicy.

Lewica chce się reformować

Być może to właśnie spowodowało, że tym razem Czarzastemu udało się (na razie) zażegnać groźbę wymiany kierownictwa. W Nowej Lewicy zgodzono się, że podczas posiedzenia Rady Krajowej (tekst piszę przed obradami) nakreślony zostanie plan dokonania zmian w statucie, które zatwierdzi kongres partii w maju 2025 r.

Zmiany mają polegać na likwidacji dualizmu władz i istnienia frakcji dawnej Wiosny i SLD. Na każdym szczeblu dwóch współprzewodniczących ma być zastąpionych przez jednego, a na końcu ma dojść do wyboru jednego przewodniczącego całej Nowej Lewicy. Niemniej, jak przekonują działacze partii, dojdzie do tego dopiero w końcu 2025 r.

Sam Czarzasty już podczas jednego z wiosennych zarządów miał zadeklarować, że nie będzie się więcej ubiegać o fotel lidera, podobnie jak Robert Biedroń. Czarzastemu jednak nie wszyscy wierzą, bo już kilka lat temu zapowiadał swoje rychłe odejście.

Od niektórych działaczy można usłyszeć, że ich szef – owszem – zrezygnuje, ↦

↦ ale tylko wtedy, gdy będzie pewien, że uda mu się przesiąść na stanowisko marszałka Sejmu w listopadzie 2025 r., zgodnie z zapisem umowy koalicyjnej. Zapis ten, wobec słabości politycznej lewicy, jest dziś często kwestionowany przez przedstawicieli innych ugrupowań, zwłaszcza Trzeciej Drogi, wspierającej obecnego marszałka Szymona Hołownię.

– Najważniejsze dla Włodka jest zdobycie fotela marszałka w drugiej połowie kadencji Sejmu. Chce w ten sposób honorowo zakończyć działalność polityczną i jest w stanie nawet poświęcić stanowisko przewodniczącego . Poza tym ma świadomość, że objęcie funkcji marszałka bardzo umocni lewicę – mówi jej prominentny polityk, choć są i tacy, którzy uważają, że w określonych okolicznościach Czarzasty byłby gotów zrzec się obiecanego marszałkowania. Na przykład wtedy, gdyby lewica została bardziej wzmocniona w rządzie.

Na razie jednak jej polityczne aktywa maleją, a nie rosną. Symbolem tego jest sprawa posłanki Pauliny Matysiak. Ta związana z Razem parlamentarzystka już jakiś czas temu podjęła współpracę z Marcinem Horałą z PiS, zakładając wspólnie stowarzyszenie „Tak dla Rozwoju". Zrobiła to mimo negatywnego stanowiska nie tylko klubu, ale i jej macierzystej partii Razem. W efekcie została zawieszona w prawach członka klubu, ale to nie powstrzymało jej przed podejmowaniem innych podobnych aktywności. Niedawno wzięła np. udział w wymyślonym w epoce PiS i kojarzonym z tą partią kongresie Polska Wielki Projekt. Również posłowie PiS (oraz Konfederacji) spowodowali, że podczas ostatniego posiedzenia Sejmu nie udało się odwołać Matysiak z sejmowej komisji infrastruktury – Sławomir Mentzen pochwalił się tym nawet na portalu X.

Nieduży klub lewicy może niebawem jeszcze bardziej zmarnieć. **Partia Razem jest już właściwie jedną nogą w opozycji.**

Political fiction

Po tej serii zdarzeń nawet parlamentarzyści Razem są za wyrzuceniem Matysiak z partii i klubu. Ale są też tacy, którzy zwracają uwagę, iż czasem w polityce zdarza się coś niespodziewanego. I snują scenariusz, że gdyby Czarzasty miał zostać wbrew umowie koalicyjnej pozbawiony fotela marszałka, lewica mogłaby podjąć luźną współpracę rządową z PiS i Konfederacją, zapewniając w ten sposób marszałkowanie Czarzastemu. Wtedy droga przetarta przez Matysiak okazałaby się potrzebna.

Na dziś to zupełne *political fiction*, ale nie zmienia ono faktu, że lewica przez pozostałych koalicjantów traktowana jest jako najmniej przewidywalny jej uczestnik. Zaczęło się to już wczesną wiosną, gdy w ramach atmosfery kampanijnej posłowie lewicy wszczęli awanturę wokół przełożenia w Sejmie (na czas po wyborach samorządowych) głosowania czterech projektów ustaw aborcyjnych. Marszałek Sejmu Szymon Hołownia stał się wówczas przedmiotem ostrego ataku przy użyciu niewybrednych epitetów. Po wyborach projekty rzeczywiście trafiły do komisji, ale lipcowa próba uchwalenia ustawy o dekryminalizacji aborcji się nie powiodła – za sprawą PSL.

Dziś lewica wraca do tej sprawy; z kolei walkę o prawa kobiet zapowiada Robert Biedroń, przekonując, że rezygnacja ze starań o legalną aborcję będzie oznaczać dla lewicy porażkę w wyborach. Czekają nas więc kolejne wewnątrzkoalicyjne konflikty o złożony ponownie projekt ustawy. Czy wydobędzie to lewicę z politycznego dołka, w który wpadła za sprawą wewnętrznego chaosu i niefortunnych decyzji resortu nauki?

– Po co wyborcy lewicy mają na nią głosować, skoro drugą, silniejszą lewicę mają w Koalicji Obywatelskiej. Moim zdaniem do wyborów prezydenckich będzie po lewicy pozamiatane – przekonuje konserwatywny polityk PSL. Ale podobnie wypowiadają się też inni. Były ważny poseł lewicy, dziś w KO, pytany o ocenę sytuacji w jego byłej formacji, mówi: – Nic nie powiem. Nie będę kopać leżącego.

©℗ PIOTR ŚMIŁOWICZ

TYGODNIK POWSZECHNY

KS. ADAM BONIECKI: „TESTAMENT"

„Bądźmy wdzięczni. Dziękujmy. Warto sobie uświadomić, że jest za co"– tymi słowami ks. Adam Boniecki rozpoczyna czytany przez siebie audiobook i samą książkę.

Kończy zaś... życzeniami: „Życzę też, byśmy nie byli ponurakami. Zmartwychwstanie jest obietnicą przyszłej nieśmiertelności, więc na wszystko możemy patrzeć w perspektywie wieczności! Alleluja!"

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TOMASZ

Stawiszyński:
Wybory, wojny i mity

29 WRZEŚNIA NA OFICJALNYM KONCIE Donalda Trumpa w portalu X pojawił się następujący post (podaję w wersji polskiej): „Święty Michale Archaniele, wspomagaj nas w walce, a przeciw niegodziwości i zasadzkom złego ducha bądź naszą obroną. Oby go Bóg pogromić raczył, pokornie o to prosimy, a Ty, Wodzu niebieskich zastępów, szatana i inne duchy złe, które na zgubę dusz ludzkich po tym świecie krążą, mocą Bożą strąć do piekła. Amen".

W sieci natychmiast zaroiło się od spekulacji. Dlaczego ekscentryczny kandydat na stanowisko prezydenta USA publikuje w mediach społecznościowych tekst modlitwy? Cynicznie gra na chrześcijański elektorat? Nawrócił się na katolicyzm? A może to raczej porozumiewawcze mrugnięcie okiem do tych, którzy rozumieją, że stawka w amerykańskich wyborach znacznie przekracza ziemską skalę? Czy zatem Trump jest – jak już to wcześniej sugerowano w kampanijnych materiałach – bożym wybrańcem? Narzędziem Opatrzności, która wystawiła go do bitwy pomiędzy hufcami niebieskimi (wszak dowodzi nimi właśnie Archanioł Michał) a armią szatana? I czy tajemniczy QAnon jednak mówił prawdę: Trump stanowi zagrożenie dla potężnej siatki zakonspirowanych satanistów-pedofili, którzy porywają dzieci, a następnie pozyskują z nich adrenochrom, substancję mającą zapewnić bogaczom wieczną młodość?

A może dla odmiany – taka teoria również się pojawiła – to raczej on został wciągnięty w spisek przez podstępną lożę okultystów, która chce go (a wraz z nim – nas) sprowadzić na manowce? W niektórych okultystycznych doktrynach bowiem św. Michał wcale nie dowodzi siłami dobra, lecz niejasno mediuje między Chrystusem, Lucyferem a Arymanem (ten ostatni to też demon, żeby była jasność). Na domiar – nomen omen – złego, patronuje Nowej Erze i wspomaga proces ewolucji rodzaju ludzkiego ku rzekomo „doskonalszym" etapom. A przecież wiadomo, czym taka „doskonałość" pachnie – siarką. Niewątpliwie więc jakieś piekielne moce musiały Trumpowi podpowiedzieć modlitwę do tej podejrzanej persony. „Niech pan będzie z tym ostrożny, panie prezydencie" – wpis o takiej treści także znalazł się pod inkryminowanym postem.

Oczywiście, można to wszystko potraktować jako sprawę błahą. Ostatecznie – co to za różnica? Czy modlitwa jest oznaką szczerej wiary, czy też cynizmu – powiedzą niektórzy – niewielkie ma to znaczenie w perspektywie potencjalnych konsekwencji kolejnej prezydentury Trumpa. Tak dla świata, jak i dla Polski.

Z jednej strony, wydaje się to rozumowanie zasadne. Z drugiej – nie podzielam tego lekceważenia. Jak uczy historia, nigdy nie należy bagatelizować mitów i symboli. Tym bardziej, jeśli budzą powszechne ożywienie. Okoliczność, że Trump kolejny raz sięga w kampanii po specyficzną symbolikę religijną – i że rodzi to tak duży rezonans – mam więc za wyjątkowo znaczącą. Zwłaszcza że retoryka – i poetyka – świętej wojny, apokaliptycznego starcia między legionami ciemności a hufcami światła zakorzeniła się już mocno w politycznym dyskursie i zbiorowej świadomości.

Co najmniej od czasu ataku na Ukrainę konsekwentnie posługuje się nią kremlowski reżim. Niedawno – jak donosił na łamach „Der Spiegel" Michaił Zygar – Putin poleciał do Mongolii ponoć w tym przede wszystkim celu, żeby się konsultować z tamtejszymi szamanami w kwestii użycia broni jądrowej. Nawet jeśliby Zygar to sobie wymyślił – a jest to autor wiarygodny – przekaz poszedł w świat. Odwołania do wątków religijnych są również na porządku dziennym w eskalującym nieustannie konflikcie na Bliskim Wschodzie. Bez znajomości teologii i historii islamu oraz judaizmu nie sposób właściwie zrozumieć, co się tam dzieje. Takie przykłady można by długo mnożyć.

Czy jednak, jak twierdzi wielu przenikliwych analityków i myślicieli, cała ta mitologiczno-religijna scenografia to wyłącznie fasada, za którą skrywają się realne – ekonomiczne i polityczne – cele? Czy też spełnia nieredukowalną, autonomiczną funkcję? Nie znam, oczywiście, odpowiedzi na to pytanie, mam tylko przypuszczenia. Ale jedna funkcja zdaje mi się ewidentna.

Nowoczesne technologie, natłok informacji niemożliwych do zasymilowania, gigantyczna specjalizacja w nauce, wielopiętrowe kryzysy, ekspansja wielkich korporacji – w ostatnich dekadach rzeczywistość jawi się nam jako coraz bardziej nieprzenikniona i tajemnicza. W takiej sytuacji sięgnięcie po język mitu to u człowieka odruch naturalny, niemal bezwiedny. Mit pozwala łatwo i efektywnie ująć w formę to, co źródłowo bezforemne, np. lęk. Pozwala stworzyć reprezentację tego, co niezrozumiałe, w sposób, który daje choćby namiastkę rozumienia.

Nasuwają się w związku z tym dwa co najmniej wnioski. Pierwszy: do adekwatnego opisu aktualnej sytuacji nie wystarczą narzędzia ekonomii, politologii czy socjologii, potrzeba czegoś więcej. Drugi: to raczej archetypowa wyobraźnia oraz sprzężone z nią emocje, nie zaś wyłącznie chłodna gra interesów, tę sytuację w znacznym stopniu kształtują.

Mógłbym zakończyć czymś w stylu: „oby się ta sytuacja nie wymknęła spod kontroli", acz jeśli prawdą jest to, co powyżej – o kontroli w ogóle trudno tu mówić. Jak wiadomo, to raczej mity nas mają, a nie my mamy mity. Więc może faktycznie pozostaje nam już tylko Archanioł Michał? Oczywiście wyłącznie pod warunkiem, że loża okultystów jednak tkwi w błędzie... ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności" i „Reguł na czas chaosu".

WIARA

SYNOD PEŁEN ZAGADEK

Wielu zaangażowanych katolików wciąż wierzy w to rzymskie spotkanie. Pokłada w nim nadzieje większe niż w papieżu.

EDWARD AUGUSTYN Z RZYMU

Dziwny jest ten synod. Gdy trzy lata temu papież uroczyście go otwierał, nikt nie przypuszczał, że będzie tak inny. Franciszek miał już za sobą cztery synody – dwa zwyczajne (o rodzinie i o młodzieży), jeden nadzwyczajny (też o rodzinie) i jeden specjalny (o Amazonii). Wszystkie podobne w kształcie i metodzie do wcześniejszych, organizowanych po Soborze Watykańskim II przez kolejnych papieży.

Pierwszą zauważalną różnicą był czas: nowy synod miał trwać dwa lata (potem dopisano kolejny rok), czego dotąd nie praktykowano. Ale szybko uznano, że chodzi tylko o zabieg formalny, żeby nie powiedzieć: marketingowy – wliczenie etapu przygotowawczego, który przecież poprzedzał także wszystkie poprzednie synody.

Drugą – skala konsultacji, jakie zamierzano przeprowadzić, dzieląc je na etapy lokalne (w parafiach i diecezjach), krajowe i kontynentalne. Nie brakowało głosów, że w ciągu dwóch lat to się nie uda. Ale projekt zrealizowano. W konsultacje zaangażował się 1 proc. katolików na świecie. Niby mało, ale jednak wciąż daje imponującą liczbę ok. 14 mln osób.

Trzecią – płynność formy i treści, które z roku na rok ulegały modyfikacjom. Bo choć temat był od początku jasno określony (synodalność), to nawet dziś, po trzech latach, słychać spory o to, co to słowo naprawdę znaczy.

Z czasem różnic widać było jeszcze więcej. Niby wciąż jest to synod biskupów, ale jedną czwartą jego uczestników stanowią nie-biskupi, w tym świeccy, także kobiety. Niby wpisuje się w formułę przewidzianą w Kodeksie Prawa Kanonicznego, ale jednak balansuje na jej granicy, twórczo interpretując np. przepisy o powoływaniu delegatów, członków sekretariatu

ALESSANDRA TARANTINO / AP / EAST NEWS

Podczas otwarcia Synodu kobiety domagają się święceń w ramach akcji „Nie kop puszki, kobiety mogą zostać księżmi" (gra słów: angielskie „can" oznacza „puszkę" i „móc"). Trzecia z prawej: Zuzanna Radzik. Rzym, 2 października 2024 r.

czy rad synodalnych. Niby synod miał wprowadzić wielkie zmiany, ale wciąż nie można się ich doczekać.

Zmęczenie i obojętność

„Kwestie gorące, jak święcenia kobiet, celibat księży, otwarcie na społeczność LGBT, znalazły się poza stołem obrad, przekazano je do grup studyjnych. A ponieważ nie będą już przedmiotem naszej dyskusji, powrócimy do tematu, który papież od początku nam zlecił: jak być misyjnym Kościołem synodalnym" – pisał jeszcze kilka dni temu na swoim blogu bp Robert Barron z diecezji Winona-Rochester.

Takie było powszechne przekonanie. Lęk (albo nadzieja), że synod pójdzie niemiecką drogą, wprowadzając istotne zmiany w doktrynie i dyscyplinie, wygasły rok temu. Pierwsza sesja plenarna (październik 2023), na którą wszyscy czekali w napięciu, pomni sporów i kłótni, do jakich dochodziło podczas wcześniejszych Franciszkowych synodów, zakończyła się salomonową „syntezą końcową", dzielącą tematy na „zbieżności", „kwestie do podjęcia" i „propozycje", dzięki czemu żadne, choćby najbardziej kontrowersyjne postulaty nie zostały odrzucone, a jedynie odłożone na mniej lub bardziej odległą przyszłość. Lęki (albo nadzieje) ustąpiły miejsca zmęczeniu, rozczarowaniu i obojętności.

Potem na długie miesiące zapadła cisza. O obowiązku przysłania do Watykanu krótkiego raportu z konsultacji nad propozycjami „syntezy końcowej" trzeba było biskupom kilka razy przypominać, a i tak wielu nie wywiązało się z niego we wskazanym terminie (do 15 maja). Polski episkopat był tu wyjątkiem, choć trudno powiedzieć, czy chlubnym: abp Stanisław Gądecki wysłał dokument już w marcu, chcąc załatwić sprawę przed odejściem z urzędu przewodniczącego KEP, tyle że mało kto się o tym dowiedział (niektórzy biskupi swoje syntezy wysłali więc do Watykanu na własną rękę).

Żeby zaangażować w prace więcej środowisk, sekretariat generalny zorganizował „synod proboszczów" – w wielu krajach, w tym w Polsce, delegatów na to spotkanie trzeba było długo szukać (i wyznaczać na ochotnika).

Z czasem nawet najwięksi krytycy synodu ucichli. Rok temu media konserwatywne niemal codziennie publikowały wypowiedzi kardynałów Burke'a czy Müllera, protestujących przeciwko degradacji idei synodu i zamachowi na doktrynę Kościoła. W tym roku ich uwaga o wiele częściej skupiała się na kard. Victorze Manuelu Fernándezie, prefekcie Dykasterii Nauki Wiary, którego uznano za głównego realizatora doktrynalnie wątpliwych projektów Franciszka.

Trzęsienie sumień

„Proszę o wybaczenie i kajam się ze wstydem za wszystkie sytuacje, w których nie byliśmy w stanie chronić Ewangelii jako źródła wiecznej nowości, ryzykując zredukowanie jej do stosu martwych kamieni, którymi można rzucać w innych. Proszę o wybaczenie i kajam się ze wstydem za wszystkie przypadki doktrynalnego usprawiedliwiania nieludzkiego traktowania innych. Proszę o wybaczenie i kajam się ze wstydem za działania i zaniechania, które uniemożliwiały i wciąż utrudniają przeżywanie wiary chrześcijańskiej w jedności i autentycznym braterstwie całego rodzaju ludzkiego".

To fragment aktu skruchy, jaki kard. Fernández, prefekt dykasterii, która jest w linii prostej potomkinią Świętej Inkwizycji, odczytał w czasie nabożeństwa pokutnego w przeddzień synodu. Towarzyszyło mu sześciu innych kardynałów, przepraszających za siedem nowych grzechów Kościoła. Oprócz wykorzystywania doktryny do ataku na inaczej myślących były to: brak odważnego zaangażowania w obronę pokoju i praw człowieka (kard. Oswald Gracias z Indii), przemoc wobec ludzi i całego stworzenia (kard. Michael Czerny, prefekt Dykasterii ds. Integralnego Rozwoju Człowieka), wykorzystywanie seksualne dzieci i osób najsłabszych (kard. Seán O'Malley, przewodniczący Papieskiej Komisji ds. Ochrony Małoletnich), dyskryminacja kobiet (kard. Kevin Farrel, prefekt Dykasterii ds. Świeckich, Rodziny i Życia), lekceważenie ludzi biednych (kard. Cristóbal Romero z Rabatu) oraz zapatrzenie w samych siebie, nazwane grzechem przeciwko synodalności (kard. Christoph Schönborn z Wiednia).

↦

Teksty przeprosin napisał dla nich papież, który w homilii przypomniał, że „publiczna spowiedź jest szansą na przywrócenie zaufania w Kościele i wobec niego, nadszarpniętego przez nasze błędy i grzechy, szansą na rozpoczęcie procesu leczenia ran, które nie przestają krwawić". Ale też nauką – dodał – że nikt nie powinien czuć się lepszy od innych.

Komisje pod specjalnym nadzorem

Gdy wydawało się, że pokutne nabożeństwo będzie najważniejszym wydarzeniem tygodnia, pod koniec pierwszego dnia obrad zapowiedziano – ku zaskoczeniu uczestników i obserwujących spotkanie dziennikarzy – prezentację raportów z prac grup studyjnych, czyli komisji, które badały najważniejsze tematy z ubiegłorocznej syntezy. Kiedy w lutym 2024 r. Franciszek powoływał dziesięć takich zespołów, mało kto wierzył w ich skuteczność. Wszyscy w Watykanie wiedzą, że jeśli jakiegoś problemu nie chce się rozwiązać, trzeba stworzyć dla niego specjalną komisję.

Tymczasem stało się inaczej. Komisje zobowiązano do przedstawienia synodowi wstępnych raportów z pracy. Nie wszystkie, oczywiście, wzięły się za nią z jednakowym zapałem – grupa zajmująca się przepisami o mianowaniu nuncjuszy zebrała się od lutego zaledwie trzy razy (w tym dwa razy online), raport zespołu zajmującego się misyjnością w środowisku cyfrowym brzmiał, jakby wygenerował go ChatGPT („W miarę postępów będziemy kontynuować pracę polegającą na słuchaniu, starając się poszerzyć nasze zaangażowanie, aby uwzględnić bardziej zróżnicowane głosy, zwłaszcza z niedostatecznie reprezentowanych regionów, stosując nadal podejście synodalne").

Większość komisji jednak solidnie podeszła do powierzonego zadania, prezentując klarowne i konkretne propozycje zmian (jak choćby raport o procedurach wyboru biskupów, postulujący zwiększenie transparentności i uczciwości procesu, włączenie w niego osób świeckich, które tworzyłyby „profil biskupa" najbardziej potrzebnego diecezji, z uwzględnieniem jej charakteru społecznego i kulturowego).

Najwięcej emocji wzbudziło jednak wystąpienie kard. Fernándeza, który przewodniczył grupie badającej „niektóre zagadnienia teologiczne i kanoniczne dotyczące poszczególnych form kapłańskich", jak dla niepoznaki nazwano problem święceń kobiet.

GRZEGORZ GAŁĄZKA / EAST NEWS

Franciszek podczas obrad Synodu Biskupów. Watykan, 2 października 2024 r.

Prefekt bez ogródek przyznał, że jego komisja musiała wziąć pod uwagę publiczne wypowiedzi papieża na temat diakonatu kobiet („Ojciec Święty nie uważa, by ta kwestia dojrzała już do dalszych badań"). Wyjaśniał, znów zasłaniając się słowami Franciszka, że kobiety mają ważniejsze problemy niż diakonat, który nie może stać się „rodzajem pocieszenia dla niektórych z nich". Dodał, że komisja będzie postulować stworzenie niesakramentalnych form zaangażowania kobiet, nie tylko w duszpasterstwie, ale także w zarządzanie kościelnymi instytucjami.

Czy to znaczy, że kwestia diakonatu kobiet w ogóle nie będzie podejmowana na synodzie? Na pierwszej konferencji prasowej po publikacji raportów zapewniano, że „komisje nie działają poza synodem", który wciąż może zgłaszać uwagi i sugestie do ich prac. Ostateczne wersje raportów mają powstać do stycznia 2025 r.

Niemiecka droga donikąd

– Uważam za skandal, że o tym, czy nadszedł czas na sakramentalne urzędy dla kobiet, decydowali sami konsekrowani mężczyźni – odpisuje na moje pytanie o raport Fernándeza Irme Stetter-Karp, przewodnicząca Centralnego Komitetu Niemieckich Katolików (ZdK).

Swoją Drogę Synodalną Niemcy rozpoczęli w 2019 r., blisko dwa lata wcześniej, nim papież ogłosił swój projekt. *Synodaler Weg* nie jest więc jego plagiatem, jak się nieraz słyszy (i co powtórzył w radiowym wywiadzie bp Jacek Grzybowski, jeden z trzech reprezentantów Episkopatu Polski na synodzie), ale inicjatywą wypływającą z podobnych intuicji, że tylko działając synodalnie można wyprowadzić Kościół z kryzysu.

Irme Stetter-Karp nie chce, póki co, oceniać obrad w Watykanie, choć zarówno ich inicjator (papież), jak i organizatorzy (sekretariat generalny) niejednokrotnie dystansowali się od postulatów niemieckich.

– Jesteśmy na początku drugiej sesji i nie można ocenić, czy nasze propozycje przepadły, czy nie – odpowiada. Podkreśla, że wciąż ma zaufanie do niemieckich biskupów, zaangażowanych w Drogę Synodalną, nie traci więc nadziei wobec synodu światowego.

Podobnie uważa Stefan Orth, redaktor naczelny magazynu „Herder Korrespondenz", wraz z którym obserwuję rzymskie obrady.

– Nie można mówić, że postulaty Drogi Synodalnej w ogóle nie zostały uwzględnione – tłumaczy. – W tekstach dyskutowanych na synodzie rzymskim znajdziemy wiele z nich, zwłaszcza że niektóre były zbieżne z głosami innych Kościołów lokalnych.

Choć przyznaje, że niemieccy biskupi są w sytuacji nie do pozazdroszczenia.

– Wiedzą, że większość naszych katolików chce szybszych zmian, a jednocześnie widzą, jak trudno promować ich postulaty. Niektórzy nasi biskupi też są niecierpliwi, ale przynajmniej na tyle mądrzy, by nie działać pochopnie.

Głosy kobiet i skrzywdzonych

Z działaczkami Catholic Women's Council umawiam się w dniu rozpoczęcia synodu pod Zamkiem Anioła, gdzie o 8 rano organizują synodalny happening (pisze o nim także Zuzanna Radzik na str. 41). Plany krzyżuje mi awaria pociągów dojeżdżających do Rzymu i spowodowany nią komunikacyjny chaos. Kontaktujemy się następnego dnia na WhatsAppie. CWC jest globalną organizacją, prowadzącą kampanię na rzecz równych praw kobiet w Kościele.

– Towarzyszymy synodowi od 2022 r., organizując różne wydarzenia: marsze, spotkania, protesty – pisze Regina Frank, szefowa organizacji. – W tym roku nasza reprezentacja liczy 23 kobiety z 11 kra-

jów. Nie postrzegamy siebie jako przeciwniczek synodu czy instytucjonalnego Kościoła. Raczej jako partnerki dla kobiet, które walczą z patriarchatem i mizoginią.

Frank nie ukrywa, że uważa głośne już wystąpienie kard. Fernándeza za dowód, jak Kościół traktuje głosy kobiet.

– Osoby odpowiedzialne za raport komisji najwyraźniej nie zapoznały się z badaniami renomowanych teolożek, które wykazały, że nie ma teologicznych przeszkód dla święceń diakonis. Odmowa Watykanu ma raczej na celu utrzymanie patriarchalnego i monarchicznego systemu.

Szefowa CWC krytycznie ocenia również wypowiedzi papieża na temat święceń kobiet. I nie zgadza się z opiniami, że w krajach Azji czy Afryki kobiety mają ważniejsze problemy.

– Wręcz przeciwnie, szczególnie w krajach, gdzie przemoc wobec kobiet jest wysoka, słychać głosy, że sakramentalne święcenia zmniejszyłyby jej skalę, stając się widocznym dowodem akceptacji ich statusu.

Z synodalnej okazji postanowiła też skorzystać grupa skrzywdzonych w polskim Kościele, która przygotowała propozycję zmian w prawie kanonicznym. Chodzi o wprowadzenie przepisów, które nakażą sprawiedliwe i podmiotowe traktowanie ofiar w kościelnych postępowaniach karnych (więcej na ten temat w publikowanej obok rozmowie z Tośką Szewczyk). Dokument przekazano polskim biskupom wyjeżdżającym na synod. Kard. Grzegorz Ryś zapewnił mnie, że propozycje skrzywdzonych trafią wkrótce do kard. Maria Grecha, sekretarza generalnego synodu – spotkanie z polską delegacją ustalono na drugi tydzień synodu.

Oba te przykłady pokazują, że wielu zaangażowanych katolików wciąż wierzy w ten dziwny synod i pokłada w nim nadzieje. Większe chyba niż w papieżu. Wszystko wskazuje na to, że Franciszek nie wprowadzi już żadnych znaczących zmian, synod natomiast może dać Kościołowi dynamikę, która prędzej czy później zmieni jego oblicze. Nawet jeśli w najbliższym dokumencie nie będzie jeszcze ich śladu.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

Skrzywdzeni przez księży piszą do Franciszka

TOŚKA SZEWCZYK:

Powiedziałam biskupom, że przy tak sformułowanym prawie kanonicznym czuję się przez Kościół powtórnie użyta.

ANNA GOC: Biskupi z Polski pojechali na synod z propozycjami zmian w prawie kanonicznym, które skrzywdzeni wykorzystaniem seksualnym w Kościele opracowali z grupą kanonistów. Komu je przekażą?

TOŚKA SZEWCZYK: Adresatem naszych postulatów jest Franciszek, bo tylko papież może zdecydować o zmianie prawa kanonicznego. Czy w czasie synodu uda nam się do niego dotrzeć? Tego nie wiemy.

Zmiana prawa, dzięki której my, pokrzywdzeni, stalibyśmy się stroną w procesie kanonicznym – a nie, jak dotąd, świadkami we własnych sprawach – to jeden z naszych najważniejszych postulatów. Jako świadkowie jesteśmy pozbawieni wielu podstawowych praw, m.in. prawa do informacji o przebiegu procesu, do składania wniosków dowodowych, do odwołania się od decyzji.

Przypomnijmy: postulat ten znalazł się w liście, który 46 osób skrzywdzonych wysłało w maju Radzie Stałej Konferencji Episkopatu Polski. To reakcja na opisaną w „Tygodniku Powszechnym" i w „Więzi" historię dwóch kobiet, które zgłosiły sprawę molestowania przez księdza gdańskiej kurii. Metropolitą gdańskim był wtedy abp Tadeusz Wojda, obecny przewodniczący KEP. Z relacji kobiet wynika, że w sprawie były liczne nieprawidłowości, m.in. manipulacje w protokole zeznań pokrzywdzonych, i zaniechania.

Zaproponowaliśmy biskupom wysłanie wspólnego listu do papieża z propozycją zmian w prawie. Członkowie Rady Stałej KEP odpisali, że mamy przygotować propozycję zmian, a oni przedstawią ją na synodzie. Inicjatorzy majowego listu do biskupów – Jakub Pankowiak, Robert Fidura i ja – pracowaliśmy z grupą kanonistów, którzy poprosili o anonimowość. Propozycję zmian przesłaliśmy biskupom. A przed ich wyjazdem na synod poprosiliśmy o spotkanie, by się upewnić, że są przekonani do naszego pomysłu i będą jego ambasadorami.

Są?

Odnieśliśmy wrażenie, że tak. Dołączył do nas kard. Grzegorz Ryś, by wspólnie zastanowić się, jak najlepiej przekazać nasze postulaty. W czasie synodu sporo się dzieje, więc jeśli nie uda nam się dotrzeć w ten sposób do Franciszka, spróbujemy w inny. Być może zabrzmi to dziwnie, ale jeśli będzie trzeba, pojedziemy do papieża.

„Dziwnie" – bo zmiany, które mają lepiej chronić pokrzywdzonych, to wciąż inicjatywa samych pokrzywdzonych, a nie hierarchów?

Nie jesteśmy głosem wszystkich, bo skrzywdzeni to różnorodna grupa. Część z tych osób ma już dość – są zmęczeni ciągłym odbijaniem się od Kościoła, nie chcą mieć z nim nic wspólnego. Tym bardziej, że w Kościele wciąż obecne jest myślenie, że przestępstwo księdza uderza w całą wspólnotę, a nie przede wszystkim w nas – samych pokrzywdzonych.

Jak to Pani rozumie?

Przestępstwo jednego księdza czy zakonnika może doprowadzić do tego, że ludzie odchodzą z Kościoła, porządni księża czują, że cień może paść ↦

↦ bezpodstawnie na nich, wspólnota się polaryzuje. Do tego dochodzi ból naszych bliskich – widzą, jak przeżywamy to, co się wydarzyło, jak latami próbujemy wyjść z traumy. Przestępstwo jednego człowieka promieniuje, zatacza coraz szersze kręgi. Jednak my nie jesteśmy świadkami tego wszystkiego, tylko pierwszymi pokrzywdzonymi.

„Osoby skrzywdzone przestępstwem, w roli świadka, pozbawione pomocy prawnej oraz prawa do pełniejszego uczestniczenia w procesie (zwłaszcza w procesie karno-administracyjnym), z niezwykle ograniczonym prawem do informacji, czują się traktowane przedmiotowo i niejednokrotnie powtórnie traumatyzowane przez udział w kanonicznym postępowaniu" – piszecie w liście do papieża, w którym są wasze propozycje zmian w prawie. Jak teraz wyglądają kolejne etapy postępowania kanonicznego?

Żeby zgłosić swoją sprawę, osoba pokrzywdzona kontaktuje się z delegatem ds. ochrony dzieci i młodzieży, który jest w każdej diecezji i każdym zgromadzeniu zakonnym. Składa zeznania, podpisuje spisany przez delegata lub inną osobę, zwykle też księdza, protokół. Gdy idziemy do kurii, nie zdajemy sobie jednak sprawy, jak ważny to jest etap.

To znaczy?

Ważne jest, by dokładnie przeczytać, co zostało zapisane w protokole, bo nasze zeznanie będzie funkcjonowało przez wszystkie kolejne etapy procesu. Później nikt nas już o nic nie dopytuje, nie ma innych przesłuchań, nie można nic dodać ani niczego doprecyzować.

Wiedziała Pani, jak się przygotować?

Nie, nikt mi tego nie powiedział. Podczas rozpraw sądowych mamy zwykle adwokata, który nas reprezentuje. Do kurii idziemy sami i musimy opowiedzieć o tym, że byliśmy wykorzystani seksualnie przez księdza. Wielu pokrzywdzonych nie zdaje sobie sprawy, że mają prawo przyjść do kurii z osobą towarzyszącą. Mogą też nie zgodzić się z zapisem protokołu z zeznań i wnioskować jego poprawianie – wiele razy, aż uznają, że zapis jest zgodny z tym, co chcieli powiedzieć. Mają również prawo do niektórych informacji o procesie: na jakim jest on etapie, czy sprawa została wysłana do Watykanu, czy stamtąd wróciła.

Delegat o coś dopytywał?

Pytał, ile miałam lat, gdy zostałam wykorzystana seksualnie przez księdza. Bo inaczej wyglądałaby procedura, gdybym miała poniżej 15, inaczej – jeśli byłabym starsza. Dzisiaj pokrzywdzeni są często lepiej przygotowani. Również ze względu na to, że ci, którzy przechodzili przez to wcześniej, mówią głośno o tym, jak się przygotować.

Czyli?

Znam jedną osobę, która poszła złożyć zeznania z prawnikiem kanonicznym. Coraz częściej pokrzywdzonym ktoś w kurii towarzyszy. Nie dzieje się to jednak dlatego, że Kościół ruszył z kampanią informacyjną dla skrzywdzonych, tylko oni sami są mądrzejsi o nasze doświadczenia. Na pierwszym spotkaniu dostajemy propozycję pomocy psychologicznej lub duchowej. Nikt nas nie informuje, co się z naszą sprawą będzie działo i jak z tym – trwającym zwykle kilka lat – brakiem dostępu do informacji mamy sobie radzić.

Moje zeznania zostały spisane dość skrupulatnie. Gdy je czytałam, zauważyłam jedynie, że ksiądz nie zapisał nazwisk innych pokrzywdzonych, które wymieniałam. Wtedy nie zwróciłam na to uwagi, ale kilka miesięcy później zdałam sobie sprawę, że to był poważny błąd, powinnam poprosić o ich dopisanie. Tym bardziej, że innej okazji już nie miałam. Gdy zorientowałam się, że po złożeniu zeznań właściwie nie mam już wglądu, ani nawet dostępu do mojej sprawy, poprosiłam biskupa, by informowali kolejne osoby, które będą przychodziły ze swoją sprawą, jak wyglądają kolejne etapy postępowania. Odpowiedział, że nie powinno się podawać pokrzywdzonym takich informacji, bo wtedy będą rezygnowali ze składania zeznań.

Zna Pani numer swojej sprawy?

Oczywiście, że nie. Od złożenia zeznań w 2020 r. nie otrzymałam żadnej informacji na piśmie o mojej sprawie.

Delegat, biskup – nie kontaktowali się z Panią przez te cztery lata?

Dwa razy. Za pierwszym razem delegat zadzwonił, żeby mnie poinformować, że dochodzenie wstępne zostało zakończone i że wysłał dokumenty do Dykasterii Nauki Wiary. Nie podał jednak szczegółów, np. tego, kto jeszcze został przesłuchany. Po raz drugi zadzwonił, gdy dokumenty wróciły z Watykanu z zaleceniem przeprowadzenia procesu. Ksiądz, czyli domniemany sprawca, jest w procesie stroną – ma dostęp do dokumentów, także moich zeznań.

A teraz? Na jakim etapie jest Pani sprawa?

Po roku od drugiego telefonu delegata zaczęłam go dopytywać o postępy. Odpowiadał, że nie wie, co się dzieje w mojej sprawie, ale spróbuje to ustalić i oddzwoni. Nie oddzwonił. Po kilku latach zorientowałam się, że na szkolenia dla delegatów nie chodzą wszyscy – bo nie są one obowiązkowe.

Ponieważ z delegatem kontakt był coraz trudniejszy, napisałam do biskupa. Najpierw obiecał mi, że odpowie na moje pytania, ale nie zrobił tego. Już nie pamiętam, w jaki sposób zdobyłam numer do pracownika sądu kościelnego, w którym prawdopodobnie była prowadzona moja sprawa. Powiedział mi tylko, że sprawa jest zbyt poważna, dlatego nie może udzielić żadnych informacji. Dodał, że mogę próbować załatwić sobie dostęp do informacji w samym Watykanie.

Nie rozumiem.

Ja też nie, załamało mnie to na jakieś pół roku. Miałam w tamtym czasie wsparcie jednego zaprzyjaźnionego

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Łomży I Wydziałem Cywilnym toczy się postępowanie w sprawie I Ns 709/23 z wniosku Rafała Zysk, Marty Zysk o stwierdzenie nabycia własności przez zasiedzenie działki gruntu nr 793 o powierzchni 1,53 ha położonej we wsi Drozdowo, gm. Piątnica, pow. łomżyński, woj. podlaskie.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Łomży, w przeciwnym razie Sąd stwierdzi nabycie nieruchomości, jeżeli zostanie ono udowodnione.

ALEKSANDER KEPLICZ / FORUM

Protest przeciwko pedofilii w Kościele przed kościołem św. Krzyża. Warszawa, 19 grudnia 2020 r.

biskupa, który podczas wizyty w Watykanie poszedł zapytać o moją sprawę. Poprosili, żebym wysłała pytania. Zrobiłam to półtora roku temu. Nie odpowiedzieli.

Przez te kilka lat próbowałam zrozumieć prawo kanoniczne, ciągle coś z kimś konsultowałam. Podobnie jak wiele innych osób, które zgłosiły swoje sprawy w kurii i o ich przebiegu nie są informowane. W czasie jednej z rozmów biskup powiedział mi, że moja sprawa zmierza ku końcowi – czyli zakończył się proces, wysyłają wyniki znów do Watykanu. Zapytałam, czy może powiedzieć mi, jaki jest wyrok. Odpowiedział, że nie.

Nie mógł?

Gdy już zupełnie nie wiedziałam, czy dostanę jakąkolwiek informację o mojej sprawie, zgłosiłam się do Inicjatywy Zranieni w Kościele, która przejęła moją korespondencję z biskupem. Odpowiedź biskupa skonsultowałam też z kanonistami, którzy stwierdzili, że nie ma przepisu, który zabraniałby udzielenia mi tej informacji. Zapytałam więc biskupa, na podstawie jakiego paragrafu prawa kanonicznego nie może mnie poinformować. Zapadła cisza. Po niej – propozycja spotkania, na którym poinformował mnie o treści dekretu.

Jaki jest?

Ksiądz został uznany winnym.

Co dalej?

Jeśli Dykasteria Nauki Wiary potwierdzi ten wyrok, ksiądz zostanie wydalony ze stanu duchownego. Choć będzie mógł wnieść dwa odwołania. Nam, jako pokrzywdzonym, odwołanie nie przysługuje, bo nie jesteśmy stroną w sprawie. Zaczęłam mieć świadomość, że moja sprawa może trwać pięć lat, ale może trwać i dziesięć.

Wie Pani, co robi ksiądz, którego sprawę Pani zgłosiła?

Wiem, że mieszka w domu dla księży emerytów. Kilka miesięcy po moim zgłoszeniu przestał posługiwać w parafii. Podobno teraz mówi, że zamierza odejść z kapłaństwa. Jeśli Watykan potwierdzi wyrok biskupa, to zostanie wydalony ze stanu kapłańskiego. Być może już zna treść wyroku i chce uprzedzić krok biskupa.

Powiem pani, o co walczę. Ostatnio w przynajmniej dwóch diecezjach biskupi poinformowali wiernych, z jakiego powodu ksiądz został wydalony ze stanu duchownego. To wydaje mi się uczciwe.

„Uznanie takich podstawowych uprawnień osoby skrzywdzonej w kanonicznym postępowaniu karnym – takich jak prawo do informacji, do prawnej reprezentacji, do składania wniosków dowodowych, do odwołania się od decyzji i do zadośćuczynienia – wydaje się koniecznym warunkiem przywrócenia sprawiedliwości" – piszecie w propozycji zmian.

Podczas spotkania z delegacją biskupów jadących na synod powiedziałam, że przy tak sformułowanym prawie kanonicznym czuję się przez Kościół powtórnie użyta. Tak jak sprawca użył mnie do celów seksualnych, tak teraz Kościół używa mnie do posprzątania na swoim podwórku.

I to trzeba zmienić.

©℗ Rozmawiała ANNA GOC

Tośka Szewczyk to pseudonim. Nasza rozmówczyni swojego prawdziwego imienia i nazwiska nigdy nie ujawniła, nigdy też nie opowiedziała swoim bliskim, w tym rodzicom, o tym, że była wykorzystywana seksualnie przez księdza. Swoją historię opisała w książce „Nie umarłam. Od krzywdy do wolności".

Męskie Oblężenie Jasnej Góry, doroczny zlot męskich grup modlitewnych. Częstochowa, 29 września 2024 r.

Jak wierzą faceci

TEKST I ZDJĘCIA MARCIN WÓJCIK

Zwykłe chłopaki czy radykałowie? Na Jasnej Górze pojawiły się stowarzyszenia i grupy modlitewne skupiające mężczyzn.

Siedzę w srebrnym golfie kombi z dwoma panami, których poznałem zaledwie kilka dni wcześniej na spotkaniu Mężczyzn Świętego Józefa w Krakowie. Jedziemy do Częstochowy. Za kierownicą Wojtek, drobnej postury facet po pięćdziesiątce. Rzadkie czarne włosy ma zaczesane do tyłu i związane nad potylicą. Prowadzi pewnie i rozmawia z uśmiechem. Na fotelu pasażera siedzi jego kolega, w podobnym do tamtego wieku. Prosi, żeby nie podawać jego imienia.

Panowie znają się z kameralnych zajęć modlitewnych, podczas których studiują ewangelię i wspierają nawzajem z innymi mężczyznami. O pomyśle spotkań dla facetów przy kościele św. Józefa zrobiło się w Krakowie głośno już kilkanaście lat temu, kiedy ks. Jacek Stryczek zapraszał do modlitwy, wspinaczki i wypraw górskich w gronie męskim. Wtedy to była nowość. Dzisiaj nikogo nie dziwi, że przy parafiach w całym kraju działają setki takich inicjatyw o najróżniejszych profilach. Najliczniejsi są Mężczyźni Świętego Józefa i Rycerze Kolumba. Niewielkie grupy mnożą się przy lokalnych parafiach. Nie brakuje kontrowersyjnych organizacji formowanych na kształt oddziałów wojskowych z Bogiem, Honorem i Ojczyzną na sztandarach. Wojownicy Maryi i Żołnierze Chrystusa raz po raz brani są na tapet przez dziennikarzy śledczych. W Częstochowie mają być wszyscy.

Jedziemy na ósmy doroczny zlot grup z całej Polski o nazwie Męskie Oblężenie Jasnej Góry. Tematem przewodnim jest modlitwa w życiu mężczyzny lub mężczyzna modlitwy. W jakiej sile nastąpi owo Oblężenie? Na czym polega fenomen rosnącej popularności spotkań tylko dla mężczyzn w Kościele katolickim? Do Częstochowy jadę z wieloma pytaniami.

Formowanie

Droga mija na opowieściach. Wojtek trafił do męskiej grupy przy Wspólnocie Trudnych Małżeństw „Sychar" po drugiej separacji z żoną. Co tydzień widuje się też z kolegami z Mężczyzn Świętego Józefa. Modlitwa i wzajemne wsparcie pomogły mu „formować się w Bogu", jak to określa, wziąć odpowiedzialność za siebie. Poprawił relacje z rodziną. Złagodniał.

Jego kolega do Świętego Józefa także trafił po problemach z rodziną. Z entuzjazmem pokazuje fotografie z urodzin kolegi z grupy. Dotąd bał się mówić o lęku i porażkach. A teraz czuje się rozumiany, znalazł przyjaciół. Obaj sprawiają wrażenie zwyczajnych wierzących facetów. Żadnej ideologii. Mówią, że jadą na Męskie Oblężenie pomodlić się o poprawę relacji z bliskimi i żeby Maryja się nimi opiekowała.

Po przybyciu bardzo długo szukamy miejsca w sznurach samochodów na potężnym parkingu. Wojtek głośno odczytuje tablice rejestracyjne. – TSA to Sandomierz, WA to Warszawa, dalej Białystok. Szczecin. WPR, czyli Pruszków, Kielce...

Kiedy docieramy do Auli Kordeckiego w jasnogórskim klasztorze paulinów, przy recepcji spotykamy grupę z Wielkiej Brytanii. Za nimi w kolejce stoi kilku mężczyzn, którzy właśnie dotarli tu z Niemiec. – Wyjechaliśmy o trzeciej nad ranem, 860 kilometrów – chwali się Jarek z grupy pod wezwaniem Andrzeja Boboli zrzeszającej Polaków mieszkających w Hanowerze.

Część wspólnot nosi jednakowe koszulki z emblematami Maryi czy Jezusa, jakby to były barwy klubowe. Większość zebranych w podziemnej auli o półkolistym stropie to jednak zwyczajnie ubrani mężczyźni w średnim wieku. Pan z recepcji mówi, że online zapisało się tylko 700 osób, ale spodziewają się nawet dwóch tysięcy.

Odpowiedź wyprzedzająca

Pomysł Męskiego Oblężenia Jasnej Góry zrodził się kilka lat temu podczas zlotu liderów męskich grup z całej Polski. Okazuje się, że przedstawiciele największych z nich spotykają się regularnie na rozmowy o przyszłości takich stowarzyszeń od prawie dwóch dekad. Założyciel Mężczyzn Świętego Józefa, Andrzej Lewek, uważa, że w Kościele zgubiła się męska wrażliwość. – Papież Franciszek wzywa do nawrócenia pastoralnego, a męskie grupy są ważnym jego elementem. To jest forma ewangelizacji, by pomóc mężczyznom odkryć Boży plan dla życia – opowiada, gdy spotykamy się w podziemiu krakowskiego kościoła św. Józefa, kilka dni przed zlotem w Częstochowie.

Trwa właśnie cykl warsztatów online przygotowujących do zjazdu na Jasnej Górze. Tematem dzisiejszego są „modlitwy świętych i grzeszników". Lewek jest niski, dynamiczny i zabiegany. Znajduje czas na rozmowę dopiero o 21.30. – Pytają mnie, czy my jesteśmy odpowiedzią na kryzys męskości. A ja o kryzysie męskości dowiedziałem się dopiero, jak już moja grupa istniała – ciągnie. – Pytają nas, czy jesteśmy odpowiedzią na LGBT, na gender. W 2008 r., gdy zakładaliśmy grupę, nie słyszałem jeszcze o LGBT i o gender. Jeżeli jesteśmy odpowiedzią, to wyprzedzającą i nie naszą, tylko Bożą. Staramy się unikać działań demagogicznych, politycznych, opartych na wątpliwych źródłach. Zależy nam, żeby dawać zdrowe, kościelne nauczanie. I to jest priorytet – mówi.

Przeor Jasnej Góry szybko zgodził się na pomysł zlotu mężczyzn z całej Polski. Pierwszy zjazd w 2017 r. zaczął się w Auli Kordeckiego. Lewek opowiada, że gdy sala wypełniła się po brzegi, musieli przenieść się do bazyliki i prowadzić spotkanie równocześnie w obu miejscach. W połowie przeor powiedział im, że „tak być nie może, bo Jasna Góra jest tak zapchana, że się nigdzie nie da przejść". – I wyrzucił nas na wały. Przenieśliśmy się dosłownie w połowie spotkania i wszystko do końca odbyło się już tam. To był taki jasny sygnał, że to jest oblężenie, bo jesteśmy za murami i jesteśmy w dużej liczbie, więc nazwaliśmy to Oblężeniem Jasnej Góry.

Ewangelizacja innych

Dzień zaczyna się uroczystym powitaniem w obecności przewodniczącego tegorocznego Oblężenia, biskupa pomocniczego gnieźnieńskiego Radosława Orchowicza. Potem warsztat z ks. dr. Przemysławem Kwiatkowskim z Gniezna. Młody duchowny odmienia modlitwę przez wszystkie przypadki, podążając za tematem przewodnim spotkania. Namawia do „modlitwy z Maryją, by być takimi ojcami, jakim Bóg jest dla nas". Zostaje mi w pamięci opowieść o matce niepełnosprawnej dziewczynki, która co rano pytała córkę: „kim jestem?". Po kilku powtórzeniach dziecko przypominało sobie: „mama". Według Kwiatkowskiego modlitwa jest takim przypominaniem sobie Maryi, żebyśmy mogli wrócić do rzeczywistości.

Paweł Jaworski, lider Żołnierzy Chrystusa

Wykładowi z uwagą przysłuchuje się barczysty człowiek w stroju barwy khaki z logo i napisem „Duszpasterstwo Mężczyzn" na piersi. Maciej Szturemski przyjechał z Rokietnicy w towarzystwie kilkudziesięciu kolegów. Mają ze sobą sztandar i wszyscy ubrani są jednakowo. W przerwie podpytuję, dlaczego tutaj jest. – Myślę, że to jest formowanie się osób świeckich – odpowiada. – Biorąc pod uwagę sytuację ewidentnej walki z Kościołem katolickim, niekrytej wrogości, uważam, że odpowiedzialność za wiarę zaczyna spoczywać na mężczyznach. W dobie kryzysu kapłaństwa następuje głębokie przebudzenie, bo widać, jak wiele jest wspólnot męskich. To są osoby chcące zdobywać wiedzę, aby ewangelizować innych – mówi.

Pytam go jeszcze o znaczenie strojów, które noszą z kolegami. – Mężczyźni potrzebują takiego trochę żołnierskiego drylu. Jak widać nie tylko my, ale też Rycerze Kolumba czy Wojownicy Maryi. Potrzebujemy takiej identyfikacji. To są też atrybuty wiary, które pokazują, że my się tego nie wstydzimy – wyjaśnia.

Dwugodzinne warsztaty ks. Kwiatkowskiego kończą się gromkim aplauzem i gratulacjami. Po wykładzie ksiądz wydaje się wzruszony. W krótkiej rozmowie mówi mi, że jego zdaniem takie zjazdy pozwalają połączyć wymiar duchowy i bardzo ludzki. Służą temu, żeby zobaczyć, że nie jestem sam, jest nas wielu i żeby zamanifestować tożsamość.

Mamy prawo walczyć

Po wykładzie Wojtek z kolegą prowadzą mnie poza mury klasztoru. Dzień jest ciepły, lecz powoli gromadzą się nad nami chmury. Od piętnastej zaplanowana jest tu godzina z męskim różańcem, świadectwa, nauczania i eucharystia. Podczas gdy tłum gromadzi się powoli na widowni, grupki mężczyzn snują się pomiędzy namiotami oferującymi różne towary i usługi. Na czele peletonu stoi budka Ordo Iuris. Zbierają podpisy pod projektem ustawy mającej ograniczyć nieletnim dostęp do pornografii. Ustawia się do nich spora kolejka. Dalej namiot – księgarnia z tytułami dla facetów: „Bądź Mężczyzną", „Żyć Odważnie", „Gdy Boży Mężczyźni wpadają w gniew" i tak dalej. Ponoć towar schodzi. Solidne różańce z żelaznych paciorków na bardzo grubych linkach kosztują od 100 do 250 złotych.

Po drugiej stronie łąki, *vis-à-vis* namiotu z bigosem i darmową kawą, stoją jeszcze dwa. W pierwszym oferowana jest pomoc psychologiczna dla mężczyzn, w drugim – modlitwa wstawiennicza. Od prowadzącego ten z modlitwą dowiaduję się, że mężczyźni przychodzą głównie z powodu problemów w relacjach domowych i z uzależnieniami. Przed obydwoma namiotami ustawiają się długie kolejki. Tymczasem cztery szerokie i bardzo długie rzędy ławeczek pod ołtarzem zapełniają się setkami mężczyzn.

Podobnie jak w auli Kordeckiego, większość ze zgromadzonych to zwyczajnie ubrani i niewyróżniający się panowie w średnim wieku. Najczęściej słyszę od nich, że przyjechali tu modlić się z kolegami do Matki Bożej. Tu i ówdzie widać nieśmiałe transparenty różnych grup ↦

Łukasz, Michał i Marcin, kandydaci do pasowania na wojowników Maryi na Męskim Oblężeniu Jasnej Góry

Część wspólnot nosi jednakowe koszulki z emblematami Maryi czy Jezusa, jakby to były barwy klubowe

↦ z całej Polski. Najbardziej widoczni są Wojownicy Maryi. Jest ich zaskakująco niewielu, jak na formację z oddziałami w całym kraju, ale nie da się nie zauważyć potężnych sztandarów, którymi wymachują. Barczysty Łukasz w koszulce z wizerunkiem Matki Bożej pochodzi z Częstochowy. Mówi, że każdy mężczyzna, który w sercu nosi Maryję, powinien być dzisiaj w duchowej stolicy Polski i walczyć o to, żeby nam się lepiej żyło. Pytam, co ma przez to na myśli. – Polsce wydaje się, że jesteśmy wolnym krajem, a tymczasem rządzący mogą forsować takie ustawy, które są wbrew naszej wierze, czyli aborcja, związki partnerskie, promowanie LGBT. My jako katolicy mamy prawo z tym walczyć i krytykować postawy antychrześcijańskie, które prowadzą do zguby – odpowiada.

Jak zamierza z tym walczyć? Łukasz uśmiecha się i mówi, że przy pomocy modlitwy. Po czym wraca do swojej flagi.

Różaniec

Na wielkim ołtarzu wiszącym ponad murami Częstochowy niczym dziób statku zgromadzili się duchowni i oficjele. Na podeście w kilku rzędach stoją liderzy największych grup męskich z całej Polski. Zanim przemówią biskupi – Radosław Orchowicz i Waldemar Musioł – zgromadzeni odmówią wspólny różaniec. Osobą, która nada ton modlitwie, jest lider Żołnierzy Chrystusa – Paweł Jaworski. Silnie zbudowany mężczyzna stojący na ambonie w koszulce z napisem „Armia Boga" jest liderem ugrupowania, które słynie z radykalizmu. Żołnierze Chrystusa zablokowali kilka lat temu dostęp do kościoła św. Krzyża na Krakowskim Przedmieściu przed osobami ze środowisk LGBT, pełnili wartę pod pomnikiem Jezusa Chrystusa w Warszawie albo „strzegli kościołów" podczas strajków kobiet. W licznych artykułach podkreślane są związki organizacji z prawicowymi bojówkami.

Jaworski nawołuje do obrony cywilizacji chrześcijańskiej i wojny z promowanym przez papieża Franciszka Kościołem otwartym. Kiedy stoję na wałach pod ołtarzem polowym jasnogórskiego sanktuarium i słucham prowadzącego różaniec lidera Żołnierzy Chrystusa, który nawołuje tłum mężczyzn z całej Polski do walki z masonerią i władzą szatana nad duszami, budzi się we mnie niepokój.

Uspokaja mnie coś, co padło wcześniej w rozmowie z ks. Kwiatkowskim. Zapytałem go, do czego militarystyczne symbole i retoryka są mężczyznom potrzebne. Duchowny odpowiedział, że są pomocne, ale mogą też prowadzić do ryzyka – że całe życie będę przeżywał jako nieustanną walkę. I będę szukał wroga. Nasze życie jest walką, ale jest też dawaniem siebie, umieraniem, dawaniem pokoju. Chrystus pokonał w śmierci grzech nie przez to, że wyciągnął chorągiew, ale przez to, że w pewnym momencie kazał także Piotrowi schować miecz do pochwy – powiedział duchowny.

Mów do Boga „Tatusiu"

Pozostałą część popołudnia wypełnią przemówienia. Słuchamy świadectw wiary Krzysztofa Sietczyńskiego z Rycerzy Kolumba, Piotra Szwędrowskiego z fundacji „Wypłyń na głębię" i Sebastiana Stelmacha z Ogniska Wiernej Miłości Małżeńskiej Sychar w Tarnowskich Górach. Im bliżej wieczoru, tym bardziej mówcy walczą o uwagę z pogodą. Duchowni starają się zagrzać tłum osobistymi refleksjami nad modlitwą. Bp Musioł przeplata wykład o „Ojcze nasz" praktycznymi poradami. Proponuje słuchającym, żeby „w chwilach bezradności wołać do Boga czule: Tatusiu!". Gdy przemawia bp Orchowicz, ludzie są coraz szczelniej opatuleni. Zaczyna padać lekki deszcz. A jednak o 18.30 niemal dwutysięczne zgromadzenie mężczyzn wraca pod ołtarz polowy, żeby uczestniczyć w mszy.

Mam wrażenie, że większość ludzi wokół mnie to zwykli faceci, którzy szukają wsparcia w religii i zrozumienia wśród innych mężczyzn. Przyjechali pomodlić się z kumplami. Zastanawiam się, ilu z nich podziela polaryzujące poglądy Żołnierzy Chrystusa czy Wojowników Maryi. I jakoś chcę wierzyć, że chociaż widoczni i głośni, radykałowie mimo wszystko giną w tym tłumie.

Wracam do towarzyszy podróży: Wojtka i jego kolegi. Pierwszy przyszedł właśnie ze spowiedzi, drugi z namiotu modlitw wstawienniczych. Słuchają uważnie, gdy bp Musioł cytuje św. Pawła podczas kazania: „Chcę, by mężczyźni modlili się na każdym miejscu, podnosząc ręce czyste, bez gniewu i sporów". Na wieczór zaplanowane jest jeszcze świadectwo wiary Przemysława Babiarza i Akt Zawierzenia nawiązujący do Jasnogórskich Ślubów Narodu, ale my już tego nie doczekamy. Wracamy do samochodu i wyruszamy do Krakowa. Nasz kompan – wzruszony modlitwą wstawienniczą, którą dla niego odprawiono. Wojtek – z postanowieniem przerwania separacji i powrotu do żony. © MARCIN WÓJCIK

ZUZANNA

Radzik: *Watykan w kordonie*

Dokładnie dziesięć lat temu, też wczesną jesienią, zadłużyłam kartę kredytową, żeby polecieć do Londynu na spotkanie Women's Ordination Worldwide – grupy organizacji działających na rzecz kapłaństwa kobiet. Alicja Baranowska, ich wieloletnia polska członkini, wyłowiła mnie jako tygodnikową blogerkę piszącą o kobietach w Kościele i przekonała koleżanki, żeby zgodziły się na dziennikarkę-obserwatorkę. To, co słyszałam przez te kilka dni, było zupełnie inne niż wszystko, co wiedziałam dotąd o Kościele. Stałam z boku, przyglądałam się, pytałam. Dudniło mi w głowie całe moje katolickie i teologiczne wykształcenie: łamią prawo kanoniczne!, tego nie można!, rety, skąd one się wzięły?! A jednocześnie gdy szłam wieczorami na pociąg, serce mówiło: to są wolne kobiety, dawno nie spotkałaś kogoś, kto tak kocha Kościół. Ale też kogoś tak odważnego w wyobrażaniu sobie, jakie zmiany są możliwe.

Opisałam tamto spotkanie i działaczki, ale tekst wtedy nie poszedł, chociaż po prostu eksplorowałam w nim nowe dla mnie zjawisko różnorodnego ruchu: kobiet wyświęconych wbrew Rzymowi na księży, innych, które czują powołanie, ale nigdy nie zdecydują się złamać reguł, i ich sojuszniczek. Wtedy ze złości zaczęłam pisać książkę. Dekadę później jestem w Rzymie podczas pierwszego tygodnia sesji synodu o synodalności, i piszę o tym w „Tygodniku".

Znów jesteśmy w Rzymie razem: organizacje na rzecz kapłaństwa kobiet, diakonatu kobiet i reform Kościoła. Już nie mam żadnych oporów: przemawiam, planuję happeningi, włączam się w akcje innych organizacji, również tych wprost będących za kapłaństwem kobiet. Przyjechałam jako katolicka działaczka feministyczna, nie dziennikarka. Jest też jedenaście uczestniczek z Polski! Na bezpłatnych urlopach, często na własny koszt, inne jako stypendystki naszego stowarzyszenia TEKLA. Tłumaczki, specjalistki od komunikacji i zarządzania, urzędniczki, HR-ówki, wielodzietne matki, singielki – nie ukrywam, pękam z dumy, że tyle nas się zebrało. Nie tylko dlatego, że ważne jest patrzenie kościelnej władzy na ręce, ale też dlatego, że takie spotkania, które tworzą więzi w akcji, są paliwem naszego oddolnego feminizmu. Robionego na oparach pieniędzy, po pracy, a jednak kreatywnego i radosnego, pełnego nadziei, a jednocześnie doprawionego goryczą.

Piszę to rano przed naszym marszem na Watykan. Wiadomo, będzie to małe zgromadzenie, może czterdzieści-pięćdziesiąt osób, wydajemy się dość niegroźne. Wczoraj dostałyśmy pozwolenie na legalny marsz, ale – inaczej niż prosiłyśmy – zamiast dziesięciominutowego odcinka w stronę placu św. Piotra, policja wyrysowała nam szlak czterdziestominutowego spaceru odciągający nas daleko w miasto, przez rozkopane przed rokiem jubileuszowym ulice, jak najdalej od tych, do których usiłujemy wołać. Patriarchat państwowy wspierający patriarchat kościelny. I tylko dziwi, że tyle trudu poświęca się temu, żeby kilkadziesiąt kobiet nie mogło pokrzyczeć przez pół godziny pod kongregacją, jakie postulaty przynoszą z różnych części świata. Watykan odgrodzony kordonem sanitarnym od wrogich myśli, kobiecych pragnień i powołań.

Tylko dlaczego my jesteśmy na tych ulicach? Jeszcze przed erą papieża Franciszka synody były konferencjami dla biskupów, na których nie było realnej, wolnej dyskusji. Potem, ku zaskoczeniu wszystkich, argentyński papież zaczął słuchać i namawiać do szczerości. W tym sensie waga synodów i tego, co będzie na nich mówione i głosowane, wzrosła. Byłyśmy tu z protestem w 2018 r., żądając równego głosu na synodzie dla kilku przełożonych zakonów żeńskich, potem i w kolejnym roku. Działałyśmy na ulicach, a jednocześnie cisnęłyśmy temat listami i w gabinetach. I synod zmienił się bardziej, niż się spodziewałyśmy: jest na nim grupa świeckich uczestniczek i uczestników, którzy mają prawo głosu. Chociaż wciąż, jeśli spojrzeć na zdjęcia z otwarcia, jest to synod w przeważającej części złożony z biskupów i księży.

Czy to jest adekwatna reprezentacja Kościoła? Czy takiej reprezentacji i procesu decyzyjnego chcemy? No więc dlatego parę dni urlopu zamiast na wakacjach spędzam w Rzymie na demonstracjach. Bo myślę, że czas na inny Kościół: włączający, z adekwatną reprezentacją kobiet. Synodalny – taki nam na tym synodzie obiecywano. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet".

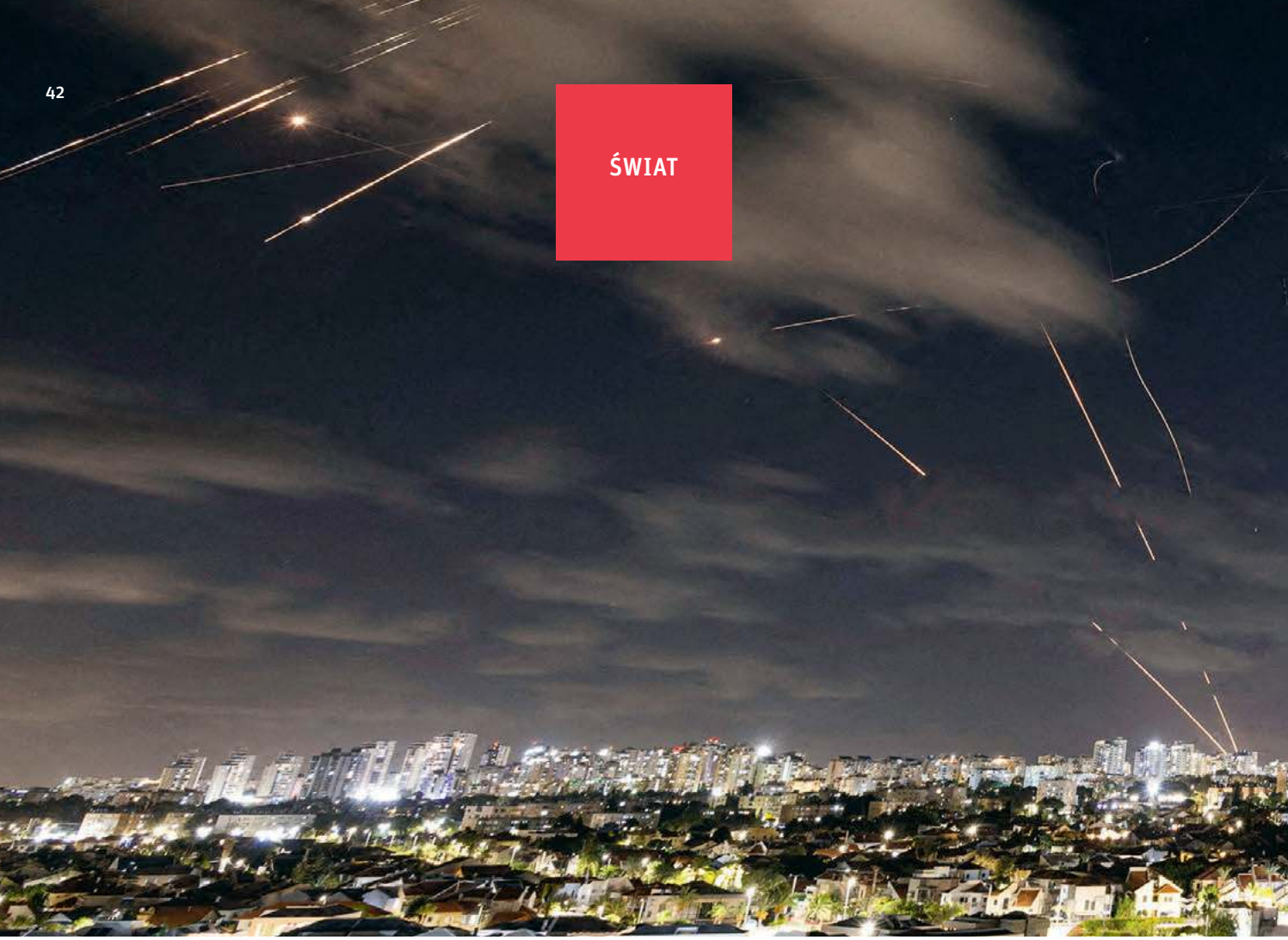

RÓWNOWAGA STRACHU

ŁUKASZ FYDEREK, POLITOLOG, DYREKTOR INSTYTUTU BLISKIEGO I DALEKIEGO WSCHODU UJ:

Dla strategicznego obrazu konfliktu Izrael–Iran istotne jest, że kilkanaście rakiet przedarło się przez izraelską obronę. To pokaz zdolności Teheranu.

PATRYCJA BUKALSKA: Sytuacja na Bliskim Wschodzie zmienia się z dnia na dzień. Jeszcze niedawno USA proponowały rozejm między Izraelem a Hezbollahem. Teraz wydarzenia przyspieszają. Czy możemy pokusić się choćby o scenariusze krótkoterminowe?

ŁUKASZ FYDEREK: Mamy dziś wojnę Izraela na trzech frontach. Pierwszy to Palestyna: tu sytuacja jest najbardziej statyczna. Izrael będzie zapewne kontynuować strategię wywierania presji na Hamas przez okupację Gazy przy pomocy zmniejszonych sił militarnych. To strategia, którą Izrael realizuje od połowy lata, próbując pogodzić cel militarny, jakim jest okupowanie Gazy, z celem społeczno-politycznym, jakim jest zmniejszenie „pracochłonności" tego zadania, jeśli można to tak bardzo brutalnie nazwać.

Drugi front?

To front libański. Po sukcesie operacyjno-strategicznym, jakim było zgładzenie Hassana Nasrallaha oraz po „operacji dekapitacyjnej" wymierzonej w Hezbollah, rząd izraelski podjął decyzję o inwazji lądowej. W mojej ocenie błędną. Realizuje więc teraz, jak to eufemistycznie określa, „manewr lądowy". Ze wszystkimi konsekwencjami, które można było przewidzieć, czyli ponosząc straty. Oddziały rozpoznawcze weszły do południowego Libanu i natykają się na przygotowywane przez dziesiątki lat punkty umocnione i zasadzki Hezbollahu.

Izraelski system przeciwrakietowy usiłuje przechwycić irańskie pociski balistyczne nad miastem Aszkelon, 1 października 2024 r.

AMIR COHEN / REUTERS / FORUM

Wydaje się jednak, że Hezbollah został osłabiony.

Uderzenia „dekapitacyjne" podważyły zdolności Hezbollahu, ale nie zmniejszyły jego potencjału bojowego na południu Libanu. Jego rozproszone w terenie komórki działają zgodnie z planami przygotowanymi na ewentualność izraelskiej inwazji. Nie potrzebują do tego łączności ani koordynacji. W kolejnych dniach i tygodniach możemy spodziewać się, że Izrael będzie posuwać się naprzód, ale jak szybko, to zależy od użytych środków. Mamy informacje, że obecnie to tylko cztery brygady. Potrzeba będzie więc pewnie angażowania większych sił. Hezbollah jest na to przygotowany.

Netanjahu twierdzi, że musiał tak postąpić, aby kilkadziesiąt tysięcy obywateli mogło wrócić do domów w północnym Izraelu.

Nie sądzę, by ta operacja przyczyniła się do poprawy sytuacji ludności izraelskiej na północy kraju. Nadal nie będzie mogła wrócić do domów, nadal będzie trwał tam ostrzał z terenu Libanu.

Ci ludzie musieli zostać stamtąd ewakuowani, gdy w październiku 2023 r. Hezbollah zaczął ostrzał północnego Izraela.

To eskalowało. W momencie, kiedy po 7 października 2023 r. Izrael wszedł do Gazy, w reakcji na atak terrorystyczny Hamasu, Hezbollah stanął przed dylematem, czy podjąć jakieś działania w solidarności z Palestyńczykami. Bo Hezbollah to nie tylko organizacja zbrojna, ale też partia polityczna, która ma swoich wyborców. Część jego elektoratu oczekuje, że będzie się skupiać na problemach libańskich, żeby żyło się lepiej. Ale część chce, by wspierać braci Palestyńczyków.

Hezbollah zaczął ostrzał, ale początkowo ograniczony: nie atakował terenu uznanego międzynarodowo jako państwo Izrael, ale teren tzw. farm Szeba. To miejsce o skomplikowanym statusie: Hezbollah i Syria uznają je za teren libański, a Izrael twierdzi, że to teren syryjski, który jest pod izraelską okupacją.

Dlaczego właśnie tak?

To był sygnał dla Izraela, że Hezbollah jest gotowy do eskalacji, ale nie chce wchodzić w konflikt. To się jednak nasilało: Izrael zaczął odpowiadać, Hezbollah ostrzeliwać militarne cele izraelskie w strefie nadgranicznej. Potem rakieta Hezbollahu spadła na grupę druzyjskich dzieci, obywateli Izraela...

To było w lipcu. Zginęło dwanaścioro dzieci na boisku szkolnym. Hezbollah nie przyznaje się do tego, ale Izrael nie ma wątpliwości, że to była rakieta Hezbollahu.

Tak doszło do stanu, który znaliśmy z ostatnich miesięcy. Czyli: co miesiąc około stu ostrzałów w wykonaniu Hezbollahu i około sześciuset ostrzałów w wykonaniu Izraela. Potem była operacja dekapitacji Hezbollahu i zabicia Nasrallaha...

Co się dzieje teraz w Libanie? ↦

Katastrofa humanitarna. W tej chwili już milion ludzi – tyle podają władze libańskie – opuściło swoje domy, uciekając przed izraelskimi bombardowaniami. Kampania lądowa też się do tego przykłada. Ostrzeżenia, które Izrael wysyła do mieszkańców Libanu, pokazuje bardzo daleki zasięg tej operacji, wykraczający poza umowną granicę Libanu południowego, czyli rzekę Litani. Jako miejsca bezpieczne Izrael wskazuje miejscowości oddalone znacznie bardziej od granicy izraelskiej. To pozwala sądzić, że ambicje dowództwa armii izraelskiej są duże.

A trzeci front, o którym Pan mówi?

To konflikt Izraela z Iranem. On będzie mieć największe skutki i może mieć też wpływ na scenę globalną. 1 października Iran zdecydował się na atak rakietowy na Izrael: wystrzelił ok. 200 pocisków balistycznych. Dla strategicznego obrazu tego konfliktu istotne jest, że przynajmniej kilkanaście z nich przedarło się przez izraelską obronę przeciwrakietową. Trafiły głównie w cele militarne, m.in w bazę lotniczą Newatim na pustyni Negew, blisko ośrodka nuklearnego, a także w cele w Tel Awiwie i okolicy, w tym koło ośrodka logistycznego armii i siedziby Mossadu.

Co to oznacza?

To pokaz zdolności technologicznych Iranu do przełamywania obrony przeciwrakietowej Izraela. Oraz próba – według mnie, skuteczna – odtworzenia potencjału odstraszania Iranu, które to odstraszanie zostało ostatnio nadwyrężone. W poprzedniej równowadze sił między Iranem a Izraelem główną rolę odstraszającą Izrael przed atakiem na Iran pełnił Hezbollah: jego arsenał rakietowy i jego gotowość do wykonania uderzenia rakietowego z terenu Libanu. Wprawdzie z użyciem niezbyt nowoczesnych pocisków, ale za to licznych i lecących na niewielką odległość. Teraz, gdy Hezbollah jest osłabiony, Iran chciał pokazać Izraelowi, że ma też inne możliwości przełamania jego obrony powietrznej.

W chwili, gdy rozmawiamy, nie ma jeszcze reakcji Izraela. Co może zrobić?

Izrael zadeklarował, że w przypadku ataku irańskiego odpowie również atakiem rakietowym. Wskazano dwa potencjalne cele: program atomowy i przemysł naftowy Iranu.

Prezydent USA deklaruje, że nie poprze ataku na irańskie obiekty nuklearne. Tyle że ostatnio Izrael nie zważa na opinię Amerykanów.

Z perspektywy USA izraelski atak na irańskie obiekty nuklearne byłby niekorzystny, bo mógłby skłonić Iran do przyspieszenia prac nad bronią jądrową i do wycofania się z traktatu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej. Pamiętajmy, że Iran nadal jest sygnatariuszem tego układu. Słowem: mógłby osłabić frakcję „gołębią" w rządzie Iranu.

A druga opcja, którą sygnalizował Izrael?

Ona też jest problematyczna, bo Iran nie skierował swoich rakiet w analogiczne cele w Izraelu: na ile nam wiadomo, nie zaatakował elektrowni izraelskich, zbiorników z ropą, portów ani platform wiertniczych. Jeżeli więc Irańczycy starali się pokazać, że atakują wyłącznie cele militarne, a Izrael odpowie asymetrycznie, czyli uderzy w cele, które nie są militarne, lecz są związane z gospodarką Iranu, to będzie ruch eskalacyjny.

Dlaczego?

Bo wtedy Iran może odpalić kolejną salwę i uderzyć w przemysł naftowy lub energetykę w Izraelu. Jakiekolwiek uderzenie Izraela, które nie będzie symetryczne wobec tego, co zrobił Iran, będzie eskalujące. Jeśli zaś Izrael wykona uderzenie, w mniejszej lub większej skali, ale również w instalacje militarne Iranu, będzie to odpowiedź symetryczna, deeskalująca.

Natomiast gdyby rząd Izraela spełnił którąś z zapowiedzi, jakie pojawiają się w triumfującym tonie, jak próba zabójstwa Najwyższego Przywódcy Iranu, uderzenie w program jądrowy albo we wrażliwe cele gospodarcze, byłaby to gwałtowna już eskalacja.

Od czego zależy decyzja Izraela?

Od tego, jak duża była skuteczność ataku irańskiego. Za kilka dni będzie wiadomo więcej o skali szkód w bazach lotniczych – spłyną dane z komercyjnych satelitów. Jeśli Iran zademonstrował, że jest w stanie je trafić jedną salwą rakietową, to znaczy, że jest w stanie je trafiać też kolejnymi salwami rakietowymi. A to poważny problem dla Izraela, bo doktryna izraelskiego kontrataku konwencjonalnego opiera się na lotnictwie.

Ono liczy wprawdzie ponad 250 samolotów bojowych, ale ma dwa słabe punkty. Pierwszy to bazy – i w te trafił Iran. Drugi to fakt, że operacje na takich dystansach jak między Izraelem a Iranem wymagają sprawnej floty samolotów-cystern. Izrael ma ich tylko siedem, to stare boeingi, zapewne nie wszystkie sprawne. Dostawy nowych z USA opóźniają się, co utrudnia planowanie kampanii powietrznej przeciw tak odległemu i rozległemu przeciwnikowi, jakim jest Iran.

Jestem więc ostrożnym optymistą, że odpowiedź Izraela będzie miała charakter ograniczony i Iran uzna ją za nieeskalacyjną.

Czyli jest szansa na zatrzymanie pełnowymiarowej wojny? Premier Netanjahu mówi jednak, że Izrael będzie atakować Hezbollah aż do osiągnięcia wszystkich swoich celów.

Czyli wracamy do zagadnienia libańskiego... Bo gdy idzie o Iran, to nie znajduję w retoryce izraelskiej deklarowanego oficjalnie celu.

Netanjahu mówi jednak o irańskiej „osi zła", z którą trzeba walczyć.

Tak, ale Izrael nie może zlikwidować Iranu. Nie ma takich narzędzi. Teoretycznie może uderzyć nuklearnie, ale zakładam, że nie jesteśmy na tym etapie. Deklaracje na Bliskim Wschodzie są często kwieciste i bombastyczne. Jeśli odłożymy je na bok i przejdziemy do realnych możliwości, to Izrael ma, owszem, możliwość prowadzenia operacji na północy.

I może zlikwidować Hezbollah?

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

Co to znaczy: zlikwidować Hezbollah? Izrael może przeć, aż dojdzie do Bejrutu, co zrobił w 1982 r. Będzie to trudne, ale nie niemożliwe. Izrael już ma problemy z rekrutacją, ma armię mobilizowaną od roku, gospodarka ponosi z tego powodu koszty, jest problem z poborem ortodoksyjnych Żydów.

Wyobraźmy sobie jednak scenariusz, że Izrael dojdzie do Bejrutu, dokona czystki wszystkich ludzi, którzy identyfikują się z Hezbollahem. Choć będzie to trudne, bo to duży obszar – to nie Gaza, a nawet w Gazie nie udało się wyeliminować Hamasu.

Co stałoby się potem w Libanie?

Izrael będzie musiał się wycofać. Czyli: osiągnie na krótko jakiś zabezpieczający cel, bo ustanie ostrzał północnego Izraela z terytorium Libanu, ale poniesie duże straty i nie będzie w stanie utrzymać okupacji południowego Libanu. Wycofa się, pozostawiając całe mnóstwo ludzi pełnych żalu, gniewu i zmotywowanych, by poświęcić swoje życie w walce z agresorem. Finalnie północna granica Izraela nie zostanie więc zabezpieczona.

Netanjahu wybiega tak daleko w przyszłość?

Ostatnie wydarzenia każą nam powątpiewać, że premier Izraela ma jakiś dalekosiężny plan, że rozumuje w kategoriach dłuższych niż tygodnie czy miesiące. Świadczą o tym choćby wydarzenia w Gazie: nie ma odpowiedzi na pytanie, co dalej, jaki jest izraelski plan na Gazę. Rząd Izraela miał dobry moment, gdy dokonał skutecznych uderzeń przeciw Hezbollahowi i mógł wtedy postawić kropkę. Miał przewagę, Hezbollah był osłabiony, Netanjahu mógł to politycznie skapitalizować. Jednak zdecydował się na ruch, który świadczy o krótkowzroczności.

Operacja lądowa w Libanie to błąd Izraela?

Tak uważam. Szyicki Hezbollah miał szczyt popularności w 2006 r., gdy walczył z Izraelem. Wtedy wszyscy Libańczycy uważali, że to słuszna sprawa. Sunnici, maronici, prawosławni, druzowie – oni wszyscy nie lubili Hezbollahu, ale bronił on ich kraju. Potem ta popularność spadała. Z chwilą, gdy po 2011 r. Hezbollah zaangażował się w Syrii po stronie Baszara al-Asada w mordowanie Syryjczyków, rozmienił cały ten kapitał na drobne. Natomiast Izrael dokonuje dziś inwazji – jakkolwiek byśmy tego eufemistycznie nie nazwali, „manewrem lądowym" czy „ograniczoną operacją". W 1982 r. ówczesny minister obrony Ariel Szaron też tak nazywał operację w Libanie. Ona zakończyła się dojściem do Bejrutu.

PIOTR IWASZKO / MATERIAŁY PRASOWE UJ

DR HAB. ŁUKASZ FYDEREK jest dyrektorem Instytutu Bliskiego i Dalekiego Wschodu UJ. Politolog, analityk spraw międzynarodowych specjalizujący się w problematyce bliskowschodniej.

Co będzie potem?

Dobre pytanie. Od roku Amerykanie pytają Izraelczyków, jaki jest ich plan polityczny na Gazę, kto ma tam rządzić? Wycofacie się i kto tam zostanie? Wiadomo, że to ziemia palestyńska, którą powinni rządzić Palestyńczycy. Rząd Izraela nie odpowiada na takie pytania.

Czy jednak można prognozować, do jakich zmian doprowadzi długoterminowo obecny konflikt na Bliskim Wschodzie?

Ale przecież nie wiemy nawet, co się wydarzy w przyszłym tygodniu!

Jakiś cień optymizmu jednak się pojawił: że wielka wojna Izrael–Iran jest mimo wszystko nieracjonalna dla obu stron.

W realizmie politycznym istnieje koncepcja równowagi sił lub równowagi strachu – na tym polega odstraszanie. Strach jest pewnego rodzaju walutą w systemie międzynarodowego bezpieczeństwa. Na Bliskim Wschodzie ta równowaga strachu bazowała do tej pory na przekonaniu, że jeśli Izrael zaatakuje Iran, to rakietowo odpowiedzą i Iran, i Hezbollah. Teraz Hezbollah stracił część możliwości – część, bo na pewno nie stracił zdolności do walki partyzanckiej i nie stracił też wciąż dużej części arsenału rakietowego.

Irański atak na Izrael odtworzył tutaj równowagę strachu?

Tak uważam. Stosunkowo skuteczny atak rakietowy Iranu na izraelskie bazy lotnicze sprawił, że Iran częściowo odtworzył swój potencjał odstraszania Izraela. To główny czynnik, który może powstrzymać dalszą eskalację tego konfliktu i przekształcenie go w pełnoskalową wojnę między Izraelem a Iranem.

Wracając do pierwszego frontu: co z Palestyńczykami?

Kwestia palestyńska to tutaj rdzeń wszystkich problemów. Ona jest nierozwiązana. W „Financial Times" ukazał się artykuł ministra spraw zagranicznych Arabii Saudyjskiej, który nakreślił pozycję królestwa Saudów: otóż Riad nie wyobraża sobie normalizacji stosunków z Izraelem, dopóki nie zostanie rozwiązany problem państwa palestyńskiego.

Ta presja na Izrael będzie rosła. Na razie Izrael pod rządami Netanjahu ją ignoruje. Ale może to wynikać z tego, że premier i jego doradcy uważają, iż teraz jest to „okienko możliwości", które potem, gdy dojdą do głosu dyplomaci, może się zamknąć.

Jakie to wszystko ma skutki dla nas w Europie?

Przekraczanie przez Izrael kolejnych granic ma wiele negatywnych skutków dla porządku międzynarodowego i także dla nas jako Zachodu. Bo z perspektywy Globalnego Południa pojawia się pytanie: dlaczego mamy popierać waszą walkę przeciw Rosji, która dokonuje w Ukrainie swojej „ograniczonej operacji", a nie mówicie nic przeciw analogicznej sytuacji, gdy robi to Izrael? To politycznie bardzo obciążające dla Zachodu, to eroduje porządek oparty na ustalonych zasadach.

©℗ Rozmawiała PATRYCJA BUKALSKA

Materiał ukończono 3 października.

Niemcy chcą (s)pokoju

TEKST I ZDJĘCIA
ŁUKASZ GRAJEWSKI Z BERLINA

Za Odrą topnieje poparcie dla dalszego wspierania Ukrainy. Antyamerykanizm i słabość do Putina to coś, co łączy skrajności z prawa i lewa.

Zwolennicy Sahry Wagenknecht są przekonani, że ich demonstracja przybliży pokój. Berlin, 3 października 2024 r.

W CZWARTEK 3 PAŹDZIERNIKA Niemcy obchodzili Dzień Jedności. Święto upamiętnia zjednoczenie wschodu i zachodu kraju, do którego doszło w 1990 r. Dziś, 34 lata po tym wydarzeniu, podziały między zachodem a byłą NRD są większe, niż ktokolwiek mógł przypuszczać na początku procesu zjednoczenia. W społeczeństwie pojawiają się podziały, których destrukcyjne skutki mogą wykraczać daleko poza granice kraju.

Na jedną z głównych osi wewnętrznego konfliktu wyrasta kwestia wsparcia dla Ukrainy.

WYBUCZANA PRAWDA | Oficjalne obchody święta zjednoczenia, celebrowane przez polityków w nadmorskim Schwerinie, przechodzą tego dnia właściwie bez echa. Uwaga skupia się na Berlinie: w stolicy kilkadziesiąt tysięcy demonstrantów bierze udział w marszu pod hasłem „Nigdy więcej wojny" oraz, jak deklarują, na rzecz pokoju.

Główne postulaty dotyczą wojny w Ukrainie. Organizatorzy żądają zwiększenia starań dyplomatycznych na rzecz jej zakończenia – oraz natychmiastowego wstrzymania dostaw broni dla Ukrainy.

Demonstracja, która rusza równocześnie z kilku punktów miasta, swój kulminacyjny moment osiąga w centrum, przed Kolumną Zwycięstwa. Krótko po piętnastej na scenie pojawia się Ralf Stegner, polityk socjaldemokratycznej SPD – partii, do której należy także kanclerz Olaf Scholz. Gdy Stegner zaczyna mówić o rosyjskiej agresji wobec Ukrainy i jej prawie do samoobrony, demonstranci masowo reagują buczeniem i gwizdami. „Podżegacz wojenny!" – słychać krzyki. Część zaczyna głośno skandować: „NATO precz!".

Niemiecki ruch pokojowy w tym dniu niejednokrotnie udowadnia, że żyje w alternatywnej rzeczywistości – takiej, w której za wszelkie konflikty winę ponoszą wszyscy, tylko nie Rosja.

SOJUSZ NA FALI | Kontrowersje wokół tej demonstracji narastały w Niemczech już od wielu tygodni. Za jej przygotowaniem stało kilka organizacji, ale tajemnicą poliszynela jest, że ruch został zdominowany przez Sahrę Wagenknecht – lewicową polityczkę, która skupia dziś na sobie uwagę niemalże całej republiki. Dla jednych jest bezkompromisową alternatywą dla „systemu", dla innych zagrożeniem nie mniejszym niż skrajna prawica z AfD.

Założona przez nią w tym roku partia – pełna jej nazwa to Sojusz Sahry Wagenknecht dla Rozsądku i Sprawiedliwości (BSW) – szybko zdobywa coraz większe poparcie społeczne. Szczególnie rezonuje sprzeciw Wagenknecht wobec dalszego wspierania Ukrainy. Hasłami „pokoju" partia zdobyła kilkanaście procent głosów w niedawnych wyborach landowych na wschodzie. W każdym z trzech landów może wejść do lokalnej koalicji rządzącej.

Ten obrót sprawy z niepokojem obserwują szczególnie socjaldemokraci, którzy tracą wyborców na rzecz nowego ugrupowania. Dlatego na kilka tygodni przed manifestacją 3 października w szeregach SPD powstaje plan, aby odbić temat pokoju z rąk Wagenknecht.

KONTRAKCJA | – Socjaldemokracja zawsze była częścią ruchu pokojowego i powinna nią pozostać – tłumaczy w rozmowie z „Tygodnikiem" Wolfgang Thierse, w czasach NRD opozycjonista, a po zjednoczeniu w latach 1998-2005 przewodniczący Bundestagu.

Thierse jest jednym z tych, którzy uważają, że mimo niechęci do Wagenknecht trzeba iść na demonstrację w Berlinie i wyłożyć swoje stanowisko. Jeszcze przed 3 października grupa prominentnych działaczy SPD przygotowuje własny apel, który znacznie różni się od tekstu organizatorów. Thierse: – Podkreślamy w nim, że każdy, kto żąda od Ukrainy kompromisów, nie żądając ich jednocześnie od Putina, staje po stronie agresora i nie służy pokojowi.

Jednak po tym, jak Ralf Stegner zostaje wybuczany, staje się jasne, że próba odróżnienia się i przedstawienia racjonalnego oglądu sytuacji na Ukrainie kończy się sromotną porażką.

„USA CHCĄ WOJNY" | Zresztą że tak się to skończy, jest jasne już od pierwszych minut demonstracji.

W południe plac blisko berlińskiego Dworca Zoo zapełnia się ludźmi. Z kolejnych autobusów wychodzą zorganizowane grupki. Wyglądają jak turyści. Dominują starsze osoby, ubrane praktycznie: kurtki (często drogich marek), buty trekkingowe. Gromadzą się przed ruinami Kościoła Pamięci, które pozostawiono po II wojnie światowej, aby przy-

Kontrmanifestacja diaspory ukraińskiej. Napisy na transparentach: „Okupacja to nie pokój" i „Wasz »pokój« to dla nas wyrok śmierci". Berlin, 3 października 2024 r.

pominać kolejnym pokoleniom, jakim nieszczęściem jest wojna.

Przedstawiciele lewackiego dziennika „Junge Welt" (niemieckie służby uznają go za ekstremistyczny) rozdają darmowe egzemplarze wydania, które przygotowano specjalnie z okazji tej demonstracji. Z artykułu na pierwszej stronie dowiadujemy się, w jak dziwnej wersji rzeczywistości żyje przynajmniej część Niemców. Oto głównym problemem dla światowego pokoju mają być amerykańskie rakiety dalekiego zasięgu, które niemiecki rząd zgodził się rozmieścić na terenie kraju w 2026 r. W kwestii wojny w Ukrainie autor martwi się jedynie tym, że w ukraińskiej operacji na terytorium Rosji użyto czołgów niemieckiej produkcji. O winach Rosji ani słowa. A to dopiero początek.

„ROZUMIEM PUTINA" | – Jestem za pokojem i przeciw zachodniej propagandzie – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem" 69-letnia Cornelia Bergmann. Do Berlina przyjechała wraz z mężem aż ze Stuttgartu. Jest przekonana, że Pentagon przygotowuje konflikt atomowy w naszej części kontynentu. Dlatego Niemcy powinni jak najszybciej wyjść z NATO. Jej zdaniem Putin podjął działania wojenne, gdyż Rosja była w ostatnich dekadach systematycznie oszukiwana i osaczana przez Zachód.

– Rozumiem, dlaczego tak postąpił – mówi Bergmann i podkreśla, jak wielu żołnierzy sowieckich zginęło podczas II wojny światowej. – Jedyne, co jesteśmy światu winni, to pokój – przekonuje. W trakcie całej rozmowy pozostaje spokojna i uśmiechnięta.

Sądząc po plakatach trzymanych przez innych demonstrantów, Bergmann nie jest odosobniona w swoich poglądach. Obok przechodzi kobieta z własnoręcznie przygotowanym plakatem, na którym czytam, że trzeba zatrzymać faszystowskie rządy w Izraelu i Ukrainie. Na kolejnych hasła: „Pokój z Rosją" i „Amis, go home" („Amerykanie ,wracajcie do domu").

TO JUŻ BYŁO? | Gdy pochód w końcu rusza, Cornelia Bergmann uśmiecha się szeroko. – Nareszcie! – komentuje. Wspomina, jak z mężem brali udział w demonstracjach, które w Niemczech Zachodnich miały miejsce na masową skalę w latach 80. XX w. Wtedy też chodziło o sprzeciw wobec rozmieszczenia amerykańskich rakiet na terenie kraju. W demonstracjach tych brało udział nawet po kilkaset tysięcy osób. Po protestach studenckich z 1968 r. to jeden z najbardziej romantyzowanych momentów z historii powojennych Niemiec.

Protestujący nic wówczas nie osiągnęli: zarówno kanclerz Helmut Schmidt (SPD), jak i jego następca Helmut Kohl (CDU) twardo bronili obecności amerykańskich rakiet, które były odpowiedzią NATO na rozmieszczenie sowieckich rakiet w NRD. Po latach okazało się, że niemiecki ruch pokojowy był infiltrowany przez KGB i Stasi, tajną policję NRD.

Także teraz na ruchu pokojowym cieniem kładzie się podejrzenie o bycie piątą kolumną Rosji. Rok temu „Washington Post" ujawnił treść dokumentów przejętych przez zachodnie służby wywiadowcze: wynikało z nich, że Kreml chce w Niemczech pożenić skrajną lewicę i skrajną prawicę, i w ten sposób osłabić zaangażowanie Berlina na rzecz Ukrainy.

KONTRPROTEST | Ten scenariusz właściwie spełnił się na ulicach Berlina 3 października: obok pacyfistów, komunistów i wyborców Wagenknecht szli prawicowi blogerzy i przedstawiciele skrajnych organizacji, mających związki z AfD.

– Dla mnie to jest szok – tak berliński protest komentuje Iryna Shulikina z ukraińskiej diaspory w Berlinie. – To pokazuje, jak dobrze radzi sobie tutaj rosyjska propaganda. Udaje jej się przekonać ludzi, a nawet całe siły polityczne, że to Rosja jest ofiarą wojny.

Iryna: – Każdy chce pokoju i normalnego życia, przede wszystkim my Ukraińcy. Ludzie tu nie mogą zrozumieć, że to Rosja może przerwać tę wojnę i to dosłownie w każdej chwili. Chcą, żeby Ukraińcy przestali się bronić. Ale nie ma mowy o normalnym życiu, gdy jesteś okupowany. Dlatego jesteśmy zmuszeni walczyć o przetrwanie.

Shulikina jest współorganizatorką kontrdemonstracji: kilkaset osób z ukraińskimi flagami stoi na uboczu głównej demonstracji. Obie grupy odgradzają barierki i kordon policji.

RAKIETY WYBORCZE | Największe oklaski pod Kolumną Zwycięstwa zbiera nie kto inny jak Sahra Wagenknecht. – Musimy powstrzymać te cholerne rakiety! – woła podniesionym głosem. Chodzi jej, rzecz jasna, o rakiety amerykańskie, nie rosyjskie. Tłum nagradza ją burzą oklasków.

Brzmi to jak hasło rzucone już z myślą o wyborach do Bundestagu w 2025 r. Na razie tematem rakiet Wagenknecht szantażuje na poziomie landowym: zawiązanie koalicji z CDU i SPD w Brandenburgii, Saksonii i Turyngii uzależnia od tego, czy te partie zgodzą się podpisać wspólne z BSW stanowisko, w którym wyrażony byłby sprzeciw wobec stacjonowania amerykańskich rakiet w Niemczech.

Rząd w Berlinie wciąż twardo stoi po stronie Ukrainy. Kanclerz Scholz zapowiada dalsze wsparcie finansowe i militarne. Ale w gabinetach rządzącej koalicji z narastającym niepokojem analizuje się zapewne spadające słupki poparcia. W końcu to nie ukraińska diaspora uda się za rok do urn. ©

NARIMAN DŻELAL, rocznik 1980, jest wiceprzewodniczącym Medżlisu, samorządu Tatarów Krymskich (Rosja uznaje Medżlis za organizację ekstremistyczną).

PO ANEKSJI w 2014 r. Dżelal został na Krymie, krytykował działania rosyjskich władz, które w ciągu ostatniej dekady prowadziły rusyfikację półwyspu, sprowadzając tam ok. pół miliona osadników z Rosji, by zmienić jego strukturę demograficzną. Dżelal był jednym z najważniejszych głosów z okupowanego Krymu i rzecznikiem społeczności krymskotatarskiej (Medżlis szacuje, że liczy ona dziś na Krymie ok. 300 tys. ludzi; to kilkanaście procent ludności). Pytany, czemu nie opuści półwyspu, Dżelal odpowiadał, że żyje na swojej ziemi i nie popełnia przestępstwa, mówiąc głośno o tym, co się tam dzieje.

ZA ZBRODNIĘ Rosja uznała jego udział w konferencji Platformy Krymskiej, międzynarodowego szczytu poświęconego tematyce półwyspu, która miała miejsce w Kijowie. Rosja uznała ją za atak na jej integralność terytorialną, a przemówienie Dżelala o łamaniu praw człowieka za noszące znamiona terroryzmu.

ARESZTOWANY został 4 września 2021 r., w tydzień po powrocie z Kijowa. Dżelal, a także zatrzymani dzień wcześniej Asan i Aziz Achtemow, zostali oskarżeni o planowanie dywersji na gazociągu w Symferopolu. Usłyszał wyrok 17 lat więzienia o zaostrzonym rygorze.

PO NIEMAL trzech latach, 28 czerwca tego roku odzyskał wolność w ramach wymiany jeńców między Rosją a Ukrainą. W więzieniach i łagrach w Rosji pozostaje dziś stu kilkudziesięciu krymskotatarskich więźniów politycznych, zwykle skazanych na wieloletnie łagry w pokazowych procesach.

Rozmawiamy w Kijowie, gdzie Dżelal mieszka dziś z żoną i czworgiem dzieci. ©MA

MONIKA ANDRUSZEWSKA

Nariman Dżelal w Kijowie. W tle na ścianie fototapeta ze zdjęciem Bachczysaraju, historycznej stolicy Chanatu Krymskiego. Wrzesień 2024 r.

Putinowski archipelag guług

NARIMAN DŻELAL, WICEPRZEWODNICZĄCY SAMORZĄDU TATARÓW KRYMSKICH:

System łagrów niszczy osobowość więźnia, kawałek po kawałku. Zmuszają cię do śpiewania hymnu Rosji. Tracisz możliwość decydowania o czymkolwiek. Starasz się modlić, ale to pomaga tylko częściowo.

MONIKA ANDRUSZEWSKA: O uwolnieniu ukraińskich jeńców i więźniów politycznych z Rosji mówi się jak o powrocie do domu. Czujesz się teraz jak w domu?

NARIMAN DŻELAL: Nie. Odzyskałem wolność, ale nie dom. Gdy mówię „mój kraj", mam na myśli Ukrainę, ale Krym to ziemia moich korzeni, narodu i kultury. Mój dom. To nie tylko przestrzeń fizyczna – poza żoną i dziećmi są tam wszyscy moi bliscy. Teraz jestem wolny, ale nie wróciłem do domu i dopóki trwa okupacja, nie mam na to szans. Gdy naczelnik rosyjskiego więzienia poinformował mnie, że trafię na wymianę jeńców, dodał: ale musisz rozumieć, że na

Krym drogi już przed tobą nie ma, albo od razu cię tam aresztujemy, albo po prostu nie wpuścimy.

Biorąc od Ciebie komentarze z Krymu, w tym wiele razy dla „Tygodnika", pytałam: „Jesteś pewien, że można tak napisać?". Bo wypowiadałeś się przeciw okupacji, wciąż tam żyjąc.

Zależało mi nie tylko na tym, by pozostać na Krymie, ale też, by pozostać wiernym mojemu sumieniu i mojemu narodowi. Okupowany Krym to wielkie więzienie. Mówienie wprost o łamaniu praw człowieka to była jedyna dostępna forma walki. Gdyby strach przed aresztem paraliżował, byłoby to zwycięstwo okupantów.

Każdy, kto żyje na okupowanym Krymie, może trafić pod walec represji. Oni miażdżą wszystko, co się wyróżnia, tworzą jednolity krajobraz projektowany przez propagandę. Ktoś patrzy na tereny okupowane i myśli: bazar działa, ludzie się żenią, życie trwa normalnie. Nie widzą, co dzieje się za zamkniętymi drzwiami. Publicznie nawet łez nie możesz pokazać, bo to może zostać odczytane jako nielojalność. Ktoś napisze donos, następnego dnia przyjdzie FSB i zapyta, czemu jesteś niezadowolony z Rosji, niewdzięczny za „wyzwolenie".

Czy wracając na Krym z Kijowa we wrześniu 2021 r., po udziale w Krymskiej Platformie, miałeś świadomość, że możesz zostać aresztowany?

Gdy jesteś w sytuacji stałego zagrożenia, przed paranoją ratuje cię naiwność, nadzieja, że to jeszcze nie tym razem. Nie możesz przecież codziennie zasypiać z myślą, że rano przyjdzie FSB. W pewnym momencie po prostu już wiesz, że tak będzie, zastanawiasz się tylko, jak to się wydarzy.

Jak wyglądało zatrzymanie?

Doświadczeniem Tatarów Krymskich są funkcjonariusze FSB walący do drzwi wcześnie rano i tak było też w moim przypadku. Żona mnie obudziła, mówiąc po prostu: „Przyszli". Pobiegła budzić dzieci, by nie dopuścić do sytuacji, że otworzą oczy i zobaczą nad sobą uzbrojonych ludzi w kominiarkach. „Oddam od razu wszystkie hasła do telefonu i komputera, wszystko, co was interesuje, ale mamy malutkie dzieci, nie straszcie ich" – powiedziałem. Chciałem, żeby jak najszybciej dali spokój mojej rodzinie.

Aresztowanego wraz z Tobą Asana Achtemowa FSB próbowała później zmusić torturami, by wypowiedział przygotowany przez reżim tekst „zeznań", jak to wspólnie planowaliście dywersję na gazociągu. Proces sądowy był pokazowy.

Jesteś z góry uważany za winnego, bo aparat represji tego chce. Wożą cię z miejsca w miejsce z workiem na głowie, wyginają ci ręce w kajdankach na wysokości łopatek, traktują jak groźnego przestępcę. To kafkowska sytuacja. Niezależnie od tego, jak bardzo masz rację, jakby nie starali się twoi adwokaci – i tak nie unikniesz wyroku.

Po roku w areszcie zostałeś przeniesiony do więzienia w głębi Rosji, do Minusińska w Kraju Krasnojarskim na Syberii. W jakim celu?

Według rosyjskiego prawa więzień powinien odbywać karę w miejscu zamieszkania lub w najbliższym mieście. Jednak zarzuty dywersji czy terroryzmu, które stawia się krymskotatarskim więźniom politycznym, pozwalają wysłać człowieka gdziekolwiek. Wywożą nas na Syberię, by utrudnić kontakt z prawnikami i rodzinami, oraz by stworzyć blokadę informacyjną wokół prześladowań politycznych. Rosja tak boi się głosu Tatarów Krymskich, że wysyła nas 6 tys. kilometrów od domu.

Jak wyglądało to uwięzienie na Syberii?

Jak podróż w czasie, do gułagu. Gdy jesteś w systemie kolonii karnych, widzisz wiele oznak dawnych czasów. Prześladowania polityczne w Rosji nie zatrzymały się nawet na moment, a w ostatnich latach liczba więźniów politycznych wielokrotnie wzrosła. W więzieniach są tysiące takich ludzi, szczególnie przedstawiciele rdzennych narodów Federacji Rosyjskiej i ich ruchów patriotycznych. Władze Rosji ożywiają dziś trupa z przeszłości, Frankensteina, który pożera kolejne życia.

Jak więźniowie-kryminaliści reagują na politycznych?

Przyzwyczaili się. Obecność więźniów politycznych była od pokoleń nieodłącznym elementem mikrokosmosu rosyjskich kolonii karnych. Dla samych politycznych to jak trafienie do innego świata. Tam funkcjonują inne zasady, które trzeba poznać, jednocześnie zachowując wobec nich dystans. Czasem polityczni, próbując się w tym odnaleźć, zaczynają współpracować z władzami więzienia albo upodabniają się do kryminalistów. Tacy ludzie z czasem zapominają, że są niewinni. Najtrudniejsza rzecz w łagrze to pozostać takim samym człowiekiem jak przed uwięzieniem.

Co się dzieje z człowiekiem wchłoniętym przez ten, jak mówisz, współczesny gułag?

Jest łamany, kawałek po kawałku. Ten system jest nastawiony na niszczenie osobowości więźnia. Tracisz możliwość decydowania o sobie nawet na poziomie rzeczy elementarnych, pozornie błahych. Np. dają ci chleb i zmuszają, abyś go zjadł. Nie masz ochoty, ale stoi nad tobą istota w mundurze i mówi: „Zjedz natychmiast, bo będzie źle". Istota może cię uderzyć. Nie chodzi o ból, tylko o świadomość, że nie możesz w żaden sposób zareagować.

Przez cały czas jesteś też obserwowany. Od godziny 6 do 22 nie możesz usiąść ani położyć się na łóżku. Więźniów zmuszają do uczenia się, a potem śpiewania hymnu Rosji. To nie tortury, to bardziej znęcanie się, ale to katastroficznie wpływa na stan człowieka. Starasz się modlić, uciekać w literaturę, ale to pomaga tylko częściowo. Nocami masz nadzieję, że ujrzysz dom, że zdołasz stąd uciec choćby w snach. A śni ci się więzienie.

Sądziłeś, że możesz spędzić tam 17 lat? Czy jednak miałeś nadzieję na wcześniejsze uwolnienie?

Wcześniej ostatnia wymiana, w której uwolniono politycznych, była w 2019 r. Wśród uwięzionych są osoby, które w koloniach karnych przebywają ponad 10 lat. Wiedziałem, że oburzenie międzynarodowej opinii publicznej gwarantuje mi w jakiś sposób bezpieczeństwo, bo dzięki niemu nie byłem na przykład torturowany. Ale to także zwiększyło moją wartość jako zakładnika. Wiedziałem, że na zewnątrz trwa o mnie walka, ale i tak cały czas w myślach liczyłem, ile lat będą mieć moje dzieci, gdy odzyskam wolność. ↦

INICJATYWA NA RZECZ PRAW CZŁOWIEKA

Nariman Dżelal (w środku) oraz Aziz i Asan Achtemowie w rosyjskim sądzie podczas procesu. Dżelal został skazany na 17 lat łagru, a Achtemowie na 15 i 13 lat. Wrzesień 2022 r.

Pisałeś z więzienia odważne listy, komentując sytuację polityczną w Rosji i sytuację na okupowanym Krymie, które Twój prawnik publikował w mediach społecznościowych. Nie bałeś się, że mogą dodać Ci za to nowy wyrok?

Moje poglądy są znane. Wypowiadałem je w sądzie, w więzieniu, w listach. Rozszerzenie wyroku byłoby jak prezent. Przecież zostałem skazany za dywersję, której nie popełniłem. Gdyby doszedł do tego wyrok za moje słowa, reżim Putina wreszcie przyznałby, że Tatarzy Krymscy nie są terrorystami, lecz więźniami sumienia.

Czego najbardziej bałeś się w więzieniu?

Że FSB położy łapy na moich bliskich. Ogarniała mnie panika. Zastanawiałem się, kto się zajmie dziećmi, jeśli aresztują żonę. Wszyscy więźniowie boją się też wpływu rozłąki na kontakty z rodziną. Najmłodsza córeczka miała 11 miesięcy w chwili mojego aresztowania, teraz ma 4 lata. Straciłem chwile, gdy uczyła się chodzić i mówić. Ale dzięki temu, że żona pokazywała jej moje fotografie, wiedziała, że jestem jej tatą. Do innego krymskotatarskiego więźnia politycznego, który jest za kratami od 5 lat, przyjechała na widzenie rodzina. Młodszy syn nigdy wcześniej nie widział ojca. A troszkę starszy synek go nie poznał: „Ten pan nie jest podobny do tatusia, którego widziałem na zdjęciach". To ból nie do opisania.

Na ile są to wszystko działania systemowe?

Gdyby postrzegać ludobójstwo według klasyfikacji Lemkina, jako „destrukcję narodu bądź grupy etnicznej", wówczas to, co Rosja robi z naszym narodem po aneksji, nazwałbym hybrydowym ludobójstwem. Choć te działania nie mają wszystkich cech ludobójstwa, ich efekt sprowadza się do zniszczenia narodu. Rosja ma w tym wielkie doświadczenie, przeciw Tatarom Krymskim wykorzystuje wypracowywane schematy. Np. pierwszym szefem FSB na Krymie był człowiek, który wcześniej niszczył ruch narodowy w Baszkirii. Jeśli Rosja nie zostanie w porę powstrzymana, wykorzysta te same metody przeciw kolejnym narodom.

Wielu zachodnich polityków uważa, że Ukraina powinna zaakceptować fakt, iż część jej ziem pozostanie pod kontrolą Rosji. Otwarcie mówił to ostatnio prezydent Czech Petr Pavel. Z kolei Radosław Sikorski na konferencji w Kijowie rozważał przekazanie Krymu pod mandat ONZ. Spotkało się to z ostrą reakcją Medżlisu, Waszego samorządu.

Wśród zachodnich elit wszyscy intensywnie myślą, jak zakończyć wojnę. Cóż, gdy to nie dotyczy ciebie, wydaje ci się, że jesteś gotowy na kompromisy. Cudzym domem łatwo jest zarządzać. Ale gdyby zapytać ich o możliwość rezygnacji z ich własnych ziem ojczystych, gdyby jakieś sąsiednie państwo tego zażądało, będą oburzeni i powiedzą, że ich ziemia jest chroniona przez granice i umowy międzynarodowe. Czemu więc my powinniśmy się na coś takiego zgadzać? Argument, że rezygnacja z Krymu sprawi, iż Rosja się uspokoi, jest chybiony. Od 2014 r. Rosja zajmuje Krym. Czy to ją powstrzymało od pełnowymiarowej agresji przeciw Ukrainie?

Nasza reakcja na słowa ministra Sikorskiego była gwałtowna, bo aneksja Krymu to żywa rana naszego narodu. Żałuję, że w naszym oświadczeniu nie dodaliśmy na początku zdania, że dziękujemy Polsce za jej niezmienny sprzeciw wobec okupacji i za pomoc dla Ukrainy. Jesteśmy też bardzo wdzięczni, że w lipcu polski Sejm uznał, iż deportacja w 1944 r. i jej skutki były aktem ludobójstwa na narodzie krymskotatarskim. To ważne, tym bardziej że pewna forma tego ludobójstwa wciąż trwa, tu i teraz.

Po uwolnieniu stałeś się jakby głosem ukraińskich więźniów politycznych.

Inaczej nie mogę. Piję rano kawę i przypominam sobie, jak piłem ją z przyjacielem, który teraz jest za kratami. Obserwuję, jak bawi się mój syn i staje mi przed oczami dziecko innego więźnia, które czeka na tatę. Kilka razy dziennie przypominam sobie, jakie mam szczęście, że mogę objąć rodzinę, podczas gdy w rosyjskich łagrach są wciąż ukraińscy i krymskotatarscy więźniowie, którzy nie mają takiej możliwości.

Gdy byłem uwięziony, wiedziałem, że na zewnątrz ktoś o mnie walczy. Teraz ja muszę walczyć o innych, to mój dług.

© Rozmawiała w Kijowie
MONIKA ANDRUSZEWSKA

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień są gośćmi Roberta Łuchniaka w Polskim Radiu RDC.
Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
Płock 101,9 FM

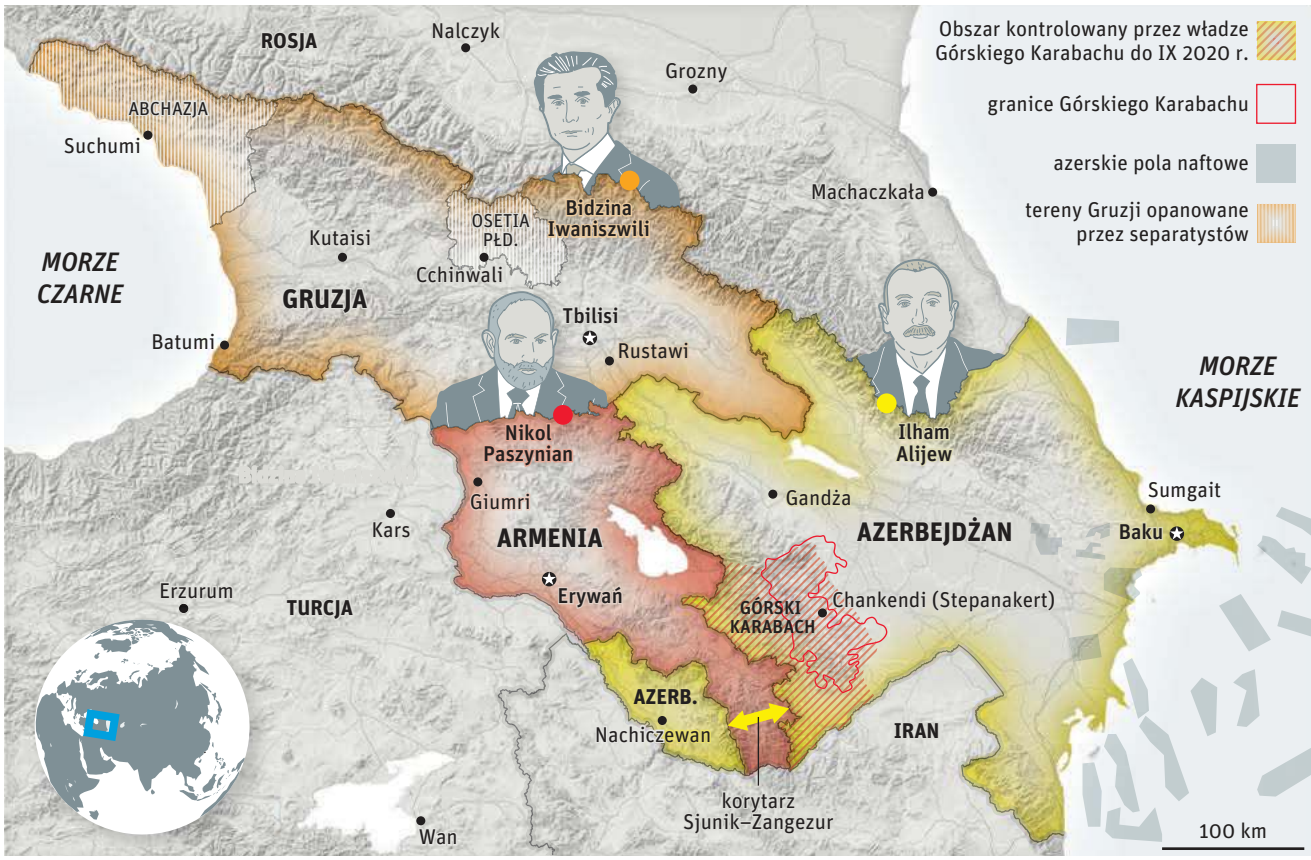

LECH MAZURCZYK

Kaukaz na rozdrożu

WOJCIECH JAGIELSKI

W trzydziestym trzecim roku niepodległości Azerbejdżan, Armenia i Gruzja stoją przed strategicznym wyborem swojej dalszej drogi.

Pierwszy z tych trzech krajów, które zajmują południowe zbocza Kaukazu, jest bogatym w ropę regionalnym graczem: pewnym siebie i rządzonym twardą ręką. Kraje drugi i trzeci to przy nim ubogie sąsiadki: rozedrgane i podatne na wpływy, zwłaszcza Rosji.

Przypadek, historia, dynamika zdarzeń: jakkolwiek to nazwiemy, każdy z tych krajów dokonuje dziś zasadniczego dla siebie wyboru. Na czym on polega?

Wybór Azerów: jeden prezydent, jedna partia

Azerowie właściwie już wybrali: na początku tego roku prezydenta, a 1 września parlament. Wynik obu elekcji był z góry wiadomy. Wygrał panujący ponad 20 lat Ilham Alijew i jego partia Nowy Azerbejdżan, która u władzy jest jeszcze dłużej.

Założył ją ojciec Ilhama, Hejdar. Rządził w Baku najpierw jako komunistyczny namiestnik Kremla (1969-82), a potem – gdy po rozpadzie ZSRR Azerbejdżan wybił się w 1991 r. na niepodległość – jako prezydent (1993-2002). Umarł na urzędzie i uważa się go za twórcę nowoczesnego państwa azerbejdżańskiego. Wprawdzie Azerbejdżan powstał już w 1918 r. – jako pierwsza republika w świecie muzułmańskim – ale wtedy przetrwał zaledwie dwa lata. Podbili go bolszewicy, którzy wkrótce zajęli też Armenię i Gruzję.

Za panowania Alijewów Azerbejdżan pozostaje republiką. Choć gdy po Hejdarze na tron wstępował jego syn Ilham, mówiło się już o pierwszej w posowieckim świecie dynastycznej sukcesji. Dziś z kolei jest jedyną w świecie republiką, w której szefa państwa zastępuje jego żona.

Gdy obejmował rządy, 42-letniemu wówczas Alijewowi juniorowi nie wróżono wielkiej przyszłości. Uchodził za utracjusza, bez żądzy władzy i bez poczucia odpowiedzialności. Jego ojciec zbudował wszak Azerbejdżan: najpierw pochlebstwami wyciągał z Kremla ruble na budowę dróg i fabryk, a potem unowocześnił niepodległe już państwo za pieniądze z ropy, którą sprzedawał zachodnim nafciarzom. Alijew senior uznał też, że zachodnie tankowce i rurociągi najlepiej zabezpieczą kraj przed zakusami Rosji.

Elekcja uświetnia wiktorię

Hejdar Alijew przegrał tylko jedną batalię: wojnę o Górski Karabach, w której Azerowie doznali upokarzającej klęski z rąk swych najgorszych wrogów – Ormian. Przegrywali ją już, zanim on został prezydentem (zresztą to właśnie wojenne porażki jego poprzedników wyniosły go do władzy), ale to na początek jego rządów przypadła ostateczna klęska.

Pod tym właśnie względem Alijew junior przebił ojca: odzyskał Karabach dla Azerbejdżanu. Wcześniej zaś władza odmieniła go z łamagi w satrapę pełną gębą. Dzięki petrodolarowej mannie uzbroił i wyszkolił armię. Szkolili mu ją Turcy, najbliżsi krewniacy Azerów. Broń ↦

↦ kupował zaś w Turcji i Izraelu, z którym łączy go wspólny nieprzyjaciel – Iran.

Ćwierć wieku po karabachskiej klęsce Alijew uznał, że jest gotów do rewanżu. Zaatakował jesienią 2020 r. i po 44-dniowej wojnie odbił większość Karabachu i wszystkie otaczające go azerbejdżańskie powiaty, które Ormianie przerobili w bezludną (bo wygnali z nich prawie milion azerskich chłopów) strefę buforową. Potem, jesienią 2023 r., uderzył znowu. Tym razem wystarczyły mu dwa dni: pokonani Ormianie złożyli broń, a ormiańscy mieszkańcy Karabachu, ponad 100 tysięcy ludzi, uciekli stamtąd do Armenii.

Wiktorię postanowił uświetnić elekcją. Miała się odbyć dopiero jesienią 2025 r., ale Alijew uznał, że grzechem byłoby nie urządzić jej wcześniej i podkreślić nią wojenny triumf. Oczywiście zwyciężył. Piąty raz z rzędu, bo dawno już kazał wykreślić z konstytucji zapis, który reglamentował liczbę prezydenckich kadencji.

Gracz z ambicjami

Po wygranej wojnie wyrósł jeszcze bardziej. Dotąd liczył się z Zachodem – choć i tak sądził, że Ameryka i Europa wybaczą mu wiele, byle tylko sprzedawał im „czarne złoto" i podzielał niechęć do irańskich ajatollahów. Teraz, po karabachskim zwycięstwie, nie pozwala już, by ktokolwiek pouczał go, co mu wolno. Kiedy wiosną Rada Europy wytknęła mu nieuczciwe wybory, prześladowania opozycji i cenzurę, zagroził, że z niej wystąpi.

W sierpniu z wizytą do Baku zjechał Władimir Putin. Alijew ugościł go we własnym domu, a nazajutrz po jego wyjeździe ogłosił, że Azerbejdżan zamierza przyłączyć się do ugrupowania BRICS – to grupa państw, założona przez Chiny, Indie, Rosję, Brazylię i Południową Afrykę, i pomyślana jako alternatywa dla światowej dominacji Zachodu.

Azerbejdżan traktuje Turcję jak starszą siostrę, a Izrael jak sojusznika (z kolei chrześcijańska Armenia jest sprzymierzeńcem Iranu i wspiera walkę Palestyńczyków). Za wrogów Alijew ma Iran (żyje tam dwa razy więcej Azerów niż w 10-milionowym Azerbejdżanie), z którym chwilowo zakopał topór wojenny, a także Francję. W odwecie za to, że Francja uważa się za mecenaskę Ormian, Alijew wspiera tubylczy ruch wyzwoleńczy na Nowej Kaledonii – francuskim terytorium zamorskim na Pacyfiku.

Małymi i ubogimi sąsiadkami – wyludniającą się, niespełna 3-milionową Armenią oraz 4-milionową Gruzją – Alijew nie zawraca sobie dziś głowy, a jeśli czegoś od nich chce, to żąda, a nie prosi. Marzy o przymierzu z Chinami, które wypychają (wraz z Turcją i Iranem) Rosję nie tylko z Kaukazu, ale i Azji Środkowej. Do pobratymstwa ze środkowoazjatyckimi satrapiami Azerbejdżan poczuwa się zresztą coraz bardziej – i chce nimi służyć Chińczykom za faktorie i karawanseraje na ich nowym Jedwabnym Szlaku.

Wybór Ormian: w cieniu klęski

Utrata Karabachu wstrząsnęła podstawami świata Ormian. W gruzach legła ich wiara, że Rosja, której zawierzyli bezpieczeństwo, nigdy ich nie zawiedzie. Ta jednak, zajęta wojną w Ukrainie, nie przyszła im na ratunek.

Rosjanie, związani z Ormianami obronnym układem, tłumaczyli, że formalnie Azerowie nie zaatakowali Armenii, lecz własną zbuntowaną prowincję. Jako strażnicy zawartego rozejmu przyglądali się tylko biernie, jak Ormianie uciekają z Karabachu. Po przegranej wojnie Ormianie przypomnieli sobie, poniewczasie, że Rosja sprzedawała broń także Azerom, im zaś nie dostarczyła na czas nawet tego, za co już zapłacili.

„Popełniliśmy wielki błąd, stawiając wszystko na Rosję" – przyznał po klęsce premier Nikol Paszynian i skręcił ostro sterem państwa ze wschodu na zachód. Unia Europejska wyciągnęła pomocną dłoń z pieniędzmi, a Francja zgłosiła się, że zastąpi Rosję w roli zaopatrzeniowca Ormian w broń (dostarczycielem broni stały się też Indie – z kolei Pakistan wspiera Azerbejdżan).

Na wspólne manewry Paszynian zaprosił nawet żołnierzy z USA i zapowiedział, że Armenia wystąpi z sojuszu obronnego z Rosją. Wyprosił rosyjskich żołnierzy z erywańskiego lotniska Zwartnoc i oznajmił, że poprosi Kreml o wycofanie jego wojsk strzeżących granic Armenii z Iranem i Turcją. Wspomina nawet o zamknięciu rosyjskiej bazy wojennej w Giumri, ostatniej – nie licząc Abchazji i Południowej Osetii – bazy wojennej Rosji na Kaukazie Południowym.

Pokój, marzenie Paszyniana

Kreml liczy jeszcze, że pośle swoich żołnierzy w roli strażników korytarza Sjunik–Zangezur, mającego przebiegać przez Armenię z Azerbejdżanu do Nachiczewana (azerskiej prowincji, która nie ma z macierzą połączenia lądowego) i dalej, do Turcji. Ale Paszynian i tam chce zastąpić Rosjan żołnierzami z jakiejś korporacji najemniczej z Zachodu.

Paszynian dąży do pokoju z Baku, dzięki któremu Armenia przestanie być zakładniczką karabachskiego konfliktu, otwarte zostaną granice z Azerbejdżanem, a zwłaszcza z Turcją, ruszy handel i gospodarka, skończy się czas izolacji i biedy.

Jednak Alijew do pokoju wcale się nie spieszy. Zakłada, że gdy już wytyczy z Ormianami granicę, wtedy nie będzie mógł mnożyć żądań. Tymczasem dopóki Azerbejdżan jest silniejszy, podoba mu się wymuszanie posłuszeństwa na słabeuszach. Domaga się więc od Ormian owego – eksterytorialnego – korytarza Sjunik– Zangezur. Ponadto chce, aby zmienili oni swoją konstytucję, w której zapisane jest, iż celem Armenii jest jej zjednoczenie z Karabachem.

Czy Europa jest gotowa?

Na te wszystkie żądania Paszynian nie może się zgodzić. W 2018 r. został wyniesiony do władzy jako przywódca ulicznej rewolucji. Dziś nawet jego dawni zwolennicy zarzucają mu zdradę. Po przegranej wojnie z 2020 r. poddał się ludowemu osądowi i urządził przedterminowe wybory, które w 2021 r. wygrał. Następne wybory czekają go za dwa lata, ale jeśli ulica znów wymusi na nim wcześniejsze głosowanie, chciałby stanąć do nich, chwaląc się pokojem i wskrzeszoną gospodarką.

Rosja nie znosi kolorowych rewolucji i widzi w nich tylko intrygi Zachodu. Nigdy nie ufała Paszynianowi i zrobi wszystko, by zastąpić go swoim faworytem. Ma Paszyniana w garści, bo powierzając kiedyś Rosji swoje bezpieczeństwo, Ormianie oddali jej także całą swoją gospodarkę – na czele z energetyką.

Ormianie rozmawiają z UE o zniesieniu wiz i integracji. Jesienią 2013 r. byli o krok od podpisania umowy stowarzyszeniowej, ale w ostatniej chwili, na żądanie Rosji, zmienili zdanie i Armenia pogrążyła się w rosyjskiej zależności (w Ukrainie podobny zwrot jej ówczesnego prezydenta Wiktora Janukowycza, skończył się rewolucją na Majdanie).

Teraz w Erywaniu znów zbierane są podpisy pod petycją o plebiscyt w spra-

MIKHAIL TERESHCHENKO / SPUTNIK / AFP / EAST NEWS

Władimir Putin przed pomnikiem „męczenników Azerbejdżanu", tj. żołnierzy poległych w wojnach o Górski Karabach. Baku, 19 sierpnia 2024 r.

wie europejskiej akcesji. „Czy jednak Europa jest na to gotowa?" – głośno powątpiewa Paszynian.

Wybór Gruzinów: wolność lub Rosja

Gruzini swojego wyboru dokonają pod koniec października, podczas parlamentarnej elekcji (Azerbejdżan jest republiką prezydencką, Armenią i Gruzją rządzą premierzy). „Nadchodzi dzień najważniejszego wyboru – obwieściła prezydent Salome Zurabiszwili, ogłaszając jej termin. – Wybierzemy wolność wśród równych w Europie, albo żałosnymi ustępstwami sprzedamy naszą duszę i popadniemy w rosyjską niewolę".

Ze wszystkich prowincji Związku Sowieckiego tylko Litwa, Łotwa i Estonia parły na Zachód tak zdecydowanie jak Gruzja. Jej prezydent Eduard Szewardnadze (1992-2003), wcześniej ostatni sowiecki minister dyplomacji, robił to ostrożnie. Micheil Saakaszwili, który obalił go w ulicznej „rewolucji róż", rzucił się ku Zachodowi jak straceniec. Gruzja zapłaciła za to przegraną wojną z Rosją w sierpniu 2008 r. i utratą zbuntowanych prowincji, Abchazji i Południowej Osetii.

Wielu Gruzinów uznało wtedy, że niepotrzebną brawurą Saakaszwili ułatwił Rosji sprawę. Wielu zraził też apodyktycznością i pychą. Gdy w 2011 r. miliarder Bidzina Iwaniszwili skrzyknął własną partię, którą nazwał Gruzińskie Marzenie, obiecując, że pozbędzie się Saakaszwilego, Gruzini zrobili go nowym przywódcą.

Marzyciele pozostają u władzy do dziś. Początkowo pod ich rządami Gruzja była ulubienicą Zachodu. Wpisała do konstytucji, że jej celem jest zjednoczenie z Europą, ogłoszono ją kandydatką do przyłączenia do Unii. Gruzinom, których ponad trzy czwarte niezmiennie opowiada się za przymierzem z Zachodem, pozwolono jeździć do Unii bez wiz.

Lider z tylnego fotela

Ta sielanka zaczęła się psuć po poprzednich wyborach, jesienią 2021 r., gdy Saakaszwili wrócił z emigracji do Gruzji. Wracał przekonany, że samym pojawieniem się w Tbilisi wywoła nową rewolucję i odzyska władzę. Zamiast tego trafił do więzienia, w którym przebywa do dziś. Iwaniszwili uznał zaś, że powrót Saakaszwilego był zachodnim spiskiem i próbą obalenia go – i odtąd zaczął widzieć w Zachodzie nieprzyjaciela.

Unia żądała, by obóz Iwaniszwilego przestrzegał niezależności sądów, prawa, wolności słowa i obywatelskich swobód, aby tolerował i krytykę, i opozycję. Iwaniszwili ani myślał ustępować. Chciał Gruzji w Europie, ale nie kosztem władzy. Tymczasem zalecane przez Unię reformy groziły, że mógłby ją stracić. Chciał europejskich korzyści, lecz nie obowiązków. Rządził z tylnego fotela, zmieniając podopiecznych na stanowisku premiera i zapewniając, że zmierza na Zachód – choć tak naprawdę nie robił nic, by tam dotrzeć.

Kiedy Rosja najechała Ukrainę, Gruzja nie przyłączyła się do zachodnich sankcji ani nie zerwała z Rosją, twierdząc, że jej na to nie stać. Zachód zarzuca jej dziś, że dorabia się na kontrabandzie do Rosji towarów objętych sankcjami. Przeciwnicy Iwaniszwilego twierdzą, że dorobiwszy się kiedyś w Rosji majątku, teraz spłaca jej dług wdzięczności. Iwaniszwili zaś oskarża „światową partię wojny" (tj. Zachód), że to ona pchnęła Rosję do wojny, i że teraz chce wciągnąć do niej także Gruzję, aby otworzyć „drugi front" na Kaukazie.

Autokracja czy demokracja?

Tak jak Putin, Iwaniszwili pozuje na obrońcę chrześcijaństwa i tradycyjnych wartości, zagrożonych rzekomo przez zachodni liberalizm, współczesną Sodomę i Gomorę. Przystał do wyznawców idei „suwerennej demokracji". Zaprzecza, że szuka przymierza z Rosją – jeśli już, to raczej z Chinami. Nie sojusz ze Wschodem, lecz wschodnia autokracja jest mu bliższa i wygodniejsza niż zachodnie trójpodziały władzy i obywatelskie swobody.

Wiosną 2024 r., mimo najburzliwszych od czasu „rewolucji róż" ulicznych wystąpień, parlament zdominowany przez Gruzińskie Marzenie przyjął ustawę o tzw. agentach zagranicznych – wzorowaną na ustawie rosyjskiej i wymierzoną w organizacje pozarządowe oraz obywatelskie. We wrześniu Marzyciele uchwalili – znów wzorowaną na rosyjskiej – homofobiczną ustawę o tzw. cnotach rodzinnych i propagandzie LGBT. W reakcji Unia Europejska zastopowała proces integracji, USA wstrzymały pomoc, a na jubileuszowym szczycie NATO w Waszyngtonie o Gruzji nie wspomniano ani słowem.

Rozdarta między zwolennikami Zachodu a tymi, którzy uważają się za obrońców „tradycji i wiary", między stolicą a wsią, między młodymi i starymi – Gruzja jest podzielona jak w czasach wojny domowej, która wybuchła w pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości.

Ostatnia szansa?

Sondaże przepowiadają, że w październikowych wyborach najwięcej, bo około jednej trzeciej, głosów zdobędzie wprawdzie Gruzińskie Marzenie. Jednak prozachodnia opozycja – czyli Zjednoczony Ruch Narodowy (dawna partia Saakaszwilego) i wyrosłe z niego partie-schizmatyczki – może zdobyć ich łącznie aż ponad połowę.

„Europa czy Rosja, wolność czy niewola? Wybierajcie! – pani prezydent Zurabiszwili wzywa rodaków niczym gruzińska Kassandra. – Drugi raz taka szansa się nie powtórzy".

©℗ WOJCIECH JAGIELSKI

HISTORIA

RZECZ O MUZEACH

Zmiana dyrektora Muzeum Historii Polski powinna wywołać dyskusję nad polską polityką pamięci. MHP to podręcznikowy przykład braku decyzyjności i konsekwencji w działaniach władzy.

PIOTR KOSIEWSKI

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego odwołało Roberta Kostrę z funkcji dyrektora Muzeum Historii Polski. Nie pomogły protesty członków Stowarzyszenia Przyjaciół MHP i znanych historyków oraz publicystów, reprezentujących różne środowiska i opcje ideowe. Jego miejsce zajął semiotyk kultury, stały współpracownik „Tygodnika Powszechnego" Marcin Napiórkowski.

Ministerstwo nie przedstawiło przekonujących powodów odwołania dotychczasowego dyrektora. Zarzuty dotyczyły niewydatkowania części środków na inwestycje. Ministra Hanna Wróblewska mówiła też, że przyczyną dymisji „była m.in. chęć zobiektywizowania, po 18 latach, kosztów, które zostały poniesione i będą jeszcze ponoszone w związku z tą inwestycją oraz budową wystawy stałej".

Ale jednocześnie MKiDN złożyło Robertowi Kostrze propozycję – przez niego odrzuconą – objęcia funkcji dyrektora Instytutu Pileckiego, dużej instytucji publicznej, dysponującej znacznym budżetem. Przedstawienie tej oferty zdaje się mówić – jak zauważa Michał Okoński na łamach „Tygodnika" (nr 40/2024) – że zdaniem tego samego ministerstwa „nie mamy do czynienia z kimś niegodnym zaufania".

FLAGOWE MIEJSCE | Powołanie Marcina Napiórkowskiego na p.o. dyrektora muzeum i wygłoszone przy tej okazji słowa o „nowym otwarciu" mogą sugerować, że za zmianą szefostwa pójdą radykalne decyzje, dotyczące przede wszystkim wystawy stałej. Jej koszt wyniesie aż 670 mln zł, a jej otwarcie ma nastąpić w 2026 r. (obecnie łączny koszt budynku i tej ekspozycji zbliża się do 2 mld zł).

Jednak Hanna Wróblewska od razu zaznaczyła, że zmiana dyrektora nie oznacza rewizji stałej ekspozycji. W tej sytuacji Napiórkowski będzie otwierał wystawę, a także odpowiadał na ewentualną jej krytykę, choć nie ponosi odpowiedzialności za jej kształt. A ona przecież na długie lata zdefiniuje nie tylko tożsamość tego muzeum, ale będzie wpływać na to, jak Polki i Polacy będą postrzegać swoją przeszłość oraz jak będzie ona widziana przez innych – wszak Muzeum Historii Polski to jedno z kilku najważniejszych, flagowych takich miejsc w kraju (obok m.in. Muzeum II Wojny Światowej, Muzeum Powstania Warszawskiego czy Muzeum Polin).

Wystawy czasowe i inne aktywności MHP mogą ten obraz jedynie korygować czy niuansować, ale ich wpływ będzie siłą rzeczy ograniczony – publiczność będzie przyciągała przede wszystkim stała ekspozycja, zwłaszcza w pierwszych latach jej istnienia.

KWESTIA KONSENSU | Podjęte decyzje będą rzutować na to, jak będzie teraz postrzegane nie tylko Muzeum Historii Polski, ale też samo ministerstwo.

„Chcemy, by było to miejsce z jasno określoną misją, które łączy, a nie dzieli w definicji polskości i jej tożsamości" – podkreślała Hanna Wróblewska, powołując Marcina Napiórkowskiego. On sam zaznaczał, że dzisiaj „bardzo potrzebujemy różnorodności – nie tylko tej politycznej, ale też różnych perspektyw badawczych, opowieści o przeszłości, które dadzą nam także odmienne wizje na teraźniejszość i przyszłość".

Jednak odwołanie Roberta Kostry pogłębia polskie podziały i jest bardzo złym sygnałem dla tych, którzy liczyli, że poszanowanie różnorodności i odmienności będzie tym, co odróżni obecną ekipę od jej poprzedników.

Kostro jest konserwatystą, ale przede wszystkim jest państwowcem w praktyce, a nie jedynie w deklaracjach – co w tak bardzo spolaryzowanym kraju jest wielką rzadkością. Co więcej, udało mu się zbudować szeroki konsensus wokół projektu, który pierwotnie był przecież inicjatywą bardzo określonego środowiska ideowo-politycznego.

KWESTIA ZASAD | Mamy do czynienia i z kolejnym problemem. Marcin Napiórkowski jest jednym z najbardziej oryginalnych badaczy, błyskotliwych autorów, ale też osobą – czego przykładem musical „1989", którego jest współautorem – śmiało wykraczającą poza gatunkowe oraz środowiskowe ramy. Nie sposób odmówić mu innowacyjności czy intelektualnej odwagi. Nie posiada jednak muzealniczego doświadczenia, co przy tak dużej placówce ma znaczenie; nie ma też zarządczego doświadczenia.

MACIEK JAŹWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Gmach Muzeum Historii Polski pod koniec budowy. Warszawa, maj 2023 r.

Jeszcze istotniejsze jest jednak coś innego. MKiDN pod nowym kierownictwem zaczęło zmiany w sposobie powoływania osób kierujących instytucjami kultury. Zasadą stały się konkursy na te stanowiska – dotyczące także największych instytucji, w których do tej pory często ich nie organizowano.

Można było uznać, że to początek istotnej zmiany w zarzadzaniu kulturą. Początek odejścia władzy od uznaniowości w nominacji dyrektorów instytucji kultury, a także wzmocnienia ich niezależności od politycznych decydentów. Rozstrzygnięte już konkursy – jak ostatnio na dyrektora Muzeum Narodowego w Gdańsku, który wygrał Piotr Stasiowski, kurator i krytyk zajmujący się sztuką współczesną – pokazały, że ten tryb zarówno umożliwia wybór kompetentnych osób, jak też może prowadzić do pokoleniowej zmiany.

TRUDNE ZADANIE | Konkursy mają jeszcze jedną zaletę: to także okazja do dyskusji nad programem samych instytucji i ich dalszego rozwoju. A zderzenie różnych wizji byłoby szczególnie ważne w przypadku Muzeum Historii Polski, które zajmuje – z wielu powodów – szczególne miejsce na muzealnej mapie naszego kraju.

Lecz wybrano inną drogę: mianowania pełniącego obowiązki, co może wprowadzać poczucie tymczasowości w samej instytucji i oczekiwania na ostateczne decyzje dotyczące przyszłości muzeum.

W tej sytuacji przed Marcinem Napiórkowskim stoi bardzo trudne zadanie: zachowania dotychczasowego dorobku muzeum i osób, które go tworzyły, a jednocześnie zaprezentowania programu, który byłby zarówno oryginalny i odmienny od dotychczasowego, jak też otwarty na różne opcje polityczne i na różne wrażliwości. Dopiero to uzasadniłoby merytorycznie zmianę dokonaną przez MKiDN.

KWESTIA PAMIĘCI | Ostatnie wydarzenia wokół MHP powinny wywołać też dyskusję nad polityką państwa nie tylko w zakresie kultury, ale także polityki pamięci.

MHP to bowiem podręcznikowy przykład braku decyzyjności i konsekwencji w działaniach władzy. Fakt, że we wrześniu 2023 r. została wreszcie otwarta jego siedziba, jest w znacznej mierze wynikiem starań i uporu Roberta Kostry oraz stworzonego przez niego zespołu (innym dobrym przykładem jest tu Muzeum Sztuki Nowoczesnej).

Państwo, jeżeli nadal chce realizować podobne instytucje, musi radykalnie przemyśleć sam proces ich powstawania. A przede wszystkim zapewnić ciągłość prac nad nimi – mimo zmieniających się ekip rządowych.

DŁUGIE 18 LAT | Muzeum Historii Polski powołano w 2006 r., za rządów premiera Kazimierza Marcinkiewicza (PiS). Przez długie lata nie mogło się doczekać własnej siedziby. Zmieniano lokalizację, ogłoszono konkurs na jego siedzibę, wygrany przez pracownię cenionego architekta Bohdana Paczowskiego, aby w 2010 r. (za rządów PO) zawiesić prace nad budową gmachu. Dopiero pięć lata później decyzją szefowej resortu kultury Małgorzaty Omilanowskiej (w końcówce rządów PO) muzeum ulokowano na terenie warszawskiej Cytadeli – w budynku pierwotnie zaprojektowanym dla Muzeum Wojska Polskiego. ↦

↦ Za rządów ministra Piotra Glińskiego (PiS) prace szybko ruszyły; zwiększono też powierzchnię MHP (z 24 tys. m kw. do niemal 45 tys. m kw.). Radykalnie wzrosły koszty inwestycji: z 370 mln do 757 mln zł.

Ostatecznie MHP okazało się największą i najdroższą muzealną inwestycją w Polsce po 1989 r. Sam budynek – który został doceniony przez jury konkursu Prix Versailles, a niedawno został finalistą konkursu Urban Land Institute Europe Awards for Excellence 2024 – jest jednocześnie symbolicznym końcem epoki monumentalnych muzealnych gmachów, planowanych z rozmachem, epatujących użytymi do ich wzniesienia drogimi materiałami.

JAKIE MUZEA? | Jednocześnie MHP pokazuje, jak bardzo zmieniało się myślenie o muzeach.

Powołano je w czasach fascynacji muzeami narracyjnymi, które nie opierają się na eksponatach, lecz za pomocą nowoczesnych środków budują opowieść. Co więcej, w pierwotnych zamierzeniach muzeum miało się skupiać – jak podkreślali inicjatorzy – na kopiach, w tym cyfrowych. Planowano obecność zdjęć, materiałów filmowych i dźwiękowych, inaczej niż w muzeach „tradycyjnych".

Szczęśliwie z czasem dostrzeżono, że to możliwość kontaktu z oryginalnymi przedmiotami – w czasach dominacji cyfrowego przekazu – sprawia, iż muzea przyciągają coraz liczniejszą publiczność. W stałej ekspozycji (przygotowanej przez pracownię WWAA oraz Platige Image z Natalią Paszkowską i Borisem Kudličką na czele) znajdzie się więc ok. 3,6 tys. muzealiów, w tym ponad 2120 z własnej kolekcji MHP.

Paradoksalnie jednak coraz bardziej problematyczny okazuje się dziś sam pomysł tworzenia wystawy, w której ważną rolę odgrywają multimedia i rozmaite elementy scenograficzne, sprawiające, że jej przygotowanie jest bardzo kosztowne. Zatrzymanie prac nad nią nie jest zapewne możliwe – zbyt dużo w nią już zainwestowano. Co nie oznacza, że nie należy się zastanawiać nad tym, jak w przyszłości przygotowywać podobne wystawy.

PROCES | „Nie ma wątpliwości, że kolejne pokolenia będą do dawnych narracji dokładały swoje doświadczenia i swoją wrażliwość. Będą je rewidowały albo uzupełniały. A jednak proces kulturowy sprawia, że te same wątki – tak jak w przypadku bitwy pod Grunwaldem czy Konstytucji 3 maja – będą powracały w rozmaitych ujęciach historycznych, formach artystycznych i kontekstach politycznych" – pisał Robert Kostro w tekście, który towarzyszył wystawie „Potęga opowieści". Była to ostatnia z wystaw czasowych zorganizowanych pod jego kierownictwem.

ANDRZEJ HULIMKA / FORUM

Robert Kostro podczas podpisywania aktu erekcyjnego i wmurowywania kamienia węgielnego pod budowę Muzeum Historii Polski. Warszawa, 11 października 2018 r.

FILIP NAUMIENKO / REPORTER

Marcin Napiórkowski w Muzeum Historii Polski. Warszawa, 26 września 2024 r.

Znalazły się na niej m.in. wydane w ostatnich latach książki, jak „Ludowa historia Polski" Adama Leszczyńskiego, „Roztrzaskane lustro" Wojciecha Roszkowskiego, „Chłopki" Joanny Kuciel-Frydryszak oraz „Polska i Rosja. Sąsiedztwo wolności i despotyzmu X-XXI w." Andrzeja Nowaka.

Ich obecność miała zapewne świadczyć o pluralizmie MHP. A przede wszystkim przypominała o dyskusjach i sporach toczonych w ostatnich latach, w tym o miejsce kobiet czy klasy ludowej w opowieści o naszej przeszłości.

W tym czasie zmieniła się też Polska: z kraju monoetnicznego (mimo historycznej obecności wielu mniejszości) w kraj, w którym doświadczenie wieloetniczności staje się codziennym doświadczeniem wielu Polek i Polaków.

KWESTIA KANONU | Tymczasem w MHP powstaje ekspozycja, która siłą rzeczy w chwili otwarcia, za dwa lata, będzie już anachroniczna. Nie dlatego, że będzie lewicowa, prawicowa czy centrowa – lecz dlatego, że w 2026 r. minie niemal dekada od czasu zakończenia prac nad jej koncepcją.

Powstanie zatem bardzo starannie przemyślana ekspozycja, w której każda zmiana – co dobrze pokazują przykłady stałych wystaw w Muzeum Polin czy Muzeum II Wojny Światowej – będzie trudna, jeżeli w ogóle możliwa.

Być może trzeba już teraz myśleć o innych sposobach tworzenia stałych ekspozycji opowiadających o naszej historii, tak aby nie stawały się po kilku latach przede wszystkim świadectwami, jak kiedyś o tej historii myślano, i aby wykonane na ich potrzeby multimedia nie okazywały się jedynie zabytkami techniki.

Po 15 czy 20 latach nikt nie będzie wydawać setek milionów złotych na tworzenie kolejnych wersji ekspozycji. Muzea muszą mieć zatem możliwość dbania o kanon naszej pamięci, ale też udziału w dyskusji o jego kształcie, w reagowaniu na zmiany w pamięci zbiorowej. Tak, aby do tej opowieści o przeszłości można było „dokładać" doświadczenia kolejnych pokoleń.

Muzeum – żadne muzeum – nie powinno być przecież tylko świadectwem czasu, w którym powstało.

© PIOTR KOSIEWSKI

ZNAMY NOMINACJE DO NAGRODY TISCHNERA

Wytrwale przerzucać mosty – czy cichą pracą u podstaw, czy miarkowaniem tonu debaty, czy głośnym, odważnym mówieniem prawdy – zależnie od potrzeb. To wspólne wyzwanie dla osób nominowanych do tegorocznej Nagrody Znaku i Hestii im. ks. Józefa Tischnera.

ŁUKASZ FILIPOWSKI / NAGRODA TISCHNERA

Ks. Radek Rakowski i parafia Łacina

Parafia w bloku na nowoczesnym osiedlu? W Poznaniu to możliwe: w gościnne progi lokalu, w którym miał się znajdować salon fryzjerski, zaprasza założona przez **KS. RADKA RAKOWSKIEGO PARAFIA ŁACINA** – pełna wiary w Boga, pozytywnej energii, otwarta i tolerancyjna. Zarządza nią menadżerka, większość spraw da się załatwić szybko i przez internet. To nie tylko wyjątkowy kościół, miejsce modlitwy i liturgii; to także przestrzeń socjalna, gdzie po mszy można poznać sąsiadów, napić się kawy i porozmawiać w serdecznej atmosferze. Każdy, czy jest wierzący, czy nie, będzie tam mile widziany. Również ze zwierzętami! Łacina otrzymała nominację do II kategorii nagrody – za inicjatywy duszpasterskie lub społeczne – jako cała wspólnota.

ROBERT DROGOŚ od 30 lat działa w sektorze pomocowym,

MIECZYSŁAW MICHALAK / / NAGRODA TISCHNERA

Robert Drogoś

reagując na sytuacje kryzysowe, ale też walcząc z różnorakim wykluczeniem i dbając o budowanie więzi społecznych. Jesienią 2021 r. był na pograniczu polsko-białoruskim, organizując pomoc materialną dla ludzi w drodze. W trzecim dniu pełnoskalowej agresji Rosji na Ukrainę w 2022 r. uruchomił całodobowy punkt, który stał się największym na Dolnym Śląsku centrum pomocy humanitarnej dla osób z doświadczeniem uchodźczym. „Roberta poznałam podczas powodzi w 1997 r. we Wrocławiu i z uznaniem obserwuję jego kolejne projekty realizowane z sercem" – mówi Janka Ochojska. Dziś Drogoś – prezes Centrum ds. Katastrof i Klęsk Żywiołowych „Tratwa" – znów pomaga powodzianom.

Nominowana została też **TOŚKA SZEWCZYK** – osoba skrzywdzona seksualnie przez duchownego, autorka książki „Nie umarłam. Od krzywdy do wolności", zaangażowana w działalność na rzecz upodmiotowienia osób skrzywdzonych w Kościele. W minionym roku doprowadziła do pierwszych spotkań tych osób. Zainicjowała wręczenie biskupom „talerza skrzywdzonych" stanowiącego symboliczne oskarżenie o zaniechania. Jest główną autorką bezprecedensowego listu osób skrzywdzonych do Rady Stałej KEP. „Tośka prezentuje unikalną postawę – pisze Zbigniew Nosowski. – Ostro walczy z kościelnym systemem niesprawiedliwości, a jednocześnie jest w głębokiej relacji z Bogiem i aktywnie uczestniczy w życiu Kościoła jako wspólnoty. Przełamuje bariery, burzy stereotypy i buduje mosty porozumienia".

W I kategorii – za książkę lub cykl publikacji – wyróżniono w tym roku autorów piszących o historii, zarówno tej dawnej, jak i dziejącej się na naszych oczach. Na plan pierwszy wysuwają się tu skomplikowane relacje między ludźmi, wspólnotami, narodami, prowadzące nieraz do tragedii, ale i – być może – dające promyk nadziei.

WACŁAW RADZIWINOWICZ w książce „Putin, car Atlantydy. Droga do wielkiej wojny" (Agora) rysuje przenikliwy portret

SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJAWYBORCZA.PL / / NAGRODA TISCHNERA

Wacław Radziwinowicz

dyktatora, będący przestrogą przed tym, do czego prowadzi kult siły i pogarda dla słabszych. Dzieło wytrawnego znawcy tematu pokazuje zarazem, że – jak zauważa wydawca – nie są to problemy wyłącznie rosyjskie, bo „Rosja i Putin mogą się przytrafić wszędzie".

O zawiłych dziejach innego narodu, jego stosunkach z sąsiadami, w tym Polakami, mówi książka lwowskiego profesora **JAROSŁAWA HRYCAKA** „Ukraina. Wyrwać się z przeszłości" (MCK). Znakomity historyk, humanista obdarzony świetnym piórem, w nowoczesny sposób podkreśla wyjątkowość Ukrainy na mapie Europy. Nie jest to jednak praca apologetyczna, lecz uczciwa rozprawa również z ciemnymi kartami ukraińskiej historii. We wstępie autor przytacza słowa mądrości ludowej: „Nie pozwól, aby twoja przeszłość pozbawiła cię przyszłości".

PAWEŁ MAZUR / NAGRODA TISCHNERA

Jarosław Hrycak

Można by je zacytować w trzeciej nominowanej książce. „Chrześcijanie wobec Żydów. Od Jezusa po inkwizycję. XV wieków trudnych relacji" **KARD. GRZEGORZA RYSIA** (WAM) to ważne, pod wieloma względami pionierskie spojrzenie na relacje chrześcijańsko-żydowskie w starożytności i średniowieczu. Rzecz dobrze

JACEK TARAN / NAGRODA TISCHNERA

Kardynał Grzegorz Ryś

udokumentowana, poparta źródłami, napisana przystępnie, a co najważniejsze – rzeczowo i odważnie. To książka o bolesnych ranach, a równocześnie o zmianie; będąca rachunkiem sumienia i pytaniem o to, co przed nami, co zależy od nas.

Jak pisał Tischner: „Jak chcesz budować most ku drugiemu człowiekowi, musisz zrozumieć, jaki ten drugi jest i czego chce".

KATARZYNA WĘGLARCZYK

Laureatów poznamy podczas uroczystej gali, która odbędzie się 21 listopada w Nowohuckim Centrum Kultury w Krakowie!

MATERIAŁ PROMOCYJNY

WIRUS, KTÓRY NIE ZNA BARIER

W ostatnich latach ptasia grypa uśmierciła setki milionów zwierząt – także ssaków. Jak dotąd zachorowało niewiele ludzi, jednak wirus szybko mutuje. I może przynieść następną pandemię.

BARTOSZ KABAŁA

Według raportu Głównego Inspektoratu Weterynaryjnego w sierpniu tego roku w miejscowości Chociule w okolicy Świebodzina (woj. lubuskie) na farmie indyków rzeźnych wykryto ognisko ptasiej grypy obejmujące prawie 15 tys. osobników. Jak podaje „Gazeta Lubuska", niezwłocznie przystąpiono do likwidacji ogniska, a także wyznaczono strefy zapowietrzenia oraz strefy zagrożone ptasią grypą, w których stosuje się rozmaite ograniczenia. To prawdopodobnie pierwsze ognisko tego sezonu grypowego, który u ptaków, podobnie jak u ludzi, obejmuje przede wszystkim jesień i zimę. Poprzedni sezon rozpoczął się w październiku 2023 r. i zakończył w okolicy marca 2024 r. Ognisko grypy na fermie w Chociulach jest dwudziestym ósmym od początku stycznia. Wszystkie zostały wywołane przez wariant wirusa A/H5N1.

Wirus grypy to jeden z najbardziej rozpowszechnionych patogenów w środowisku. Szacuje się, że odpowiada rocznie za ok. miliard infekcji u ludzi, w tym nawet siedem milionów o ciężkim przebiegu. W rzeczywistości są to cztery rodzaje wirusów należące do jednej rodziny *Orthomyxoviridae* – wirus grypy typu A, B, C, a od niedawna również D. Typy A i B mogą wywoływać objawowe infekcje u ludzi i niektórych zwierząt, wirus C jest dla ludzi zwykle niegroźny, a D występuje wyłącznie u bydła.

Swój „sukces" wirusy grypy zawdzięczają ogromnej różnorodności i genetycznej zmienności, które przejawiają się m.in. zróżnicowanym układem białek obecnych na powierzchni wirusowej otoczki. Jednym jest hemaglutynina (H), drugim neuraminidaza (N) – stąd skróty typu H5N1, H1N1 czy H10N3, które informują, jaki wariant każdego z tych dwóch białek posiada dany szczep. Te białka stanowią główny oręż wirusa i decydują m.in. o tym, czy wirus atakuje komórki górnych czy dolnych dróg oddechowych, wywołując np. zapalenie płuc.

Taka elastyczność, zdolność do adaptacji i zmienność genetyczna powodują, że wirus grypy często przełamuje bariery gatunkowe i nawet jeśli wiele lat wcześniej wykryty został w populacji jednego gatunku, nie oznacza, że nie stanie się groźny dla innego – w tym człowieka.

Ptasia grypa sieje spustoszenie zarówno w naturalnych ekosystemach, jak i na fermach drobiu. Od 2021 r. wirus zabił 280 mln zwierząt.

AGENCJA WSCHÓD / FORUM

Łabędzie i tatar

W marcu 2006 r. w Toruniu przy Bulwarze Filadelfijskim znaleziono trzy martwe łabędzie. W związku z rosnącą liczbą przypadków ptasiej grypy w Europie, martwe ptaki zostały przebadane w Państwowym Instytucie Weterynaryjnym w Puławach pod kątem obecności wirusa H5N1. Podejrzane zgony ptaków w Polsce miały miejsce już wcześniej – np. kilka martwych łabędzi zauważono na nadbałtyckiej plaży, ale wówczas infekcję wirusem grypy wykluczono. Tym razem było inaczej. W kraju wybuchła panika.

Toruń rozpoczął akcję wyłapywania łabędzi, zamknięto Bulwar Filadelfijski i okoliczne ulice, zakazano spacerów ze zwierzętami w strefie zapowietrzenia wirusem. Z ponad stu przebadanych toruńskich łabędzi trzydzieści dwa były zarażone. Media donosiły, że Polacy rezygnują z jedzenia drobiu i jaj. Dość szybko stało się to również kwestią polityczną. Posłowie na posiedzeniu komisji rolnictwa i rozwoju wsi, prócz działaniami i zaniedbaniami ministerstwa, zajęli się problemem braku dań z drobiu w sejmowej stołówce. Danuta Hojarska (Samoobrona): „To wstyd, żeby tatara nie można było zjeść z żółtkiem. Od miesiąca w Sejmie nie ma jajek. Posłowie powinni się wstydzić". „Posłowie nie boją się jeść jajek. Proszę nie przesadzać" – zapewniał poseł Wojciech Mojzesowicz (PiS). Marek Sawicki z PSL dodał otwarcie: „Jeszcze mi się nie zdarzyło, żebym jadł tatara bez jajek. Zawsze jem tatara z jajkami".

Jeszcze przed wykryciem wirusa w Polsce dziennik „Życie Warszawy" w tekście „Ptasia histeria" donosił o nękających służby epidemiologiczne telefonach od osób zaniepokojonych bliskością ptaków: „Po moim balkonie chodzi kilka wróbli. Czy mogę otworzyć okno?", „Chodzi za mną namolny gołąb, pewnie ma ptasią grypę, bo jest taki niewyraźny". Według autora artykułu próśb o pomoc było tak dużo, że utrudniało to pracę i przygotowania na wystąpienie pierwszych ognisk choroby.

Zakończona sukcesem toruńska akcja przesiewowego badania łabędzi doczekała się już w lipcu 2006 r. pomnika – ptaka ze słomy na czterometrowym filarze, który jednak po kilku ulewach został usunięty z powodu zniszczenia. Wirus jednak pozostał i zadomowił się na dobre.

Trzecia fala

Z perspektywy czasu zbiorowa panika i niektóre nieadekwatne reakcje na potencjalne zagrożenie mogą wywoływać uśmiech. Ale nie musimy wyobrażać sobie hipotetycznej sytuacji, w której niegroźny dla człowieka wirus zwierzęcy dokonuje przeskoku gatunkowego, rozpoczynając pandemię. Przypominają nam o tym codziennie prawie starte oznakowania wyrysowane na chodniku, by kolejkowicze zachowywali odstęp, pojemniki ze starym płynem do dezynfekcji rąk albo podarte przypomnienia o konieczności noszenia maseczek.

Przypadki zarażenia człowieka wirusem grypy A/H5N1 są znane od końca minionego wieku. W 1997 r. w Hong-Kongu wykryto osiemnaście zarażonych wirusem osób, z czego sześć zmarło w wyniku powikłań choroby. Od tego czasu odzwierzęce infekcje ptasią grypą wystąpiły w dwudziestu trzech państwach i dotyczyły przede wszystkim pracowników ferm drobiowych. Objawy towarzyszące infekcji są zbliżone do tych prezentowanych przez pacjentów z „klasyczną" postacią grypy – kaszel, bóle mięśniowo-stawowe, bóle głowy, gorączka, katar. W ciężkich przypadkach występuje zapalenie płuc i niewydolność oddechowa. Dane statystyczne mogą zaskoczyć – choć od 2003 r. do marca 2024 r. zachorowało zaledwie 880 osób, to ok. połowa z tego zmarła. Tak wysoki odsetek zgonów jest jednak najprawdopodobniej zawyżony przez niewielką wykrywalność przypadków łagodnych, których prawdziwa liczba z pewnością zwiększyłaby mianownik.

Podkreślić należy, że transmisja wirusa pomiędzy ludźmi jest bardzo rzadka. Zatem ryzyko pandemii w populacji *Homo sapiens* wciąż pozostaje niewielkie (choć to może się zmienić, o czym za chwilę) i to nie człowiek jest obecnie w największym niebezpieczeństwie.

Biorąc pod uwagę wyłącznie wariant A/H5N1 wirusa grypy, można tę pełzającą pandemię podzielić na trzy fale. Poniższe liczby pozwalają dostrzec bezprecedensowość obecnej sytuacji. Pierwsza fala od 2005 do 2010 r. skutkowała śmiercią 55 mln ptaków (część z nich trzeba było zagazować celem prewencji rozsiewu choroby), głównie w Azji, ale również ↦

↦ w Ameryce i Europie. Lata 2011-2019 to kolejne 140 mln martwych ptaków. Licząc od 2021 r., w trakcie obecnej fali zakażeń umarło lub zostało wybitych w celach sanitarnych 280 mln osobników. Wymieranie nabiera tempa. Co się zatem zmieniło?

Nie tylko ptaki

Poza wspomnianym podziałem wirusów grypy na typy A, B, C i D oraz na warianty ze względu na posiadane rodzaje białek H i N, każde z nich dzieli się na kilka, a nawet kilkanaście kladów. Wirusy typu A z białkiem H5 występują w 9 różnych odmianach, które najczęściej mają swoją typową lokalizację na planecie. Niektóre jednak podtypy wirusa H5 atakują ptaki migrujące, które roznoszą patogen po całym świecie, co skutkuje mieszaniem się różnych rodzajów wirusa, wymianą genów, kumulacją mutacji i powstawaniem kolejnych, bardziej zjadliwych odmian. W taki sposób powstał wirus odpowiedzialny za obecną falę zakażeń. Dla wirusów świat był od zawsze globalną wioską.

Początkowo szczep H5N1 2.3.4.4b, którego genetyczne źródła sięgają m.in. polskich ferm drobiu, określany był jako typowy dla Europy i Azji, ale pod koniec 2021 r. wykryty został w Kanadzie, skąd wraz z dzikimi ptakami rozpoczął migrację na południe kontynentu i dalej, aż do Ameryki Południowej. Tylko w USA od 2022 r. z powodu ptasiej grypy wyginęło ponad 100 mln ptaków hodowlanych i 10 tys. dzikich. Biorąc pod uwagę zagęszczenie drobiu w fermach i łatwość roznoszenia się w takich warunkach patogenów, te ogromne liczby są częściowo zrozumiałe. Niepokojące jest jednak masowe umieranie dzikich ptaków w ich naturalnych ekosystemach – nierzadko gatunków wymagających ochrony. W 2021 r. z powodu wirusa H5N1 zginęło 50 tys. dzikich ptaków w Wielkiej Brytanii, w tym 13 tys. osobników swalbardzkiej bernikli białolicej. Od początku tej fali ptasiej pandemii w RPA umarło 17 tys. kormoranów przylądkowych, gatunku zagrożonego wyginięciem. Ponadto według wyliczeń brytyjskiego „Guardiana" zmarło 2 tys. pelikanów kędzierzawych w Grecji i tysiąc żurawi białogłowych w Japonii. W Ameryce Południowej ptasia grypa zaatakowała prawie 600 tys. dzikich ptaków.

Poza granicami państw wirus zaczął przekraczać granice międzygatunkowe, a nawet między gromadami zwierząt. Od stycznia tego roku w Teksasie zaczęto obserwować liczne infekcje wirusem H5N1 wśród hodowlanego bydła – obecnie ponad 190 hodowli w 14 stanach. Co gorsza, stwierdzono kolejne przypadki transmisji wirusa pomiędzy krowami, co u ssaków w przypadku ptasiej grypy było dotychczas niespotykane. Patogen najprawdopodobniej obecny jest w głównej mierze w gruczołach mlekowych, stąd silne powiązanie choroby z krowami mlecznymi, a nie tymi przeznaczonymi na mięso. Potwierdza to wykrycie śladów wirusowego materiału genetycznego w sprzedawanym w amerykańskich sklepach mleku, a także amerykańsko-niemiecki eksperyment przeprowadzony w zamkniętej hodowli Uniwersytetu Stanowego Kansas. Badacze zainfekowali zwierzęta dwoma szczepami wirusa A/H5N1 i obserwowali postępy choroby, która u cieląt przebiegała łagodnie, z niewielką produkcją wirusa w śluzówce nozdrzy, zaś u dojrzałych krów mlecznych prowadziła do znaczących zmian zapalnych gruczołów mlecznych, a nawet ich martwicy. Raport z badania oczekuje na recenzję i publikację w „Nature".

Wirusa „ptasiej grypy" A/H5N1 wykryto już m.in. u ssaków morskich, kotów domowych, szczurów i myszy, szopów, lisów rudych i rysiów.

Wraz z migrującym ptactwem wirus po raz pierwszy dotarł do regionu subantarktycznego i Antarktyki. W niedawnym badaniu opisanym na łamach „Nature Communications" grupa brytyjskich naukowców z rządowej Agencji Zdrowia Roślin i Zwierząt (APHA) przebadała kilka populacji przedstawicieli dzikiej przyrody z Falklandów oraz Południowej Georgii. Wirusa wykryto u rybitw antarktycznych, kormoranów południowych i wydrzyków brunatnych. Co więcej, zarażone były również antarktyczne ssaki – kotik antarktyczny, należący do uchatkowatych, oraz słoń morski południowy. Ten ostatni gatunek z powodu wirusa ptasiej grypy ucierpiał znacząco. W ubiegłym roku u wybrzeży Argentyny zmarło w wyniku infekcji prawie 18 tys. młodych osobników słonia morskiego południowego, co stanowiło 96 proc. wszystkich urodzonych w 2023 roku.

Skąd przyszła „hiszpanka"

Trudno określić, czy międzygatunkowa pandemia ptasiej grypy będzie miała istotny wpływ na środowisko naturalne. Istnieje ryzyko, że nagłe wymieranie dziesiątek tysięcy przedstawicieli danego gatunku przyspieszy niekorzystne zmiany w i tak już kruchych ekosystemach, takich jak region subantarktyczny. Ale wobec niewielkiego ryzyka objawowej infekcji u człowieka można zadać sobie pytanie, czy jest się czego obawiać – i czy to w ogóle „nasza wojna"?

Wirusa A/H5N1 wykryto m.in. wśród ssaków morskich, kotów domowych, szczurów i myszy, szopów, lisów rudych i rysiów, czyli gatunków zróżnicowanych pod względem geograficznego zasięgu i ewolucyjnego pochodzenia. Świadczy to dobitnie o zdolnościach wirusa do przełamywania barier gatunkowych i dużym potencjale do kolejnych mutacji i nowych adaptacji. Wirus H5N1 z 2006 r. był głównie wirusem medialnej paniki, ale nie zawsze tak było. Za przykład może służyć pandemia grypy „hiszpanki", która w pierwszych latach po Wielkiej Wojnie pochłonęła od 50 do 100 milionów osób, przede wszystkim dzieci i ludzi starszych. Z oczywistych względów ustalenie pochodzenia wirusa było w czasie pandemii niemożliwe, ale współczesne analizy, jak ta Michaela Worobeya i współpracowników z 2014 r. opublikowana w „Nature", wskazują, że wirusem nękającym powojenny świat był wariant A/H1N1 pochodzący od ptactwa. Podobne wyniki uzyskano po analizie genetycznej materiału wyizolowanego z zachowanej chusteczki jednej z ofiar pandemii 1918 r.

W ankiecie opublikowanej w czasie kwietniowej konferencji Europejskiego Towarzystwa Mikrobiologii Klinicznej i Chorób Zakaźnych w Barcelonie ponad połowa (57 proc.) z ankietowanych ekspertów wskazała, że za następny globalny kryzys epidemiczny będzie odpowiadać wirus grypy. Znacznie mniej głosów w sondażu uzyskała choroba X (czyli taka, której jeszcze nie znamy), a daleko w stawce były wirusy SARS-CoV2, Ebola i wirus krwotocznej gorączki krymsko-kongijskiej.

Pytania bez odpowiedzi

Wirusy grypy „hiszpanki", SARS-CoV2, Ebola i ptasiej grypy łączy ich odzwierzęce pochodzenie (w przypadku dwóch pierwszych nie mamy całkowitej pewności, ale jest to wysoce prawdopodobne). Zoonozy, czyli choroby odzwierzęce, są wywoływane przez patogeny powodujące infekcje u zwierząt lub przez zwierzęta wyłącznie roznoszone. Przykładem zoonozy jest także dżuma, na którą chorują szczury i inne drobne gryzonie oraz człowiek – w przypadku kontaktu z nimi. Według wyliczeń Światowej Organizacji Zdrowia w Afryce w drugiej dekadzie XXI w. nastąpił wzrost o ponad 60 proc. liczby ognisk chorób odzwierzęcych w porównaniu z pierwszą dekadą. W obliczu zmian klimatycznych, zasiedlania terenów zamieszkałych wcześniej przez dzikie zwierzęta czy zaniedbań sanitarnych w coraz bardziej ludnych rejonach Ziemi będziemy świadkami jeszcze wielu ognisk kolejnych chorób odzwierzęcych.

Media co kilka dni informują o kolejnych zachorowaniach na mpox (wcześniej zwaną małpią ospą) i ptasią grypę. Parę lat temu w nagłówkach pojawiały się jeszcze gorączka krwotoczna Ebola, covid-19 i gorączka Zika. Od początku tego roku obserwowany jest wzrost liczby zachorowań na gorączkę Oropouche powodowaną przez wirusa o tej samej nazwie. Głównym rezerwuarem wirusa są leniwce (stąd inna nazwa: gorączka leniwców), a transmiterem meszki i komary. Dotychczas przypadki, nierzadko w liczbie kilkuset tysięcy, rejestrowano wyłącznie w krajach Ameryki Południowej i Środkowej, ale w tym roku wirusa wykryto również w USA, Hiszpanii, Włoszech i Niemczech – chorzy to turyści do państw endemicznych. Jednak do prawdziwego zagrożenia dla populacji globu jeszcze daleko.

Skąd przyjdzie do nas kolejna pandemia, kiedy to nastąpi i czy w ogóle jesteśmy gotowi na takie zagrożenie? Niestety, te ważne pytania pozostaną bez odpowiedzi. Warto jednak pamiętać, że zagrożone chorobami zakaźnymi – często jako efekt ludzkiego działania – są także inne gatunki.

© BARTOSZ KABAŁA

GRAŻYNA MAKARA & KATARZYNA WŁOCH X6 // JACEK TARAN

Anna Łabuszewska:

Chcę opowiedzieć Rosję – tylko jak? Kraj ckliwych poetów, samodzierżawia, odwiecznych pańszczyźnianych chłopów, kosmonautów i buntowszczyków. Kraj, który prowadzi zbrodniczą wojnę. Kraj nafty, diamentów, tajgi, propagandowej lipy. Rozumem nie da się jej objąć. Nieustanny materiał do przemyślenia.

Na zdjęciu w towarzystwie koleżanek z „Tygodnika": Eweliny Burdy, Urszuli Honek, Moniki Ochędowskiej Anny Golus, Anny Goc i Katarzyny Kubisiowskiej

Autorki „Tygodnika" odważnie prowadzą Czytelniczki i Czytelników przez nasz skomplikowany świat, zachęcają do patrzenia na rzeczywistość z różnych perspektyw.

powszech.net/dar

TYGODNIK POWSZECHNY

Twoje wsparcie dla Fundacji Tygodnika Powszechnego pozwala zmieniać świat. Naprawdę

OPP

ELIZA

Kącka:
Dwoje nad dwiema

Dolna, przystanek autobusowy. Stoimy z Rudą tyłem do słońca: przysmaża, niepokoi. Korek, szybciej by się doszło na plac Unii Lubelskiej piechotą. Ale czekamy. Pokazuję Rudej, jak nasze cienie skaczą na główkę w wykop remontowy, tuż przy plątaninie plastikowych rur. Śmiejemy się. „Patrz, jak ci ładnie ścięło główkę" – zaczepiam się. „Co ty mówisz, Pingwin!" – parska Ruda. „Można się dostawić?" – pyta gość nieco młodszy ode mnie. „A pewnie" – zachęcam. „Pingwin...?". „Tak, to ja. Podobno mam czułe płetwy". Gość śmieje się: „Uwielbiam takie klimaty. Mój ojciec był od teatrów". „Człowiek teatru?". „Tak, codziennego. Nauczyciel fizyki. Ale jak was zobaczyłem, przepraszam, to wyczułem...". „Teatry?". „Tak! Nie wiem, jak to nazwać". Ruda: „Pingwin, ty wiesz, musisz wiedzieć". „Nie wiem, właśnie mi słońce ucięło łeb". Śmiejemy się. Gość: „Mój ojciec dziwnie zginął. Weszliśmy na dach domu moich dziadków poruszyć anteną. Babcia musiała mieć telewizję. Pamiętam małe cienie odbite na chodniku. Wieczorne słońce nas zdjęło. I raptem drugiego cienia zabrakło. Źle stanął, spadł. Zmarł dwie godziny później". „I jego cień nie żyje?" – pyta Ruda. „Tak. Od tego czasu boję się cieni". Obejmujemy się, płacze. „Ale czy cień nie żyje?" – drąży Ruda. „W sensie?" – pyta gość. „Czy cień zmarł, czy żyje?". Zatkało go: „No, na pewno żyje. W moich wspomnieniach". „Nie, czy żyje?". „?". Pytam się Rudej, patrząc w nasz wydłużony, ciemniejący powidok: „Cienie żyją osobno, prawda?". „Tak. Ostatnio przy mnie stał cień twojego dziadka. Czekaliśmy na autobus"". 522 przyjechało, wsiadłyśmy.

Autobus 116, dziki tłok. Wiszę nad dwiema paniami kiele siedemdziesiątki. „Widziała pani tę aferę z wódką w saszetkach?". „Wódką? W saszetkach? Wódka to butelki przecież!". „No nie, bo jakiś producent dodał procentów do musu owocowego albo jogurtu. Dla dzieci". „Dla dzieci?!". „Tak. Ja tam nie znam szczegółów, ale chyba chodziło o to, by dzieci upić". „W Polsce Tuska to normalne". „Normalne. Rząd dopuścił. Ale ludzie się zbuntowali". „No ja myślę! Nasz Pawełek! Wódka w jogurcie!". „Tuskowcom chodzi, by coś dzieciom podać". „Myśli pani, że sam Tusk ma z tego pieniądz?". „Z saszetek? Na pewno. Ale już tym nie handlują, ludzie nie pozwolili". „Haha, i dobrze. Na śmietnik poszło". „Myśli pani, że to wyrzucą? No nie. Oni to będą jeść". „Tę wódkę?! Gdzie?". „W sejmie. Cały rząd. Nie zmarnują. Z dziećmi się nie udało, to sami zjedzą". „Upiją się na służbie!". „Myśli pani, że oni na trzeźwo głosują? Nigdy!".

180, jadę na uczelnię. Za plecami mam rozmowę o życiu literackim. „Staniesz z tym moim tomikiem najpierw na Foksal, fotograf jedzie". „Jakby co, można komórką". „Nie, możesz sobie komórką zrobić dodatkowo na insta. Że stałeś z moim tomikiem. Ale już zapłaciłem za sesję i będzie profeska". „Ok". „Masz tekst?". „Mam". „Ale wyniknie z niego, że wiersze wybitne?". „Jasne, że bardzo dobre". „To za mało". „Gadasz". „Gadam, bo stawiam ci obiad potem". „No dobra, powiem, że wybitne". „Ale nie szeruj na fejsbuku od razu, pokaż mi tekst posta najpierw". „Bo?". „Bo skontroluję, czy skumałeś, że spotkaliśmy się przypadkiem". „To jasne jest. Przypadkiem". „No nie wiem. Ostatnio recenzent mi nawalił. Wyszło, że nie przypadkiem. Ja kontroluję przypadki. Wiarygodne, czy nie". „Nie spinaj się tak". „Muszę się spinać, jedna szansa w życiu". „Co ty, jeszcze wiele napiszesz". „No, mam nadzieję, ale i tak jedna szansa, rozumiesz?". Wysiadłam na placu Trzech Krzyży.

Lidzbark Warmiński, rodzinne miasto, idę na cmentarz. Siadam przy grobie dziadka na ławce. Potem oporządzam. Zza granicznej mogiły przygląda mi się staruszka. Ja zasuwam z grabkami – ona ze szczotką. Symetrycznie omiatamy mogiły bliskich. W końcu nie wytrzymuje i podchodzi: „Ja tu pani nie widywałam". „Rzadko bywam". „Elizka?". Zamarłam: „Tak". „Dziadek bardzo panią kochał". „O!". „Niech się pani nie cieszy. Ja pani nie znam. Dziadek kochał Elizkę". „To chyba ja". Srocze oko staruszki zezuje: „A czy ja wiem. Czy pani jest Elizką? Dziadek kochał Elizkę. A pani mi wygląda na Elizę. Mógł się pomylić. Niech się pani chociaż pomodli". Odwróciła się, poszła, znikła.

Pociąg do Olsztyna, w mojej pakamerze siedzeniowej dwie dziewczyny z grubsza osiemnastoletnie. „Po co z tym siedzisz, można różne teksty znaleźć w sieci". „Można, ale ja nic nie zapamiętam, jak spiszę z netu". „Dobra. To dodaj coś od siebie. Ogólnie chodzi o to, że jak tego Herberta zrobisz, to nasza polonistka ci odpuści do matury". „Wiem, ale szkoda mi czasu na wiersze innych ludzi, wiesz. Sama piszę". „No wiem". „Ten Herbert już dostał swoje, wiesz, ja nie". „No wiem". „Ja w sumie bym to zadanie mogła w czata GPT wrzucić". „To wrzucaj". „No ale boję się, że to będzie plagiat". „Plagiat?!". „No wiesz, czat chyba podobnie nam wszystkim odpisuje". „Nie no, bez jaj". „E, nie, ja myślę, że my wszyscy mamy takie same zapytania, no serio".

Park Morskie Oko, spacer nocny. Napieram pod górę ze słuchawkami w uszach. Już po północy, ale są psy i ludzie. Siadam sobie na ławce pod Szustrem, a z ukosa wspina się starszy pan z kotem na plecach. „Wyprowadzam zwierza" – uśmiecha się. „No i dobrze" – mówię. „Ja wiem, że tu się przychodzi dla psów, ale nocą wyciągam swoją kotkę i tak sobie pozwalamy, kameralnie". „I świetnie". „A pani kogo wyprowadza?". „Siebie". Śmieje się: „No to ma pani niezłe zadanie". „Owszem, ginące gatunki muszą same się ciągnąć na smyczce". „Czyli że pani wymiera?". „Tak, ale się nie poddaję". Dał mi kotkę na kolana. ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu" i „Idiomy". Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono".

Jedyna mapa, którą znają wszyscy ludzie

Literacka Nagroda Europy Środkowej Angelus od lat pełni funkcję literackiego drogowskazu Europy. To dzięki niej poznajemy nie tylko autorki, autorów i ich dzieła, ale także kontekst tych opowieści.

ANGELUS
LITERACKA NAGRODA EUROPY ŚRODKOWEJ

Emilia Konwerska

Dwa miesiące temu stałam na deptaku w chorwackim Zadarze i podsłuchiwałam ludzi. Trochę też podglądałam. W centrum wszystkiego dostrzegłam mężczyznę z Niemiec, na którego szyi wił się wąż. Na ramionach, przedramionach i na czubku głowy miał kolorowe gołębie. W sumie pięć. W przypływie aktu solidarności z ptakami, które przecież na pewno boją się węża, podeszłam do dwóch mężczyzn obkładających turystów zwierzętami dla pieniędzy. Awantura, którą planowałam wywołać, zakończyła się w momencie, kiedy okazało się, że pochodzą z Charkowa. Na nazwisko „Żadan" zareagowali wielką radością. Nieszczery wykład, który planowałam, bardzo szybko zamienił się w rozmowę o poezji. Dopiero po pewnym czasie zorientowałam się, że stoję z gołębiem na przedramieniu i cytuję z pamięci polskie i ukraińskie wiersze. A przecież miałam się kłócić.

Literacka Nagroda Europy Środkowej Angelus niekoniecznie musi być opowieścią o trudnej historii tego regionu, chociaż oczywiście często bywa. Nie musi koncentrować się na problemie „tożsamości narodowej", który dla wielu osób jest już kategorią z innej epoki. W życiu młodych prekariuszy, Polek w wieku prawie emerytalnym pracujących w Niemczech jako opiekunki, migrantów z Bałkanów, nie ma już zbyt wiele miejsca i czasu na refleksję o Wielkiej Historii. Jest poszukiwanie nowego domu, pracy, bliskich, bezpieczeństwa.

Istnieje opinia, że młodzi ludzie nie gromadzą już wiedzy, ale umieją szybko do niej dotrzeć. Znaleźć to, co dla nich ważne. Osoby, które wyjeżdżają, osoby, które zostają, ale żałują, i te, które cały czas planują wielką podróż, łączy jedno – współtworzą swoją historię i osobistą genealogię z pomocą kultury. Za pomocą swoich własnych odkryć. W ich życiu czas dzieli się na odcinki różnych, zmieniających się fascynacji literackich, uzupełniających i poszerzających mapy ich świata. Moją znajomą siedemnastolatkę z Polski z pracownikiem IT z Kijowa łączy pewnie tylko jedno – oboje czytają książki Elfriede Jelinek. I to właśnie o niej myślą, kiedy słyszą słowo „Austria".

Literacka Nagroda Europy Środkowej Angelus od lat pełni funkcję literackiego drogowskazu Europy. To dzięki niej poznajemy nie tylko autorki, autorów i ich dzieła, ale także kontekst tych opowieści. Poznajemy tak naprawdę, bo spotkanie z książkami takich autorów jak Dubravka Ugrešić jest skokiem w centrum historii, traum, uwikłań, intymności. Czy można zajrzeć głębiej do wnętrza europejskiej winy i żalu, niż zrobił to Martin Pollack? I czy jest lepszy sposób na to, żeby zrozumieć, dlaczego należy mówić „w Ukrainie", a nie „na Ukrainie", niż lektura książek Oksany Zabużko?

W tym roku mamy więc między innymi widok z balkonu w polskim wieżowcu na wieś, gdzie się umiera, na Węgry, w których młodzież jest bardzo zabawna, ale nikt się nie śmieje, na Ukrainę, gdzie wciąż trwa wojna, na Austrię kilka pokoleń wstecz, Mołdawię i jej skomplikowane losy, czy Rumunię, w której najważniejsze jest spotkanie.

A może wszędzie jest ono najważniejsze? W każdym kraju, mieście, pokoleniu? Drogowskaz jest po to, żeby dotrzeć także tam, gdzie nikt nie czeka. Można wystartować z planem pozbawionej sensu kłótni, a skończyć z gołębiem na ręku. Różowym.

Książki, które zostały nominowane, to:
Monika Helfer, **HAŁASTRA** (tłum. Arkadiusz Żychliński);
Andriej Kurkow, **SZARE PSZCZOŁY** (tłum. Magdalena Hornung);
Małgorzata Lebda, **ŁAKOME**;
Tomasz Różycki, **ZŁODZIEJE ŻARÓWEK**;
Oleg Serebrian, **POD PRĄD** (tłum. Radosława Janowska-Lascar);
Tatiana Țîbuleac, **SZKLANY OGRÓD** (tłum. Kazimierz Jurczak)
i **Benedek Totth**, **TRUPI BIEG** (tłum. Elżbieta Sobolewska).

Zdobywcę lub zdobywczynię tegorocznej Literackiej Nagrody Europy Środkowej Angelus poznamy już 19 października.

MATERIAŁ PROMOCYJNY // FOT. RAFAŁ KOMOROWSKI, PIOTR PFLEGEL / WROCŁAWSKI DOM LITERATURY

KULTURA

BEZ ZŁOTEJ RYBKI

GRZEGORZ BOGDAŁ, PISARZ:

Lubię się zmęczyć, lubię, kiedy droga sprawia mi trudność, lubię się ubrudzić, zgubić w lesie i w błocie. A potem niespodziewanie wyjść na otwartą przestrzeń. To niezwykłe momenty uderzenia rzeczywistości.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: W przeciągu miesiąca za tom opowiadań „Idzie tu wielki chłopak" odebrałeś dwie ważne nagrody literackie: Gdynię i Gombrowicza. Imponująca kumulacja. Były wcześniej jakieś inne nagrody?

GRZEGORZ BOGDAŁ: Dawno temu dostałem nagrodę za prozę. Przyznało mi ją pewne Centrum Kultury w Krakowie. To był konkurs literacko-plastyczny rozpisany na różne kategorie wiekowe, ja byłem w tej najstarszej, miałem dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć lat. Poszedłem na ogłoszenie wyników, spodziewałem się, że w miarę równo to się rozłoży, a tymczasem sala była niemal całkiem wypełniona kilkulatkami. I wśród nich ja. Potem ukazała się broszurka z nagrodzonymi pracami: moje opowiadanie znalazło się między rysunkami dzieci. Wygrałem drukarkę, przydała się.

Przyda się też 50 tysięcy za Nagrodę Gdynia i 40 tysięcy za Nagrodę im. Gombrowicza?

Będę mógł zrealizować kilka potrzeb. Od dawna też marzę, żeby zobaczyć USA. A przede wszystkim da mi to większe poczucie stabilności podczas pisania kolejnej książki. Co nie jest zbyt częstym doświadczeniem autorek i autorów. Pisanie wymaga wyrzeczeń. Nie byłbym w stanie utrzymać się z samego pisania. Jak wiesz, obecnie pracuję na część etatu w dziale internetowym „Tygodnika Powszechnego", a wcześniej latami byłem tu korektorem.

Co z ambicjami?

Kiedyś zdarzały mi się momenty takiego zwątpienia: człowieku, po co ty w ogóle tym się zajmujesz, skoro nigdy nie stworzysz czegoś takiego jak Don DeLillo w „Podziemiach" albo „Librze"? Podziwiam język jego opowieści, złożoność i namacalną realność tego świata, zachwyt i trwogę, które DeLillo pomieścił w postaciach. Pomijam kwestię, że to powieści, a ja teraz siedzę w opowiadaniach. To nie ma znaczenia, bo opowiadanie z niczego nie musi się tłumaczyć przed powieścią. Przecież to samo inni robią w krótszych formach: Denis Johnson albo Amy Hempel, którą niedawno odkryłem w „Literaturze na Świecie" w przekładzie Krzysztofa Majera.

No a Ty?

W którymś momencie chyba jednak trochę zmądrzałem i teraz już myślę raczej: tak, DeLillo ma wspaniałe buty, ale niby dlaczego miałbyś być nieszczęśliwy, że ty w nich nie chodzisz? To jego buty, ty masz własne, lubisz je, są wygodne i dobrze ci służą, kto wie, jaką ścieżkę w nich sobie wydepczesz.

Polonistyka na UJ była po to, by jak najwięcej dowiedzieć się na temat literatury?

Poszedłem na te studia, żeby móc czytać do woli, na nic innego nie miałem pomysłu ani ochoty, to mi się wydawało naturalne. Miewam problemy z koncentracją, a chodzenie i książki pomagają mi nad tym zapanować. Uwielbiałem to od dzieciństwa, koło piątego roku nauczyłem się czytać, książki pochłaniałem hurtowo, one dawały mi schronienie. Ojciec przyniósł mi kiedyś trzy książeczki z biblioteki, takie z rysunkami, a ja za chwilę oddałem mu je z informacją, że przeczytałem i proszę o więcej. Odtąd dostawałem grubsze, bez tylu ilustracji. Do pewnych historii w kółko wracałem, najchętniej do „Braci Lwie Serce" Astrid Lindgren.

JACEK TARAN

GRZEGORZ BOGDAŁ
(ur. 1984) jest pisarzem. Redaktor i wydawca strony internetowej „Tygodnika Powszechnego". Za debiutancki zbiór „Floryda" (2017) nominowany do Nagrody Literackiej Gdynia, Nagrody Gombrowicza oraz Nagrody Conrada. W 2023 r. ukazał się jego kolejny tom opowiadań, „Idzie tu wielki chłopak", za który otrzymał Nagrodę Literacką Gdynia i Nagrodę Literacką im. Witolda Gombrowicza oraz nominacje do Paszportów „Polityki", Nagrody Literackiej m.st. Warszawy i Literackiej Nagrody Europy Środkowej Angelus.

Na zdjęciu: w Bieczu, 15 sierpnia 2023 r.

To saga rycerska, w której większość akcji dzieje się w zaświatach. Bohaterami są dwaj bracia, starszy i zdrowy opiekuje się młodszym i chorym.

Utożsamiałem się z Karolem, młodszym i chorym, który dopiero po śmierci zaczyna przeżywać najlepsze przygody. Wszedłem w jego skórę pewnie i dlatego, że sam jako dziecko sporo chorowałem: oskrzela, płuca, zastrzyki, stawianie baniek, leżenie w domu. Może stąd pojawiło się we mnie przekonanie, że ja też nie dożyję dorosłości, nigdy nie będę miał osiemnastu lat. Wpadałem na czarną ścianę, kiedy próbowałem sobie wyobrazić siebie jako nastolatka.

Mroczna wizja.

Wiele lat później przeczytałem „Myszy i ludzi" Steinbecka, tę wspaniałą krótką powieść o przyjaźni, która jakoś koresponduje z „Braćmi Lwie Serce". Książka Lindgren była lekturą na czas dzieciństwa, a Steinbecka na wczesną dorosłość. Dopiero niedawno sobie uświadomiłem, że głębszy wpływ na moje pisanie mogły mieć właśnie „Myszy i ludzie". Ten typ relacji, jaką mają też George i Lennie, tak mi się wydaje, wraca w moim pisaniu w różnych wariantach: osoby związane wzajemną troską, jedna z nich bardziej potrzebuje opieki, jest zależna od tej drugiej.

↦

↦ **Nieprzyjazny świat, w którym trzeba znaleźć sobie miejsce.**

No i zniecierpliwienie, bo wzięcie za kogoś odpowiedzialności, bycie dobrym dla tej osoby może być wyczerpujące. Czasami prowadzi to do okrucieństwa, bywa bolesne, gdy jedna osoba dostrzeże, jak druga się z nią męczy. „Jak mnie nie chcesz, to mogę iść w góry i znaleźć sobie jamę" – mówi Lennie do George'a. Ale może nie trzeba do tego „Myszy i ludzi", tylko tak właśnie wygląda życie, a ta książka najlepiej mi to opowiedziała.

Pierwsza sytuacja, kiedy pomyślałeś, że warto opowiadać historie?

To była piąta, może szósta klasa podstawówki. Na zadanie z polskiego mieliśmy napisać opowiadanie. Nie miałem pomysłu, więc rozwinąłem fragment bajki o złotej rybce. Koncept polegał na tym, że rybka miała zły słuch, więc realizowała inne życzenia niż te wypowiedziane: zamiast „złoto" usłyszała „błoto" i tak dalej. Wszystkie trzy życzenia wynikały z pomyłki językowej. Marzenia się posypały, szansa na odmianę losu przepadła, rybka skończyła na patelni. Nauczycielka kazała mi to przeczytać na głos.

Reakcja klasy?

Zbyt skupiony byłem na tym, by czytając z kartki dobrnąć do końca opowiadania, żeby to zapamiętać. Bałem się jednak, że klasa jest na mnie wkurzona, bo nauczycielka powiedziała, że to jedyne spośród wypracowań, przy którym się nie nudziła. Ale wtedy też przemknęła mi myśl, że pisanie może sprawiać frajdę, że można poruszać, wywoływać reakcje. Tyle że ta myśl się potem głęboko schowała.

Na jak długo?

Byłem dzieciakiem, historia o złotej rybce dała mi frajdę, ale przecież nie myślałem na poważnie ani wtedy, ani długo później, żeby pisać. Miałem gry, komiksy, rower, rzucanie piłką do kosza. Jako szesnasto-, siedemnastolatek wysłałem list do „Nowej Fantastyki" z pytaniem, czy mogę im przysłać coś swojego, bo chciałbym, żeby przeczytał to ktoś więcej poza rodziną i znajomymi. Problem w tym, że nie miałem absolutnie nic, ani słowa. Dostałem odpowiedź od Macieja Parowskiego, żebym przysłał propozycję, choć nie gwarantują publikacji. I żebym następnym razem dołączył znaczek na list zwrotny. Napisałem stronę fantasy o dziewczynie, która panuje nad zwierzętami, nawiązuje z nimi porozumienie.

Chodzi mi o punkt emocjonalny, jedną chwilę, która mówi coś o losie. O to, by pokazać człowieka, jak walczy z tym, co świat próbuje z nim zrobić: przytłoczyć, odebrać nadzieję, unieważnić.

Ciekawe.

Tyle że skończyło się na tej jednej stronie, wtedy już miałem bardziej angażujące sprawy niż pisanie, ale kartkę pocztową z „Nowej Fantastyki" zostawiłem sobie w szafce za szybą, żeby mi służyła za dyplom pozerstwa i przestrogę „nigdy więcej takich akcji". Do dzisiaj nie lubię umawiać się z czasopismami na przysłanie opowiadania, którego jeszcze nie mam, to mnie blokuje.

Żartujesz?

Tylko trochę. Ale wtedy rzeczywiście nie było to pisanie ani myślenie o pisaniu w jakikolwiek sposób podobne do obecnego. Po prostu jedna z rzeczy, których próbowałem, jak granie na gitarze. Chyba nawet bardziej widziałem wtedy siebie jako kogoś grającego ciężkie riffy niż ślęczącego nad kartką. Niestety nie miałem do tego ręki ani słuchu.

Jeszcze czegoś nie umiałeś?

Jeśli coś wtedy sprawiało mi faktyczną trudność, to mówienie. W technikum miałem przez jakiś czas świetną polonistkę, Małgorzatę Strzelecką. Wprowadziła zasadę, że na jej lekcjach nie ma odpytywania, tylko niech sam się zgłasza ten, kto ma coś powiedzenia, i ona za to będzie wystawiać ocenę. Ale ja byłem tak nieśmiały, że się w ogóle nie odzywałem. Kiedy więc przed pierwszym półroczem dostaliśmy kartkę z prognozowanymi ocenami, wyszło na to, że będę miał jedynkę.

Skąd się to brało?

W dużej mierze z problemów z moim głosem, który długo nie chciał się ukształtować, wciąż brzmiał chłopięco. W podstawówce dla mnie i dla klasy, która już mnie znała, to było przeźroczyste. W każdym razie nie odczuwałem, że jakoś odstaję. Dopiero w nowym miejscu usłyszałem sam siebie. Dlatego niewiele się odzywałem, obawiałem się wyśmiania. Po prostu wstydziłem się. Przemęczyłem się tak przez pięć lat technikum. Po czym powiedziałem sobie, że nie ma możliwości, żebym poszedł na studia, jeżeli dalej będę mówił w taki sposób.

I co się wtedy robi?

Najpierw wybrałem się do laryngologa, a ten odesłał mnie do foniatry. To była wysoka, władcza kobieta. Kazała mi odchylić głowę i zanim zorientowałem się, co robi, wsadziła mi do gardła rurę. Nie miałem szans, by zdążyć zareagować. Popatrzyła, co się tam wyświetla na monitorze, a potem pokazała mi, które miejsce tuż pod jabłkiem Adama mam naciskać palcami, kiedy mówię, a wtedy głos się zmieni. I do widzenia. Wizyta trwała pięć minut.

Rezultaty?

Krępowałem się wykonywać to ćwiczenie w sklepie czy gdziekolwiek indziej. Na szczęście to były wakacje, więc siedziałem godzinami w kuchni i czytałem na głos książki – chciałem już wyjść do świata z innym głosem. Wystarczyło to jedno proste ćwiczenie, by w ciągu dwóch tygodni głos obniżył się na stałe. Byłem przeszczęśliwy, bo dotąd sądziłem, że z tym dziecięcym głosem skazany jestem na dożywocie. Ale tak chyba mam, wiele dobrych rzeczy przychodzi do mnie z opóźnieniem.

Co z nami robi takie odzyskanie głosu?

Złapałem oddech. Przyszła potężna ulga. Mogłem się odzywać do ludzi, wiedząc, że będą słuchać tego, co mówię, a nie jak. Nie znaczy, że cała nieśmiałość ze mnie nagle spadła. Lęk się odkłada i nawet gdy zniknie jego przyczyna, to ciało jeszcze z rozpędu albo przyzwyczajenia przez jakiś czas reaguje po staremu, jakby nie nadążało za zmianami.

Dalej nie jesteś gadatliwy.

Ale teraz to już wybór sposobu komunikowania się. Trochę mnie bawi, kiedy ktoś zwraca mi uwagę, że jestem mało-

mówny. I w ogóle to oczekiwanie wobec ludzi, że niezależnie od momentu i okoliczności powinni się obszernie wypowiadać. Widocznie tyle mam do powiedzenia, a jak komuś mało, niech sobie dorzuci przymiotników.

Mimo tego opowiesz o swoim pisarskim warsztacie?

Najwięcej czasu zajmuje mi opracowywanie pomysłu. Bywa, że jest to dla niego próbą, czy przetrwa. Jeżeli wciąż do mnie wraca, rozwija się, to znaczy, że warto się tym zająć. A niektóre pomysły same się kurczą i gasną. Dobrze, jeśli zostają z nich skrawki do wykorzystania w innych tekstach. Więc tak: nie wszystko, co przyjdzie do głowy, jest warte zapisania, trzeba temu dać dojrzeć albo zginąć.

A same postaci?

Przyglądam się bohaterom, sprawdzam reakcje w różnych sytuacjach, czasami przypomina to oglądanie scen z filmu. Jeśli uznaję, że postać zachowuje się wiarygodnie, a jej historia mnie obchodzi, to znaczy, że jestem na dobrej drodze. To jest połączenie pracy reżysera, aktora, scenarzysty i operatora kamery, tylko całą tę produkcję trzeba zmieścić w swojej głowie.

Długo to trwa?

Czasami wystarczy kilka tygodni czy miesięcy, a czasami muszę rok albo dwa lata poczekać, aż coś zaskoczy i historia ruszy wraz z postacią. Tego wszystkiego jednak nie ma bez pracy nad zdaniem, to jest podstawa. Mniej więcej wiem, do czego chcę doprowadzić. Ale to nie znaczy, że znam fabularne zakończenie historii. Bardziej chodzi mi o punkt emocjonalny, jedną chwilę, która mówi też coś o losie. O to, by pokazać człowieka, jak walczy z tym, co rzeczywistość próbuje z nim zrobić: przytłoczyć, odebrać nadzieję, unieważnić. Chciałem napisać historie o oporze, jaki ludzie stawiają tej sile, niekiedy nieporadnym albo dziwacznym, ale w tak nierównej sytuacji mają prawo dowolnie się bronić.

Pomysły na opowiadania rodzą się w czasie wędrówek po Beskidzie Niskim?

Rzadko. Chodzenie, dzięki odprężeniu, jakie daje, raczej pomaga mi w rozwinięciu tych już istniejących. Poza tym nie traktuję tych wyjazdów jako części pracy – udaję się tam bez tego rodzaju oczekiwań, to miejsce i tak oferuje mi dużo, a jeśli przy okazji wpadnę na jakiś pomysł, to znakomicie.

Czemu Beskid Niski?

Po raz pierwszy na wspólne wakacje z Urszulą Honek, dziś już moją żoną, pojechaliśmy tam 10 lat temu. Nie mieliśmy wtedy samochodu, ja nawet nie miałem prawa jazdy, więc byliśmy zmuszeni poruszać się wszędzie pieszo. To był wrzesień, już po sezonie, mało ludzi, spokój, bardzo nam odpowiadały te puste krajobrazy. Od tego czasu wracamy w Beskid regularnie, chyba już go zadeptaliśmy. Tam odrywam się od wszystkiego innego. Lubię się zmęczyć, lubię, kiedy droga sprawia mi trudność, lubię się ubrudzić, zgubić. Powalone drzewa, chaszcze, słabe oznakowanie szlaków, sprawdzanie, czy droga zgadza się z mapą. W pewnym momencie mam już tego dość. Lecz kiedy trafię na drogę, która okaże się zbyt łatwa i można ja przejść suchą stopą, to jestem zawiedziony.

Najbardziej zachwycające tam miejsca?

Trochę o nich napisałem w „Idzie tu wielki chłopak". Np. wychodzisz z lasu na otwartą przestrzeń i widzisz, jak orzeł zrywa się z traw. Albo gęsty las w czasie ulewy, wszystko parowało, olbrzymie liście łopianu wpychały się na ścieżkę, byłem zupełnie przemoczony, wydawało mi się, że idę przez dżunglę, nie przez jakiś tam las na południu Polski. Pierwsze przejście przez Nieznajową. Listopad na łąkach nad Krzywą, mgła i białe drzewa, bo był już śnieg. Koszmarny, ciemny las, którym chcieliśmy się dostać do Lipnej i w którym pobłądziliśmy.

Da się jeszcze bardziej esencjonalnie?

Jesteś w ruchu i coś cię nagle dopada. Nie zawsze jest to przyjemne, ale to moment prawdziwego doznania. Nie ma w pobliżu sklepów, domów, przychodni, jesteś sam z tym, co poczułeś. Trudno w opisie oddać istotę tego, ale to niezwykłe momenty uderzenia rzeczywistości.

Rzeczywistości, która zasila literaturę?

Zasila albo wdziera się do niej. Przenoszę niekiedy z życia do tekstów emocje, troski i zdarzenia, ale po drodze je ↦

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

W ramach Festiwalu Conrada odbędzie się spotkanie z **GRZEGORZEM BOGDAŁEM**, 22 października o 17.00 w Pałacu Potockich (Rynek **Główny 20**)

Nasz Lektor polecał:

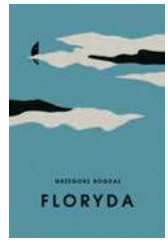

FLORYDA

Groteska, świat zasługujący jedynie na szyderstwo i kpinę? Owszem, ale narratorzy prozy Bogdała budzą w nas w miarę lektury coraz więcej empatii i współczucia. Bo to przecież jest nasz świat! Przypadek, który rządzi naszymi losami, sprawił, że parę tygodni temu pisałem o „Słonecznym mieście" – powieści Tove Jansson, twórczyni Muminków. Ta powieść dzieje się na Florydzie, w jednym z *sun cities*, w którym dożywają swoich dni zamożni amerykańscy emeryci. U Bogdała tytułowa Floryda – nieziszczalne marzenie o idealnej przyszłości – stanowi jeden z wątków spajających całość. Dzięki Jansson wiemy, że to wytęsknione miejsce też może okazać się pułapką. I tego się trzymajmy.

IDZIE TU WIELKI CHŁOPAK

„Planeta obracała się z trudem" – przedostatnie zdanie książki mogłoby być mottem całości. Klimat jest tu nie tyle może mroczny, ile mglisty, deszczowy, wilgotny. Bywa błotniście, a stado dzików zamienia osiedlową ulicę w babrzysko. Bohaterowie są osobni, z trudem nawiązują relację z drugim człowiekiem, czasem zupełnie z niej rezygnują. W tym świecie wszystko niemal okazuje się uciążliwym wyzwaniem, jak ów kamień nerkowy, który Szymon ma urodzić, i nic się na ogół nie udaje. Tak, rzeczywistość w której pojawia się „Wielki chłopak", nie jest wesoła, raczej szara niż kolorowa, czasem wręcz przerażająca, ale za to jak opisana! ©℗ TF

↦ przerabiam, umieszczam w innych kontekstach. W „Idzie tu wielki chłopak” jedno opowiadanie pt. „Dziwne rzeczy” jest w miarę wiernym zapisem pewnej sytuacji: o tym, jak rodzina stłoczona w małej kuchni czeka, aż w pokoju obok, gdzie umiera ciotka, pielęgniarce uda się wkłuć z kroplówką. Generalnie jednak zajmuję się wymyślaniem, a jeśli opowiadam coś choćby w części prawdziwego, dbam, żeby czytelnicy dostali dobrą historię, a nie wyznanie.

Bohater „Dziwnych rzeczy” potrafi lewitować.

Kiedy pisałem ten zbiór, miałem zastój, więc zacząłem szukać głupot w internecie. Znalazłem instruktaż do sztuczki, jak się ustawiać, by wywołać u kogoś wrażenie, że się unosisz. Trzeba ustawić się pod odpowiednim kątem, tak żeby jedna stopa była bardziej schowana, i unieść się na palcach, co daje wrażenie, że obie się odrywają od podłogi. Nie pokażę ci tej sztuczki, dawno jej nie ćwiczyłem, a poza tym jestem w spodniach z wąskimi nogawkami, a do niej lepsze byłyby szerokie. Ale jak pokazałem to Uli, naprawdę się wystraszyła.

Urszula Honek za „Białe noce”, zbiór opowiadań, również dostała niedawno sporo nagród. Obawiacie się, że wasze pisanie i sukcesy będą porównywane?

To radość, kiedy ktoś najbliższy zostanie doceniony. A czy „Białe noce” są zbiorem opowiadań czy powieścią, chyba jeszcze nie zostało ostatecznie ustalone – zależy, kogo zapytać. Ale nie, nie mam takich obaw, nie zaglądamy sobie przez ramię w czasie pracy. Jeśli usłyszymy o czymś, co oboje chcemy wykorzystać w tekście, decyduje, kto pierwszy zawoła „rezerwuję!”, ewentualnie prowadzimy negocjacje. Znów trochę jak z filmami: może i oboje kręcimy właśnie komedię, potrzebujemy podobnych narzędzi, kamer i tak dalej, ale każde z nas używa ich po swojemu, to są odrębne światy, nie podbieramy sobie aktorów, mamy osobne wytwórnie. Spotykamy się na premierze.

© Rozmawiała
KATARZYNA KUBISIOWSKA

Scena ze spektaklu „Wojna i pokój” w reżyserii Janusza Opryńskiego. Katowice, 25 września 2024 r.

Myślą, mową i uczynkiem

DARIUSZ KOSIŃSKI

Wojna i śmierć jako rozwiązania bezwzględnie racjonalne? W Teatrze Śląskim opowiadają o nich Tołstoj i Tukidydes. Nie, wojna to nie przypadek i patologia, a śmierć jest i należy się nią przejmować.

Mówi się nieustannie. Od mówienia nie ma ucieczki, zwłaszcza odkąd utrwalił się zwyczaj korzystania z komórek w trybie głośnomówiącym. Wszyscy wokół gadają: na ulicach, w samochodach, w pociągach i autobusach, w lasach i w górach, na wiecach, na uczelniach, na komisjach, w telewizyjnych pseudodebatach i podcastach. Gadanina stała się chorobą cywilizacyjną, bo nigdy jeszcze w dziejach ludzkości tak wielu nie miało tak wiele narzędzi i okazji do mówienia.

Skoro wszyscy mówią, to sztuka mówienia, której przybytkiem był w Europie tradycyjny teatr literacki, traci znaczenie. Z mową sceniczną jest coraz gorzej, bo po co ćwiczyć szczególną emisję głosu, skoro jest mikroport, i po co dbać o dykcję, skoro dobra dykcja odbierana jest jako sztuczna i wyniosła. Teatr, który chce być blisko współczesności, mówi niewiele lepiej niż ona, tyle że czasem znacząco milczy i z lubością rzuca się w drugą skrajność – wyznanie odwołujące się do traum. Między ciszą a spowiedzią więdnie w nim myśl, której przecież słowo jest podstawowym narzędziem. Teatr tak jak my – przestaje sensownie zabierać głos i staje się jak „płacz kochanków w małym brudnym hotelu, kiedy świtają tapety”.

PRZEMYSŁAW JENDROSKA / MATERIAŁY PRASOWE TEATRU ŚLĄSKIEGO

Dlaczego klasycy

Trudno nie przypomnieć sobie Herberta, gdy ogląda się „Wojnę i pokój" ze scenariuszem i w reżyserii Janusza Opryńskiego, którą Teatr Śląski w Katowicach wystawił 27 września jako pierwszą premierę nowego sezonu. Także dlatego, że w scenariuszu znalazły się fragmenty „Wojny peloponeskiej". Dzieło Tukidydesa jest w podtytule wymieniane jako druga obok powieści Tołstoja podstawa przedstawienia. To od niego pochodzi archetypowa i zarazem bezwzględna narracja o wojnie jako stałym elemencie ludzkiej egzystencji. Fragmentów „Wojny peloponeskiej" wykorzystano w sumie niewiele, ale nie ulega wątpliwości, że w tym, co tu najważniejsze, czyli w procesie myślenia, okrutna w swej bezwzględności diagnoza Tukidydesa nieprzesłaniającego żadnymi pięknymi słówkami logiki wojny, odgrywa znaczącą rolę.

Z powieści Tołstoja Janusz Opryński wziął przede wszystkim akty mowy: rozmowy, spory, wyznania i wyrzuty. Romanse, wybuchy namiętności, wojenne przygody, zabiegi o majątki, walki ojców i dzieci, pojedynki i inne melodramatyczne wypadki decydujące o atrakcyjności fabuły zostały przez niego zepchnięte na drugi plan – pojawiają się, ale podejrzewam, że ci, którzy Tołstoja nie czytali, mogą mieć spory problem ze zrozumieniem, co się tu komu wydarzyło. Bo też to, co się komu wydarzyło i co kto zrobił, ma w tym przedstawieniu o wiele mniejsze znaczenie, niż to, co kto powiedział.

Dla osób znających wcześniejsze przedstawienia Janusza Opryńskiego, zwłaszcza te zrealizowane z kierowanym przez niego Teatrem Provisorium, nie jest to zaskoczenie. Jest on jednym z niewielu wciąż aktywnych, a przede wszystkim – wciąż wiernych przyjętym założeniom twórców kiedyś wielkiego, a dziś przez wielu uznawanego za rozdział całkowicie zamknięty teatru studenckiego, potem nazywanego alternatywnym. Działając w nim od połowy lat 70., należał do grupy artystów nieco młodszych od założycieli Teatru Ósmego Dnia, ale rozwijających idącą od niego linię zaangażowanego politycznie, etycznie i społecznie teatru niedramatycznego, lecz wciąż przywiązującego ogromną wagę do szczególnego słowa i odpowiedzialności za nie.

Jego twórcy, wychowani w okresie pomarcowym, wchodzący w życie w latach 70., byli wyjątkowo wrażliwi na kłamstwo, propagandę i inne przypadki nadużywania słowa. Ponieważ wcześnie zderzyli się z mową jako zasłoną prawdy, więc bardzo uważali, co i jak sami mówią. Tworzyli teatr myślącego mówienia, wyrastający z intelektualnej tradycji seminariów uniwersyteckich i politycznych dysput.

Po bojowym okresie lat 70. i 80. twórcy ci obrali różne drogi. Wielu z nich weszło w teatr zawodowy, czasem rozstając się z dawnym stylem i wartościami, co uzasadniali tym, że młodość się skończyła i czas dorosnąć do „normalnego" teatru. Kilku zachowało jednak dawny charakterystyczny styl, mimo że na przełomie stuleci nie cieszył się on szczególnym uznaniem.

Janusz Opryński bardzo długo pozostawał w kręgu alternatywy, do którego jednak udawało mu się przyciągać widzów spoza tej szczególnej niszy. Największym tego rodzaju sukcesem była adaptacja „Braci Karamazow" (2011), wystawiona siłami Provisorium i artystów zaproszonych z zewnątrz, także z teatrów repertuarowych. Równolegle był i jest Opryński ważną postacią życia kulturalnego Lublina jako wieloletni dyrektor programowy tamtejszego Centrum Kultury oraz dyrektor Międzynarodowego Festiwalu „Konfrontacje Teatralne". Będzie też miał na pewno sporo do powiedzenia w kwestii programu Europejskiej Stolicy Kultury 2029, którą Lublin właśnie mianowano.

W teatrze zawodowym Janusz Opryński jest wciąż przybyszem ze świata alternatywnego. Nie zmienia jednak swojego specyficznego stylu i właśnie to sprawia, że praca z nim to zawsze pewne wyzwanie i ryzyko. W Katowicach znakomicie się ono opłaciło.

Niekończąca się wieczerza

Filary tego sukcesu widzę dwa: adaptacja i zespół aktorski. Adaptator jest zarazem doświadczonym reżyserem, może więc stworzyć z monumentalnej powieści ledwie stuminutowe przedstawienie, które nie tylko przywołuje najważniejsze punkty epickiej fabuły, ale też poddaje je wciągającemu i postacie, i widzów scenicznemu procesowi.

Nie byłoby to możliwe bez myślących żywą mową i ciałem osób aktorskich współtworzących przedstawienie. Teatr Śląski ma jeden z najlepszych zespołów w Polsce. Że „Wojna i pokój " będzie przedstawieniem zespołowym, wiemy od pierwszych chwil, bo wchodząc na salę widzimy już niemal wszystkich grających, siedzących za stołem długim na niemal całą szerokość sceny. Gdy światło zmienia się na sceniczne, do sali wchodzi narrator (Artur Święc), robi nieruchomym biesiadnikom kilka szybkich zdjęć i w ten sposób sprawia, że ożywają. Ta sekwencja to dość oczywista aluzja do scen świetnie znanych z „Wielopola, Wielopola" Tadeusza Kantora, gdzie Wdowa po Fotografie niesamowitą machiną łączącą aparat i karabin maszynowy zabijała zgromadzoną na scenie rodzinę, a całe przedstawienie kończyła sekwencja nawiązująca do Ostatniej Wieczerzy. Opryński jakby odwraca tę sytuację i zamiast usiłować daremnie zatrzymywać martwą kliszę pamięci, ożywia ją.

Wszyscy, którym powieść Tołstoja kojarzy się z duszoszczipatielnymi nastrojami, kobietami kochającym na śmierć, straceńczymi gestami kipiących z namiętności mężczyzn i innymi stereotypami, którymi wybrukowane jest hollywoodzkie piekło wyobrażeń ↦

↦ o Rosji, będą rozczarowani. Zwłaszcza bal u Rostowych ma znamiona wręcz demonstracyjnej prowokacji: zamiast wspaniale arystokratycznego tańca – trochę podrygujących chaotycznie ciał przeczących zasadom kinowej choreografii, a zamiast eksplodujących emocji – mówienie o nich i niemal natychmiastowe poddawanie wszystkiego, co się wydarza, refleksji dobijającej się najgłębszego sensu w nawet najbardziej trywialnych wypadkach.

Opryński niekiedy ociera się tu o inny banał – ten, który w polskim teatrze był pokłosiem świetnych przecież inscenizacji wielkiej rosyjskiej literatury, przede wszystkim, choć nie tylko, Dostojewskiego. Gdy Andrzej Wajda pokazał, co z jego powieści można wydobyć, przez pewien czas zapanowała w polskim teatrze moda na przedstawienia, w których ludzie na scenie strasznie męczyli ludzi na widowni, analizując godzinami to, jak strasznie męczą się grane przez nich postacie. Takich przedstawień sporo było w latach 80. i chwilami ich powidoki stawały mi przed oczyma w Katowicach. Ale były to chwilki króciutkie, bo widma zaraz egzorcyzmowała celność adaptacji, wielowymiarowe aktorstwo oraz reżyseria czerpiąca swobodnie ze środków właściwych scenom współczesnym.

W Katowicach Opryński znalazł współtwórców, dzięki którym coś, co mogło być przedstawieniem anachronicznym, stało się zapowiedzią jakiejś nowej możliwości sensownej teatralnej wypowiedzi.

O wojnie, którą toczymy

Oglądamy esej teatralny, który nie przynosi żadnej jednoznacznej odpowiedzi, nie prowadzi do mocnej konkluzji, ale wprawia w ruch i drżenie rywalizujące ze sobą idee i wiary, skłaniając do wyjścia poza przekonanie o własnej racji i (dziś szczególnie politycznie zabójczej) konieczności kurczowego trzymania się jej. Stanowi doświadczenie podróży przez to, co przecież znamy, ale o czym właśnie staramy się usilnie nie myśleć.

To coś w przypadku katowickiego przedstawienia dotyczy: wojny i pokoju, miłości i winy, domu, historii, Boga i jeszcze wielu innych, także drobnych rzeczy. Ale sednem, które sprawia, że uciekamy przed myśleniem o tym wszystkim, jest nieuchronne odnoszenie tych spraw do tej jednej – śmierci. Nie jest to jednak jej teatr, właśnie dlatego, że o śmierci się tu mówi i myśli. Wojnie i śmierci przeciwstawić da się tylko miłość i tworzone przez nią związki z innymi ludźmi, oraz wiarę i umożliwiane przez nią odniesienie do Boga.

Wszystko to tworzy sieć, w której szamoczą się, a w końcu niekiedy wypadają z niej w nicość postacie tego przedstawienia. Żadna z nich nie odnajduje i nie daje nam jakiegoś rozstrzygnięcia, jakiejś odpowiedzi. Lecz każda z uporem usiłuje zrozumieć, a więc wypowiedzieć, sens tego, czego doświadcza. To właśnie nam ofiarują, do tego zapraszają – żebyśmy nie tylko toczyli te wszystkie boje, w które zostaliśmy wrzuceni lub sami się wrzucamy, ale żebyśmy też nie ustawali w próbach wypowiedzenia ich sensu.

Wojna i śmierć są w tym procesie traktowane bardzo serio – jako rozwiązania bezwzględnie racjonalne. Tołstoj i Tukidydes opowiadają o nich w sposób radykalnie odmienny od dominującego we współczesnych narracjach przymilnie pocieszającego tonu. Nie, wojna to nie przypadek i patologia, śmierć jest i należy się nią przejmować. W katowickim przedstawieniu obie są twardym elementem ludzkiej rzeczywistości, nieuniknionymi stałymi. Dlatego trzeba podjąć próbę nadania znaczenia życiu, które im się przeciwstawia. Bez patetycznych humanistycznych przemówień i bez aż bolących banałów, że miłość pokona wszystko.

W finale spektaklu Natasza (Aleksandra Fielek) i Pierre (Michał Rolnicki), siedząc za stołem nad resztkami wieczerzy zniszczonej przez wojnę, powtarzają wyznania miłości. Choć nie zmieniają tonu słów, każde powtórzenie osłabia moc tych wyznań, podważa je, zamienia w coraz bardziej rozpaczliwe zaklęcia przeciwko temu, co wszak nieuchronne. Bezradność i heroizm, ucieczka i ocalenie splatają się w ludzki, arcyludzki węzeł.

Konfrontacja z nim, podjęcie próby sensownego i pozbawionego łatwych pocieszeń mówienia o tym, co pod powierzchnią wszechobecnej gadaniny trzyma nas za gardło, sprawia, że doświadczenie teatralne staje się ożywcze, a dawna alternatywa zyskuje nowy sens.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

Życiowa rola smoka Diplodoka

REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

Z metra cięty, o łusce trawiastozielonej, uszach wielkich, oklapłych. W pyszczku zupełnie niegroźny. Od czterech dekad bawi miłośników historyjek obrazkowych. „Podróż smokiem Diplodokiem" teraz trafia do kin.

Wykorzystanie nośnego mema uważam w tym wypadku za uzasadnione: „Brat summer się skończyło, czas na Diplodocus autumn". I to uzasadnione w dwójnasób. Po pierwsze, nie ma w nim ani krzty przesady, bo po imprezowym lecie – tegoroczna jesień upłynie pod znakiem spotkań z twórczością Tadeusza Baranowskiego. W końcu nie tak dawno w łódzkim Centrum Komiksu i Narracji Interaktywnej otwarto poświęconą klasykowi polskiego komiksu wystawę „Śmieszy, tumani, przestrasza". Na ekrany kin zawitała właśnie adaptacja jego najważniejszych utworów, animowana superprodukcja „Smok Diplodok".

Po drugie, nawiązanie do fenomenu „pokolenia Z" odzwierciedla ponadczasowość komiksów Baranowskiego. O ile „Koziołek Matołek" z hukiem wyleciał z kanonu, „Tytusa, Romka i A'Tomka" podtrzymuje przy życiu nostalgia dzisiejszych pięćdziesięciolatków, a „Kajkowi i Kokoszowi" skórę uratowało wciągnięcie na listę lektur obowiązkowych, o tyle komiksy zaginionego członka bandy Monty Pythona przez lata nie straciły na relewantności. Tytuły, takie jak „Antresolka profesorka Nerwosolka", „Skąd

MATERIAŁY PRASOWE STOWARZYSZENIA NOWE HORYZONTY

Kadr z filmu „Smok Diplodok", 2024 r.

się bierze woda sodowa" czy też „Co w kaloryferze piszczy", bynajmniej nie zmurszały – zamiast cuchnąć naftaliną, nieprzerwanie niosą ożywczy powiew.

Praktyczny Pan

Tadeusz Baranowski urodził się w 1945 r. w Zamościu. Od małego ciągnęło go do rysunku. Trudno się dziwić, wychowywał się w domu, w którym sztuka była na porządku dziennym; jego ojciec był rzeźbiarzem i dyrektorem lubelskiego plastyka.

Dyplom ASP był mu po prostu pisany. Przez studia na Wydziale Grafiki i Malarstwa przebrnął przebojem jak Nerwosolek przez Mgławicę Oriona. Młody Baranowski specjalizował się w malarstwie abstrakcyjnym, lecz pustka w portfelu pchnęła go ku grafice użytkowej. Na potrzeby czasopisma „Przyjaciółka" tworzył czarno-białe ilustracje do artykułów. Z czasem zaczął parać się także projektowaniem okładek oraz przygotowywaniem makiet.

Tym sposobem wszedł na ścieżkę, która zaprowadziła go wprost do święcącego triumfy (w szczytowym momencie wydawanego w nakładzie przekraczającym 400 tys. egzemplarzy) „Świata Młodych". To właśnie za layout młodzieżowego czasopisma, na długo przed srebrnym medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis" (2007), przyznano mu brązowy Krzyż Zasługi.

PAWEŁ PRZYBYSZEWSKI / FORUM

Tadeusz Baranowski przed premierą filmu „Smok Diplodok". Warszawa, 2 października 2024 r.

Historyjki obrazkowe były ważną częścią „Świata Młodych". Na jego łamach publikowano prace m.in. Papcia Chmiela, Szarloty Pawel oraz Jerzego Wróblewskiego. Baranowski dołączył do tego grona w 1975 r., rysując komiks „Ten piekielny Barnaba" do scenariusza Jerzego Dąbrowskiego. Przygody dobrodusznego lwa były zaledwie wprawką przed prawdziwym wyzwaniem, jakim była autorska seria „Opowieści pradziadka Hieronima, wieczór pierwszy". To w niej zadebiutowali ciamajdowaci rewolwerowcy Kudłaczek oraz Bąbelek, pragnący za wszelką cenę odnaleźć ujęcie ich ulubionego napoju – wody sodowej. Bohaterowie na drodze do bąbelkowej oazy trafiali na wszelkiej maści oryginałów: od indiańskiego wodza Wielkiego Niepokoju, przez obłędnego rycerza Don Chichota oraz jego giermka Sączy Pącza, po wampiry, dżina, potwora morskiego, słowem, szereg fantastycznych stworzeń. Baranowski znał się na kreśleniu osobliwych figur jak Diplodok na podróżach w czasie i przestrzeni.

Badając teksty krytyczne poświęcone legendzie „Świata Młodych", można dojść do wniosku, że do jego twórczości przylgnęły na dobre przymiotniki „absurdalny", tudzież „surrealistyczny". Rzeczywiście, zbzikowane perypetie Kudłaczka, Bąbelka i ich rówieśników sytuują się gdzieś na przecięciu „Latającego cyrku Monty Pythona" oraz „Żółtej łodzi podwodnej" George'a Dunninga.

Baranowski uwielbiał stawiać swoich bohaterów w niecodziennych sytuacjach. Dlatego trzpiotowaty superbohater Orient Men wdał się w spór z Inuitą o niesprawny kaloryfer, Diplodok oraz czarodziej Hokus Pokus padli pastwą figlarzy z Państwa Figlów Miglów, a roztrzepany profesor Nerwosolek i jego rezolutna asystentka-gospodyni Entomologia Motylkowska przemierzyli wszechświat ↦

Kadr z filmu „Smok Diplodok", 2024 r.

MATERIAŁY PRASOWE STOWARZYSZENIA NOWE HORYZONTY

↦ wzdłuż i wszerz, zaczynając od wnętrza Ziemi, na kosmosie kończąc.

To może zakrawać na panegiryk, ale trudno mi powstrzymać się przed stwierdzeniem, że wśród twórców literatury fantastycznej Baranowski powinien zajmować pozycję równorzędną Terry'emu Pratchettowi.

Ecie-pecie o humorze i kolorze

Był nie tylko wybornym fantastą, lecz także znakomitym kawalarzem. Specjalizował się w slapstickowych gagach, jednakże najwięcej frajdy sprawiają jego dowcipy. Komizm słowny przybiera u Baranowskiego różne postaci – raz są to zabawy z homonimami (ślusarz wezwany do odbudowy królewskiego zamku), innym razem semantyczne przekształcenia przenośni (miejska dżungla zamieszkiwana przez „słonia dachowca"), jeszcze innym razem eksperymenty z paronomazją (Sherlock Bombel poszukujący zaginionego lontu [Tadeusza] Atlantydy). Humoreski ojca Diplodoka są fenomenem tyleż literackim, co komiksowym.

Baranowski dał się poznać jako wybitny praktyk opowieści obrazkowych, wykorzystujący możliwości medium w sposób niespotykany wcześniej w rodzimych utworach. Jego bohaterowie nie tylko ustawicznie burzą czwartą ścianę, podejmując dialog z autorem, lecz także zacierają granicę między treścią i jej ramą, skacząc z planszy na planszę, „przebijając" strony, czy też dryfując w przestrzeni między kadrami.

Skoro o kadrach mowa – Baranowski chętnie kwestionował ich granice. Przekształcał je do woli; wydłużał, rozszerzał, obracał i skręcał. Nowatorski był także sposób ich rozmieszczenia. Zdarzało się, że sprzecznie z intuicją zmieniał orientację strony lub wywracał kierunek czytania (od prawej do lewej, od dołu do góry).

W wypadku odznaczonego rysownika formalne harce współgrały z fantazyjną treścią. Charakterystyczne dla jego pierwszych prac stały się przedstawienia bujnej roślinności, która rozpościerała się szeroko na stronicach, oplatając kadry. Powykręcane gałęzie, różnego kształtu liście oraz wielorakie kwiaty: koszyczki, talerzyki, dzwonki i kłosy tworzyły barwną scenerię dla dracznych przygód Nerwosolka i mu podobnych.

Baranowski nie szczędził w swoich komiksach koloru; rysunki okraszał nieoczywistymi odcieniami (ach te fuksje!), bawił się półtonami oraz gradientami. Mimo że w jego dorobku znajdują się tytuły narysowane zgodnie z frankofońską regułą quasi-realizmu (powstała z myślą o rynku belgijskim „Historia wyssana z sopla lodu"), to jego nadrealne światy odwiedzane są przez miłośników komiksu najchętniej.

Na co dybią animatorzy

Próbuję sobie wyobrazić, jak potoczyłyby się losy Baranowskiego, gdyby urodził się na amerykańskiej ziemi. Może zostałby okrzyknięty następcą Winsora McCaya. Może jego komiksy rozeszłyby się na pniu, a może wręcz przeciwnie – przyzwyczajona do skonwencjonalizowanych opowiastek o Archiem i superbohaterszczyzny klientela uznałaby je za zbyt awangardowe i odłożyła między szpargały. Kto wie, może trafiłyby na ekran mały (Kudłaczek i Bąbelek z powodzeniem mogliby występować w sitcomach studia Hanna-Barbera) lub duży (stawiam dolary przeciwko orzechom, że Don Bluth z serią o Fruwaczkach zdziałałby cuda).

Pewne jest jedno: bez względu na obywatelstwo autora „Podróże smokiem Diplodokiem", „Antresolka profesorka Nerwosolka", a nawet „Bezdomne wampiry o zmroku" posiadają filmowy potencjał. W latach 80. Studio Filmów Rysunkowych w Bielsku-Białej (rodzimy gigant odpowiedzialny m.in. za „Reksia" oraz „Bolka i Lolka") dwukrotnie podjęło się próby ekranizacji Baranowskiego. Krótkometrażowe „Przygody profesora Nerwosolka" świata nie zawojowały. Szansę

na to ma jednak najnowsza adaptacja komiksów klasyka – „Smok Diplodok".

Produkcyjne perypetie filmu Wojciecha Wawszczyka są równie zawiłe, co droga prowadząca do źródła wody sodowej. W głowie reżysera, skądinąd uznanego komiksiarza i animatora z hollywoodzkim stażem, pomysł na przełożenie narzecza Baranowskiego na język kina zrodził się jeszcze w czasach studiów na łódzkiej filmówce. Wówczas, wychowany na „Podróżach smokiem Diplodokiem", miał przyjemność spotkać swojego idola i złożyć mu obietnicę ekranizacji ukochanych historii. Do jej spełnienia przystąpił w okolicach 2012 r., kiedy połączył siły z producentem Maksem Sikorą w studiu Human Ark (dziś Human Film). Przez osiem lat trwały prace nad scenariuszem oraz tworzenie projektów plastycznych, jak i żmudne poszukiwania inwestorów.

„Film z takim rozmachem, realizowany w sposób, jaki robią to duże studia, w naszym kraju jeszcze nie powstał. Aby taki projekt się udał, potrzeba było wielkiego budżetu. Tymczasem niewiele instytucji chciało zaryzykować takie pieniądze, ponieważ nie było uprzednio dowodu, że jest to w ogóle wykonalne" – stwierdził reżyser, wskazując na błędne koło, w którym tkwi rodzima branża animacji.

Dzięki Orient Menowi, budżet udało się spiąć. Niestety w chwili, gdy produkcja miała ruszyć z kopyta, nastała pandemia covid-19. Wraz z pierwszym lockdownem liczące sześć osób grono animatorów utknęło w domach.

„Po pół roku mieliśmy około dwudziestu jeden sekund filmu. Byliśmy załamani" – wspomniał Wawszczyk. Dopiero w 2021 r. produkcja zaczęła przyspieszać, a jej skala rosnąć. Nad filmem pracowały nie tylko osoby, które z bohaterami Baranowskiego beczkę soli zjadły (m.in. uznani twórcy komiksów, tacy jak Tomasz Leśniak, Michał Śledziński, Janusz Ordon i Marek Oleksicki), lecz także przedstawiciele pokolenia wyrosłego na skrajnie odmiennych tekstach kultury, dla których Nerwosolkowo było nieznanym lądem.

Mimo że Baranowski nie brał czynnego udziału w produkcji filmu, reżyser na bieżąco informował go o postępach prac. Obdarzył filmowców bezgranicznym zaufaniem. W końcu, jak sam przyznał, swoją wersję Diplodoka miał już okazję stworzyć. Teraz przyszła kolej na Wojciecha Wawszczyka.

Lord Hokus-Pokus i Smok Diplodok, bohaterowie komiksu „Podróż Smokiem Diplodokiem", rys. Tadeusz Baranowski, 1986 r.

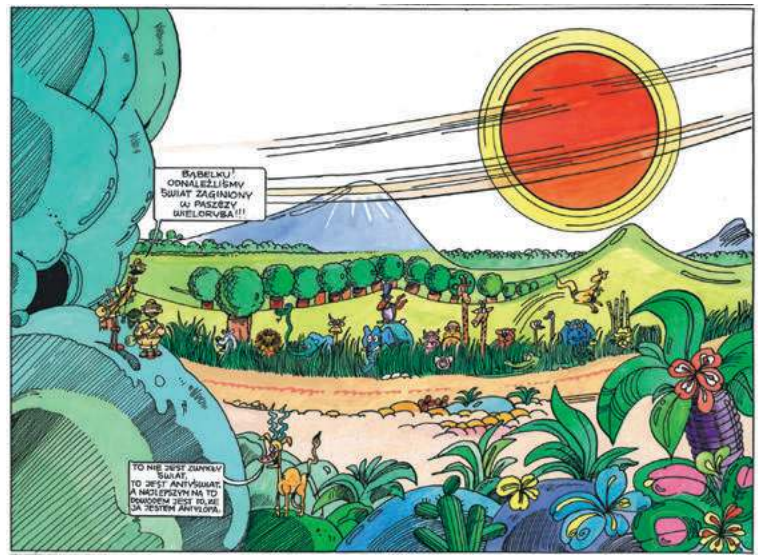

Bąbelek i Kudłaczek (po lewej na skale) na tle krajobrazu wykreowanego przez Tadeusza Baranowskiego w komiksie „Skąd się bierze woda sodowa". Warszawa, 1982 r.

MATERIAŁY PRASOWE WYDAWNICTWA ONGRYS X2

Wejście smoka

„Stwierdziliśmy, że dla dobra zarówno komiksu, jak i filmu nie możemy przełożyć go jeden do jednego" – przyznaje reżyser „Smoka Diplodoka". Animacja i komiks, choć pozornie podobne, znajdują się jednak na antypodach. Zamiast kurczowo trzymać się pierwowzoru, Wawszczyk postanowił popuścić wodze fantazji (to przecież nauka pobrana od samego mistrza) i na kanwie „Podróży smokiem Diplodokiem" oraz „Antresolki profesorka Nerwosolka" opowiedzieć osobną, bo osobistą, historię.

„Smok Diplodok" jest pełną współczucia i taktu opowieścią o potrzebie zrozumienia i przynależności, słabościach, które należy zaakceptować, oraz sprawczości, z której trzeba wpierw nauczyć się korzystać. To także dopieszczony wizualnie, widowiskowy blockbuster, wypełniony po brzegi wartką akcją i humorem; przywodzący na myśl tytuły takie jak „Klopsiki i inne zjawiska pogodowe". Jednakże przede wszystkim jest to list miłosny do wyjątkowych komiksów Baranowskiego, które naprzemiennie śmieszą, tumanią i przestraszają.

© REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

RADIO 357

Najciekawsze tematy nowego numeru „Tygodnika" w prasówce Radia 357 – środy o 8.30. Słuchaj na żywo lub w podkastach na Radio357.pl

Dalej jest wojna

ANITA PIOTROWSKA

Damian Kocur nakręcił „Pod wulkanem" tak, żeby drażnić. Celowo przeciąga sceny i bagatelizuje dialogi, lekceważąc nasze narracyjne przyzwyczajenia i zostawiając przestrzeń do interpretacji.

Hańba! W tym roku Polacy wytypowali do oscarowych nominacji film mówiony po ukraińsku i z Ukraińcami w rolach głównych, w dodatku kręcony na Teneryfie. Swoją drogą ciekawe, czy Francuzi mają aż taki problem z tym, że ich reprezentant („Emilia Pérez" Jacques'a Audiarda) jest hiszpańskojęzyczny i dzieje się w Meksyku. I czy Niemców poniża jakoś fakt, iż będzie ich reprezentował film mówiony w języku farsi („The Seed of the Sacred Fig" Mohammada Rasoulofa), zaś Brytyjczyków dzieło w hindi („Santosh" Sandhyi Suri). „A Wołyń nadal nierozliczony" – napisał jeden z internautów i to powinno wystarczyć za komentarz. Bardziej sensowne wydają się rozważania, czy taki tytuł jak „Pod wulkanem" (w dodatku budzący mylne skojarzenia z głośnym dramatem Johna Hustona z 1984 r.) w ogóle ma szanse na otrzymanie nominacji w kategorii filmu międzynarodowego. To bowiem kino bardzo nieoscarowe, może nawet antyoscarowe, i wszystko, co się za tym pojęciem kryje, uważam za największy atut filmu Damiana Kocura.

Mieli opuścić wyspę następnego dnia, lecz data wylotu – 24 lutego 2022 r. – pokrzyżowała plany. Roman z partnerką Nastią i dwójką jego dzieci, małym Fedirem i nastoletnią Sofiją, wraz z wybuchem wojny utknęli w kanaryjskim raju. Tak rozpoczyna się ta historia i po gdyńskiej premierze wielu widzów marudziło, że rozwija się zupełnie inaczej, niż sobie wyprojektowali. Dramat byłby wtedy, gdyby w patchworkowej rodzinie doszło do ostrego konfliktu: zostać czy wracać. Albo gdyby wisząc na telefonach przeżywali utratę bliskich. A jeszcze „lepiej", gdyby syci Ukraińcy, którym hiszpańscy gospodarze przychylają teraz nieba, zaczęli w końcu odczuwać swoją degradację, chociażby finansową. Albo gdyby natychmiast wyjechali do Polski i tam byli witani chlebem i solą.

Tymczasem nic takiego się nie dzieje. Akcja raczej się zwija, aniżeli rozwija. Bohaterowie pod wpływem szoku popadają w dziwny stan zawieszenia, zaś lęk, niepewność i wstyd (wszak powinni być w Ukrainie, zamiast byczyć się na Kanarach) buduje napięcie, które łatwo uznać za brak napięcia czy wręcz nicniedzianie się. Ale ten rodzaj filmu wyświetla się głównie w naszych głowach. Zwłaszcza że samej wojny nie widać na ekranie, wyciemnienia obrazu wybijają z płynnego rytmu, a każda z postaci przeżywa trudną sytuację na swój własny sposób.

Podobnie aktorzy „Pod wulkanem", poddawani tu, jak często bywa na planie u Kocura, dokumentalnej obserwacji. Scenariusz, pisany wspólnie z Martą Konarzewską, stanowił zaledwie kanwę, albowiem film kręcono tak, żeby uniknąć typowo fabularnej inscenizacji. Sporo w nim momentów improwizowanych bądź przypadkowych, a obok naturszczyków (Anastasija Karpienko, Sofija Berezowska, Fedir Pugaczow) gra w filmie Roman Łuckij, aktor z teatru w Iwano-Frankiwsku, prawdziwa gwiazda w swoim kraju, u nas znany z „Hamleta" Mai Kleczewskiej i jej ukraińskich „Dziadów". Dzięki temu połączeniu osiąga Kocur, doświadczony głównie w pracy z odtwórcami nieprofesjonalnymi, ciekawy efekt. Ma się wrażenie bycia blisko bohaterów, choć jednocześnie zdają się całkowicie wyobcowani i nieprzewidywalni. Znaleźli się „pod wulkanem" i nie jest to wyłącznie monumentalny Teide.

Medium, przez które przesącza się na ekran atmosfera zagrożenia i zagubienia, stanowi Sofija. Zamiast wysyłać koleżankom fotki na Instagrama, dziewczyna snuje się po kurorcie owładniętym karnawałowymi szaleństwami. Wojna, odległa i zarazem bardzo obecna, rozbija tę rodzinę od środka, zasnuwa chmurami kanaryjskie niebo, zamienia zwykłą górską wycieczkę w koszmar.

Zakrawa to na prowokację, ale film został zrobiony właśnie tak, żeby drażnić. Celowo przeciąga sceny i bagatelizuje dialogi, lekceważąc tym samym nasze narracyjne przyzwyczajenia. Irytować ma także społeczno-ekonomiczny status bohaterów – podobnie, jak czasem irytują smartfony

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl

MATERIAŁY PRASOWE LIZART FILM

POD WULKANEM *– reż. Damian Kocur. Prod. Polska 2024. Dystryb. TVP. W kinach od 11 października.*

Damian Kocur to filmowiec, o którym głośno było na długo przed pełnometrażowym debiutem. Jego krótkometrażówki zdobyły kilkadziesiąt nagród w kraju i na świecie (np. „To, czego chcę", „Nic nowego pod słońcem", „Dalej jest dzień"). Za pierwszy film, „Chleb i sól" (2022), otrzymał Nagrodę Specjalną Jury w weneckim konkursie Orizzonti i wiele innych festiwalowych wyróżnień.

w rękach uchodźców czy ich markowe ciuchy, nawet jeśli tylko podrabiane. Kiedy w pewnym momencie Sofija zaprzyjaźnia się z afrykańskim chłopakiem (Wyspy Kanaryjskie są jedną z mekk nielegalnych imigrantów), twórcy filmu dokonują ryzykownej konfrontacji. Gdyby powiedzieć wprost, że wszyscy jesteśmy potencjalnymi uchodźcami, trąciłoby to banałem lub naiwnym uogólnieniem. Toteż Kocur po prostu nas z tym zostawia, nie po raz pierwszy każąc samemu dopowiedzieć sobie resztę.

Jednakże porównania do wczesnej twórczości Rubena Östlunda wydają się bezpodstawne. Wystarczy spojrzeć na wątek rosyjskich wczasowiczów balujących w tym samym hotelu – twórca „Turysty" inaczej by to rozegrał. Polski reżyser bardziej rozrzedza fabułę, niż zagęszcza, dając swoim widzom dużo większą przestrzeń do interpretacji.

Dlatego „Pod wulkanem" nie jest filmem łatwym i to, czy będziemy go oglądać siedząc jak na szpilkach, czy spoglądając na zegarek, zależy w dużej mierze od gustu i temperamentu odbiorcy. Jury zakończonego niedawno festiwalu w Gdyni najwyraźniej się w tym filmie nie odnalazło, nagradzając jedynie Berezowską za debiut aktorski, skądinąd świetny i intensywny w wyrazie.

Nie był to pierwszy raz, kiedy tamtejsi jurorzy prześlepili kino Kocura – „Chleb i sól", dzieło czytelne, dopięte, pod każdym względem spełnione i gdzie indziej doceniane, dwa lata temu też wyjechało z niczym. Razem z „Pod wulkanem" i krótkim „Dalej jest dzień", mimo wszelkich różnic, tworzą zresztą ciekawy tryptyk, połączony tematem migracyjnym. W drugim z wymienionych, nawiązującym nie tylko swoim tytułem do książki Barbary Engelking i Jana Grabowskiego o „żydowskich strategiach przetrwania", współczesny wiejski samotnik ukrywał w domu nielegalnego imigranta. Inspiracją dla „Chleba i soli" był tragiczny incydent w ełckim barze z kebabem.

Tym razem, umieszczając w centrum wydarzeń dobrze sytuowanych obywateli Ukrainy, wystawia na próbę naszą empatię. Bo choć Roman czy Nastia mogą wydawać się nam bliżsi kulturowo, językowo, klasowo, jednocześnie swoim zachowaniem budzą dystans. No i nie wyglądają na „prawdziwych" uchodźców, a wojenna groza cały czas znajduje się daleko poza kadrem. I w dużej mierze od naszej wyobraźni zależy, czy zdołamy ją na własnej skórze poczuć. Albo przynajmniej zobaczyć w napiętych twarzach i nerwowych gestach bohaterów. ©

Lektor:
Nike dla prawdziwej poetki

▪ *Urszula Kozioł*
RAPTULARZ
Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2023, ss. 96.

„...Z NICZYM TU PRZYSZŁAM / I ODEJDĘ Z NICZYM / I WKRÓTCE BĘDZIE JAKBY MNIE NIE BYŁO". Mocny wiersz – znamy go już ze „Znikopisu" (2019) – mocny tom, trochę jakby rekapitulacja, bo z rzeczami nowymi sąsiadują przytoczenia dawnych, powroty. Na przykład do „Legendy gołębia" napisanej po klęsce powstania węgierskiego 1956, gdzie umiera picassowski symbol, „szamoczący się cień gołębia" tonie w Dunaju. Albo do fragmentów poematów, jak „W rytmie słońca 1968", „To i owo" (1982) czy „Lato w mieście" (1983) – to jakby dyskretne przypomnienie, że Urszula Kozioł była zawsze pisarką towarzyszącą sprawom publicznym.

Przede wszystkim jednak „Raptularz" stanowi kolejne ogniwo elegijnego łańcucha, w jaki układają się ostatnie zbiory jej wierszy. „Przytulam się do pamięci / o ukochanym / zanim stracę pamięć / zanim przestanę być". To nie tylko treny po śmierci ukochanego męża, ale i własne pożegnanie ze światem. Powraca wiersz „Nagle powiało na mnie chłodem", z dojmującymi pytaniami: „Kto przeprowadzi mnie przez lód / i nocą ujmie mnie za rękę / kiedy się własnych snów przelęknę / i kto mi szklankę wody poda (...) kto przeprowadzi mnie przez lód / i kto położy na powieki / obojga oczu dwie monety / by udawały szale wagi / choć nie są zdolne nic wyważyć / są jak oboje oczu / ślepe"...

Wraca moja ukochana parafraza cesarza Hadriana: „animulko / babulko / bidulko / już rozchodzą się nasze drogi // ty na niebie / zakwitniesz chmurką / ja się stanę pluskiem do wody". Która pokazuje, że u poetki poczuciu tragizmu istnienia towarzyszy też dystans i poczucie humoru. I nie odstępuje jej wrażliwość językowa, owo szczególne zadomowienie w polszczyźnie, jak w wierszach o dżdżownicy i dżdżu.

Jeden z wierszy wyprowadzony został na stronę tytułową. To fragment „Apokalipsy przedświętojańskiej" z tomu „W rytmie korzeni" (1963), mroczne proroctwo, zapowiedź czasu, gdy „woda odmówi człowiekowi wody / ziemia odmówi człowiekowi ziemi / sól soli / ludzkość się z ludzi wyzbędzie / słów trupi podmuch zmiecie przyszłe słowa / a krzyk skażony sam nic nie wykrzyczy / i ocaleni rozpadną się w ciszy / zakneblowani złomem własnej mowy". Wybrzmiewa dziś mocniej niż kiedyś. Tak to już jest z prawdziwymi poetami... Pani Urszuli Kozioł najserdeczniej gratulujemy nagrody! ©℗

OLGA

Drenda:
Pewna ulotka

Jakiś człowiek wywiesił na słupie wydrukowaną na komputerze ulotkę. Zadał sobie nawet nieco trudu, żeby ją zalaminować – dzięki temu treść nie straci na czytelności po zmianie pogody. Treść zawierała informacje ostentacyjnie fałszywe i dosyć paskudne, można nawet zaryzykować, że spełniające kryteria ściganego przez prawo pomówienia. Ulotka ta z pewnością nie należała do kategorii twórczości właściwej ludziom, którzy czasem rozlepiają lub wypisują na murach manifesty motywowani chorobą. Możliwe, że każdy z nas spotkał się kiedyś z takim człowiekiem i wie, że prześladujące kogoś treści mają swoją własną, rozpoznawalną strukturę i logikę. Takimi działaniami się tutaj nie zajmujemy. Tę ulotkę przykleił ktoś, kto raczej na nic nie choruje, lecz po prostu natrafił, zapewne w internecie, na treści tyleż nieprawdziwe, co ekscytujące, jak to czasami bywa z pomówieniami i zniesławieniami, i w nie uwierzył, choć dlaczego – tego się nie dowiemy.

Na mało wiarygodne treści każdy z nas natrafia przez cały czas i zapewne nieraz bierze je za dobrą monetę. Jednak to, że komuś chciało się tracić czas i pieniądze na zalaminowanie pogłoski (albo raczej paszkwilu), mocniej działa na wyobraźnię. Mam czasem podejrzenie, że ludzie, przynajmniej niektórzy, są w stanie poświęcić wiele, żeby udowodnić, że mieli od początku rację albo tzw. nosa, żeby móc triumfalnie wypalić: „a nie mówiłem?”. Taki ktoś kieruje się poszukiwaniem specyficznej ekscytacji płynącej z rozwiązania zagadki, z wpadnięcia na trop tajemnicy, z dysponowania wiedzą, która innym nie jest dostępna, a na którą świat uporczywie pozostaje obojętny. Czasem obojętność ta bywa zasadna – wtedy, gdy tajemnicy nie ma, gdy ludzi i wydarzeń nie łączą żadne nitki, a świat jest rozczarowująco banalny i nudny. Wyobrażam sobie, bez żadnej ironii czy śmieszkowania, że dla niejednego taki stan rzeczy musi być nie do zniesienia.

Sekrety nie są, jak widać, aż tak sekretne.

OLGA DRENDA

Umieszczenie w przestrzeni publicznej ulotki to w takiej optyce już niebanalny akt i pewnie nieprzypadkowo ktoś decyduje się właśnie na takie medium. W końcu w reżimach, w których ludzie są naprawdę prześladowani za wolność myśli i wypowiedzi, taki z pozoru błahy czyn bywa prawdziwym bohaterstwem. Próbuję iść śladem mojego wyobrażonego ulotkarza ze współczesnej Polski – w której może nie wszystko mówić wypada, ale można na pewno dużo, a z pewnością się za takie rzeczy nie ginie – i przypuszczam, że chciałby być on głównym bohaterem swojego własnego filmu, rozgrywającego się pod jakimś butem. Intryga polega tu na konieczności podzielenia się wyzwalającą wiedzą, której szerokie masy nie mają lub odmawiają przyjęcia do wiadomości – i próbie otwarcia im oczu, niczym w „Wojnie światów” Szulkina (gdzie, swoją drogą, próba taka spełzła na niczym, bo ludzie nie byli zainteresowani). Chciałby być kimś, kto obnaży zło i uratuje porządek.

Specjalnie nie piszę, czego dotyczyła ulotka – była to w oczywisty sposób nieprawda, lecz nie chcę i nie zamierzam wciągać się w polemiki, nie będę również publikować wyrazów oburzenia w mediach społecznościowych; poza tym, być może podobnie jak jej dystrybutor, jestem zwolenniczką wolności słowa (również głupiego), choć zapewne inaczej to pojęcie rozumiemy. Interesuje mnie raczej coś innego: fakt, że scenariusz bardziej prawdopodobny i zapewne ten realny jest dla całkiem wielu ludzi zapewne po prostu banalny, nudny. Dlatego rodzi się pokusa, by wybrać nieco bardziej niebezpieczną i wywołującą dreszcz wersję tego, co w terminologii mediów społecznościowych nazywa się ostatnio, w dość niezgrabny sposób, „romantyzowaniem swojego życia”.

Ulotkarz wiedziony potrzebą donioślejszych przeżyć decyduje, że porywająca nieprawda, w której rzeczy i zdarzenia muszą mieć swoje tajne podszewki, jest lepszym sposobem na życie niż trzymanie się jakiejś nudziarskiej sprawdzalności. Coś traci – np. względny spokój ducha (który łatwiej osiągnąć, gdy przyjmiemy, że zagadki miewają zwykle rozczarowujące rozwiązania), ale też coś zyskuje – np. wciągające poczucie misji, nawet kosztem cudzego dobrego imienia (w tym wypadku bohatera ulotki). Uznaje to za nieprzystawalność umysłów, z której istnieniem trzeba się liczyć. Choć niewykluczone, że w jakimś kafkowskim twiście to zupełnie nieznajoma mu osoba z gazety, jak ja, mogłaby zostać mimo woli obsadzona w jego opowieści. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską”, „Wyroby” (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru”.

PAWEŁ

Bravo:
Z plastikowego gwinta

Trzydzieści lat, mniej więcej, to wiek cezury pokoleniowej, jeśli chodzi o doznania zmysłowe z dzieciństwa wywołane przez wytwory kultury materialnej. Traktowane, dodajmy, nie zawsze zgodnie z ich przeznaczeniem zaprojektowanym przez dorosłych. Żaden peerelowski technolog nie przewidywał, że skoro dorwiemy tubkę mleka skondensowanego, to będziemy ten rzadki cymes tak mocno ssać i dociskać zębami, że zacznie ranić do krwi. Może to właśnie dzięki temu wiem do dziś, że każde słodkie musi być, dla większej ekstazy, przełamane słonym lub kwaśnym. Albo czy ktoś z tytułem inżyniera płaskich baterii przewidywał, że blaszkowate elektrody posłużą milionom malców do drażnienia języka, dzięki czemu zrozumieją, czym jest próbnik napięcia, na wiele lat przed pierwszą lekcją fizyki?

Katalogiem takich doznań kupił mnie Michał Witkowski, autor autobiografii „Wiara", świeżo nagrodzonej czytelniczą Nike. Jest zdradliwie zabawna i potoczysta – bo pod figlami i pociesznymi dramatami dzieciństwa autor zręcznie poukrywał pierwociny sytuacji egzystencjalnych, których doświadczamy, mając kilkadziesiąt lat więcej niż tamten dzieciak wdychający „trampkowy zapach składnicy harcerskiej".

Odkładając z uznaniem Witkowskiego: czy da się potem wdrapać na ten pokoleniowy płot? Jakie doznania zostaną moim dzieciom? Czy, wystawione na kontakt z setkami plastikowych opakowań, będą rozróżniać smakowe niuanse? Teraz jest już większy wybór, ale dwie dekady temu rodzic mimowolnie rzucał potomstwo w dżunglę plastiku. Przeczuwał przy tym, że to nie jest obojętne dla zdrowia (i planety). Dziś sporo wiadomo, ile wchłaniamy do ciała substancji z opakowań, nawet tych atestowanych po stokroć. Im bardziej coś tłuste albo kwaśne, tym więcej potrafi „pobrać". Także alkohol, rozpuszczalnik nie tylko smutków i zgryzot.

Dziwiło mnie zatem, że przy całej fali wzmożenia wokół wódki w saszetkach nikt nie zauważył tego aspektu: że to kolejny paskudny, zbędny plastik. W tym sensie równie szkodliwe są owocowe musy i soczki w tych wszechobecnych kapciach z zakrętką. Proporcja plastiku do jabłuszka zaiste haniebna, szlag mnie trafia, kiedy widzę, jak się to zrobiło powszechne. Taki sam szlag, jaki budzi widok całodobowej wódy popakowanej w (mniej obciążające środowisko) szklane małpki.

Sto mililitrów golnięte ze szkła ma ten sam efekt, co wyssane z plastiku – skąd więc ten szum? Bo opakowanie kojarzy się tak bardzo dziecięco, niewinnie malinkowo, z huśtawką i piaskownicą. Wóda pożyczyła imaginarium z placu zabaw i to się nałożyło na absurdalnych rozmiarów panikę moralną, w jaką popadamy, kiedy coś zahacza o dzieci. Jest ich coraz mniej dookoła, więc tym bardziej nadają się na totem wszelkich strachów. Im mniej prawdziwych dzieci, tym łatwiej pod dziecięcy fantazmat podkładać cokolwiek. Skądinąd, kiedy już napotkamy te realne, traktujemy je coraz częściej jak obce ciało, przeszkadzajkę, o czym świadczą rozliczne awantury o hałas z placu zabaw czy boiska. Podwórkowy zgiełk stanowił kiedyś składnik dźwiękowego tła na równi ze zgrzytem tramwaju i gwiżdżącym czajnikiem. Dziś zaburza higieniczną ciszę.

Uwiera nas, ciągle szukających jakichś form wstępnego zbawienia na Ziemi, fakt, że nie ma ludzkiej kultury bez środków zmieniających świadomość. Ściśle reglamentowanych, ale stale obecnych. Ludzkość nauczyła się posługiwać fermentacją mniej więcej równolegle do udomowienia zboża. Nie da się tego rozdzielić, choćby nam było z tego powodu głupio. Pełni wyrzutów za te lub inne, nie całkiem uświadomione winy, rzucamy się czasem obłudnie na zastępczą ofiarę. Wstydźmy się najpierw saszetek jako takich, a nie tego, co jakiś spryciarz do nich zapakował. Plastikowy gwint nie zrani dziecka do krwi, ale to chyba jedyna jego zaleta.

LECKERSTUDIO / ADOBE STOCK

Kalmary in zimino

Nie, nie na zimno. Jest już jesień! In zimino to liguryjskie określenie potraw w sosie z udziałem buraka liściowego, który wciąż jeszcze pojawia się na naszych straganach i warto go jakoś smakowicie pożegnać. W wersji wege ten sos pasuje świetnie np. do cieciorki.

300 g kalmarów 1 pęczek mangolda, czyli buraka liściowego 1 cebula 1 marchew 1 gałązka selera naciowego 100 ml białego wina 3 pomidory z puszki

Kroimy w paski liście mangolda i miększą część łodyg, podduszamy na oliwie z czosnkiem kilka minut, aż zwiędną. Na osobnej patelni dusimy drobniutko pokrojoną marchew, cebulę i selera (można dodać też ostrej papryczki). Zwiększamy ogień, dodajemy mangolda, wrzucamy kalmary krojone w paseczki, podlewamy winem. Kiedy odparuje, redukujemy ciepło, dodajemy pomidory, rozgniatamy je, przykrywamy całość i dusimy 20-30 minut, ewentualnie podlewając wodą i mieszając co jakiś czas, aż kalmary będą gotowe. ©℗

Zapisz się na newsletter – co piątek przepisy na Tygodnikowy lunch, obiad i deser w Twojej skrzynce: powszech.net/tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

MATERIAŁY PRASOWE

Tylna strona okładki płyty Lady Gagi, „Harlequin", 2024 r.
Po prawej: fotografia Jana Matejki ze zbiorów Muzeum Pamiątek po Janie Matejce „Koryznówka" w Nowym Wiśniczu.

BŁAZEN NARODOWY

Przez okładkę albumu Lady Gagi i przez drzwi Luwru nasz Stańczyk dołącza do pocztu europejskich figur mądrego głupca. Na obrazie Matejki, wokół którego krąży wiele przekłamań.

MAGDALENA ŁANUSZKA

Lady Gaga właśnie wydała album „Harlequin", w nawiązaniu do swej roli w najnowszym filmie „Joker: Folie à Deux", w którym zagrała u boku Joaquina Phoenixa. Jej postać – Harley Quinn – to dziewczyna Jokera; wszystko to, rzecz jasna, krąży wokół kulturowych tradycji związanych z błaznami, clownami, wesołkami. A na okładce ekskluzywnego wydania winylowego płyty „Harlequin" znalazło się zdjęcie wnętrza, w którym na ścianie wisi... „Stańczyk" Jana Matejki!

Co więcej, nasz obraz nie tylko wkroczył do światowej popkultury, ale także ma szanse dotrzeć już wkrótce do zagranicznego grona wielbicieli sztuki za sprawą wypożyczenia do paryskiego Luwru. Od połowy października 2024 do lutego 2025 r. płótno będzie bowiem eksponowane w ramach wystawy czasowej „Figures du fou", poświęconej postaciom błaznów w kulturze od średniowiecza po wiek XIX.

MICHAŁ KLAG / DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

ŚREDNIOWIECZNY SZOŁBIZNES | Słowo „błazen" ma wydźwięk nieco pejoratywny, potocznie określamy nim osobę niepoważną, choć i tak nie jest to chyba tak negatywne jak angielski „fool", oznaczający po prostu głupca. W średniowiecznej sztuce europejskiej błazny występowały jako uosobienie ludzkich słabości i grzeszności – mnóstwo postaci w charakterystycznych czapkach z dzwoneczkami znajdziemy wśród dekoracji gotyckich katedr i w zabawnych obrazkach na marginesach rękopisów.

Liczne średniowieczne i nowożytne grafiki, rysunki oraz miniatury ukazywały błaznów w kontekście satyry o podtekście seksualnym – trefnisia, który symbolizuje grzeszne chucie, znajdziemy na przykład w przedstawieniach kobiet walczących o męskie majtki, rozwiązłych zakonnic czy niewiernych żon. Ten ostatni przykład ilustrują dwie miniatury w krakowskim „Kodeksie Baltazara Behema" z pocz. XVI w. W jednej błazen flirtuje z kramarką, w drugiej – z żoną szewca. Jeśli zaś chodzi o zakonnice, to wyjątkowo interesująca jest antykatolicka grafika niemiecka z połowy XVI w. (z podpisem „Flaisch macht Flaisch") ukazująca zakonnicę usiłującą przekupić kota, aby za rybę dał jej męskie genitalia, które trzyma w pysku (podczas gdy błazen macha przez okno męskimi majtkami). A to tylko wybrane przykłady spośród mnóstwa przedstawień, z których wiele balansuje na granicy pornografii.

Ta wulgarność postaci błazna w sztukach wizualnych zapewne czerpie z rzeczywistości. Ale nie każdy trefniś musiał wpisywać się w te schematy. Na dworach królów i arystokratów oczywiście zatrudnieni byli dostarczyciele rozrywki – często specjalizujący się w „błazeństwach" opartych na zręczności (akrobacje, żonglerka) czy żartach niewysokich lotów, ale nierzadko również będący wysokiej klasy artystami: muzykami, poetami, aktorami.

Choć zawód błazna wydaje się niezbyt szlachetny, to zachowane rachunki wskazują, iż już w średniowieczu „szołbiznes" mógł przynosić niezłe dochody i zapewniać wysoką pozycję na dworze. Przykładowo, *jongleur* o imieniu Berdic otrzymał od Wilhelma Zdobywcy aż trzy wsie w Walii, zaś inny przedstawiciel tej profesji, niskorosły mężczyzna o imieniu Turold, został uwieczniony w słynnej jedenastowiecznej Tkaninie z Bayeux jako członek ważnej politycznej delegacji. Również księgi wydatków z czasów Jagiellonów wskazują, że i błazen na Wawelu mógł zarabiać dużo. Tak przynajmniej było w przypadku Stańczyka.

TREFNIŚ I PROROK | Nie jest prawdą, że jego legendę stworzono w XIX wieku. Stańczyk faktycznie był błaznem na dworze ostatnich Jagiellonów. Jego imię pojawiało się w utworach takich renesansowych twórców jak Klemens Janicki, Jan Kochanowski czy Mikołaj Rej, którzy widzieli w nim człowieka mądrego i miłującego prawdę.

Wiemy, że Stańczyk żył długo (urodził się około 1470 r., a zmarł po 1556) oraz najprawdopodobniej był szlachcicem. W źródłach określano go jako błazna-rycerza (łac. *miles-histrio*, *miles-morio*, *miles-mimus*), jest też wzmianka o „rycerzu okaleczonym" – być może zatem pracę dworskiego trefnisia Stańczyk podjął po tym, jak jakaś poważna rana czy wypadek zakończyły jego karierę wojskową. Niektórzy badacze utożsamiają w związku z tym słynnego błazna ze wspominanym w królewskich rachunkach Jana Olbrachta i Aleksandra Jagiellończyka „rotmistrzem Stańczykiem". Bowiem „Stańczyk" to raczej nie zdrobnienie od imienia „Stanisław", lecz najprawdopodobniej nazwisko, notowane wśród polskiej szlachty co najmniej od XIV wieku.

Osobnym problemem jest obecność w ówczesnych tekstach, np. we fraszkach Kochanowskiego, niejakiego Stasia Gąski. Jedni uważają, że chodzi właśnie o Stańczyka (a „Gąska" miałoby być określeniem błazna), inni zaś odrzucają tę hipotezę. W końcu na królewskim dworze profesjonalnych wesołków mogło być kilku. O ile zaś Staś Gąska wydaje się typowym prostym trefnisiem, o tyle Stańczyk – najprawdopodobniej człowiek wykształcony – miał chyba wyższą pozycję, bardziej adekwatną do swego szlacheckiego pochodzenia.

Otóż Stańczyk miał odważnie krytykować poczynania króla: Łukasz Górnicki i Stanisław Orzechowski wspominali, że błazen przy okazji ślubu królewny Izabeli z królem Węgier Janem Zapolyą w 1539 r. złośliwie sugerował Zygmuntowi Staremu zakup nieruchomości (kamienicy lub karczmy), który zapewnić miał królewnie utrzymanie, gdy straci ona władzę. Czy przewidywał, że narzeczony, starszy od Izabeli o 32 lata, umrze niecałe półtora roku po ślubie?

Najsłynniejsza anegdota, która ugruntowała wizerunek Stańczyka jako dalekowzrocznego mędrca, znalazła się w późnym wydaniu „Kroniki Polskiej" Marcina Bielskiego z 1597 r. To opowieść o niefortunnym „ustawionym" polowaniu w Niepołomicach, w czasie którego królowa Bona spadła z konia, w wyniku czego poroniła syna. Błazen miał chwilę wcześniej zwrócić uwagę królowi, że głupcem jest, kto „mając niedźwiedzia w skrzyni, puszcza go na swoją szkodę", choć trudno założyć, że rozmiary owej szkody – brak kolejnych męskich potomków i wygaśnięcie dynastii Jagiellonów – ktokolwiek mógł wówczas przewidzieć. Tak czy inaczej, Stańczyk zyskał ↦

↦ status proroka – szczególnie w oczach późniejszych pokoleń Polaków.

MATEJKO I JEGO STAŃCZYK | Jan Matejko to twórca naszej narodowej wyobraźni. Jego obrazami myślimy o polskich władcach czy o wydarzeniach takich jak hołd pruski albo bitwa pod Grunwaldem. A na wzmiankę o Stańczyku staje nam przed oczami smukły młodzieniec w czerwonym stroju, w czapce z dzwoneczkami – mężczyzna o wyrazistych brązowych oczach i szczupłej twarzy z ciemną brodą i wąsami. Ukazując najsłynniejszego polskiego trefnisia, Jan Matejko malował samego siebie.

Skąd u Matejki już w młodości wzięła się fascynacja tą postacią? Czy od zawsze identyfikował się z „mądrym błaznem" – obiektem drwin, który okazuje się znacznie bardziej przenikliwy niż jego współcześni? To niewykluczone, bo prawdopodobnie za młodu sam Matejko był wyśmiewany przez rówieśników. W szkole uważano go za niezbyt bystrego chłopca, który nie umie się wysłowić; jego ojciec, František Matějka, był Czechem, przez co Jan nie wyniósł z domu biegłości w literackiej polszczyźnie. Matka, pochodzenia niemieckiego, zmarła, gdy przyszły malarz miał 7 lat. Wątły chłopiec miał w dodatku oszpeconą twarz – skutek zaniedbania z dzieciństwa. František, ojciec jedenaściorga dzieci, nie zauważył, kiedy Janek złamał nos, który w rezultacie zrósł się bardzo krzywo. Choć Matejko nadawał swemu Stańczykowi własne rysy, to ów garbaty nos jednak retuszował.

W wieku 18 lat namalował obraz przedstawiający Stańczyka udającego ból zębów, a później ukazywał błazna Jagiellonów jeszcze wielokrotnie, w bardzo różnych scenach. Na najsłynniejszych Stańczyk jest zatroskany: w obrazie, którego reprodukcję wykorzystała Lady Gaga, oraz w „Hołdzie Pruskim".

To pierwsze płótno Matejko stworzył w wieku 24 lat. Z jednej strony jest bardzo znane i uważane za niezwykle ważne dzieło w dorobku młodego jeszcze wówczas malarza. Z drugiej strony, na jego temat krąży mnóstwo niedomówień czy wręcz przekłamań. Na czele z tymi, jakoby Matejko, tworząc to dzieło, pomylił się w kwestiach historycznych.

DOMENA PUBLICZNA X2

TO NIE BŁĄD | Bohaterem obrazu jest zatroskany błazen, zamyślony, siedzący w samotności. W sąsiedniej sali, w tle, odbywa się bal, za oknem nocne niebo rozświetla kometa. W mroku widoczny jest także zarys krakowskiej wieży katedralnej, a zatem rzecz dzieje się na Wawelu. Na stole leży list z pieczęcią – czytelny jest jedynie napis „Samogitia A.d. MDXXXIII", czyli „Żmudź, roku pańskiego 1533".

Nawiasem mówiąc, w owym roku rzeczywiście pojawiła się kometa, trzecia z kolei (poprzednie obserwowano w latach 1531 i 1532), która była tematem dyskusji ówczesnych naukowców, a wśród nich i Mikołaja Kopernika. A to m.in. ze względu na ruch przeciwny do kierunku poruszania się planet. Tradycyjnie uznano zresztą, że i ta kometa zwiastuje nieszczęście.

Zarzut, jakoby Matejko się pomylił, wynikł zapewne z faktu, że osobisty sekretarz malarza Marian Gorzkowski zanotował tytuł tego obrazu jako: „Stańczyk w czasie balu na dworze królowej Bony wobec straconego Smoleńska" oraz „Stańczyk w czasie balu na dworze królowej Bony po utracie Smoleńska". Niestety, w którymś momencie w literaturze zrobiło się z tego „Stańczyk w czasie balu na dworze królowej Bony, kiedy wieść przychodzi o utracie Smoleńska". I tu pojawił się duży problem. Utrata Smoleńska na rzecz Wielkiego Księstwa Moskiewskiego nastąpiła w roku 1514, gdy królową była poprzednia żona Zygmunta Starego, Barbara Zapolya. Uczepienie się wspomnianego przez Gorzkowskiego Smoleńska sprawiło, że obraz bywał interpretowany w ten sposób: oto przychodzi wieść o utracie Smoleńska, ale dwór nie przerywa zabawy – i tylko Stańczyk dalekowzrocznie przewiduje, że lekceważenie Moskwy zemści się w przyszłości, a dalsze moskiewskie zdobycze kosztem Polski i Litwy doprowadzą w końcu do rozbiorów Rzeczypospolitej.

Tymczasem zamysł malarza był najprawdopodobniej bardziej złożony. Absolutnie nie powinniśmy zakładać, że Matejce pomyliły się lata i królowe, skoro w samym obrazie zawarta jest data 1533. Wówczas królową rzeczywiście była Bona, zaś utracony prawie dwie dekady wcześniej Smoleńsk o tyle wrócił do gry, że wygasło zawieszenie broni zawarte z Moskwą. Zygmunt Stary zdecydował się wówczas na wojnę, m.in. po to właśnie, aby Smoleńsk odzyskać.

MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Jan Matejko, „Stańczyk", 1862 r.

Po lewej od góry:
Urs Graf, rysunek ok. 1525, Bazylea, Offentliche Kunstsammlung, Kupferstichkabinett

Grafika niemiecka „Flaisch macht Flaisch", Rijksmuseum, Amsterdam, 1555 r.

Niestety, próba mobilizacji pospolitego ruszenia na Żmudzi okazała się porażką. Choć szlachta się nawet stawiła, natychmiast wybuchły kłótnie o to, kto ma dowodzić. Sytuację pogorszyły jeszcze animozje wśród elit: Ilia Ostrogski, książę wołyński, starosta bracławski i winnicki, wszedł w konflikt z Jerzym Radziwiłłem, hetmanem wielkim litewskim (mimo że Ostrogski był wówczas zaręczony z córką Radziwiłła, której zresztą nigdy nie poślubił). Hetman umieścił hufiec Ostrogskiego wśród oddziałów ziemskich, odmawiając mu należnego osobnego miejsca w armii litewskiej. Wtedy szlachta żmudzka odmówiła podporządkowania się hetmanowi i założyła własny obóz, wybierając jeszcze innego wodza. Król zagroził na to Żmudzinom utratą ziemi i urzędów, a konflikt ostatecznie udało się pozornie tylko zażegnać. Oczywiście taka sytuacja w wojsku nie wróżyła zwycięstwa w konfrontacji z Moskwą.

MALARZ I POWSTANIE | Jest jeszcze jeden element obrazu, który czasem wytyka się Matejce jako błąd: widoczny za oknem hełm wieży katedralnej powstał w XVIII w. wedle projektu Kacpra Bażanki. Nie powinno go więc być w przedstawieniu Stańczyka! Najprawdopodobniej jest to świadomy anachronizm – Matejko w tle kilku swoich obrazów umieszczał architekturę Krakowa w formach sobie współczesnych. To wskazówka dla nas, że dzieło trzeba odczytywać ponadczasowo.

Otóż zamysł Matejki odnosił się do sytuacji mu współczesnej. XVI-wieczny błazen zafrasowany jest działaniami Polaków w roku 1533, ale zarazem artysta – który pod postacią Stańczyka ukazał samego siebie – widzi podobną zapowiedź klęski we współczesnych sobie czasach. Szkic olejny do obrazu „Stańczyk" powstał w roku 1861, gdy po serii krwawo stłumionych manifestacji patriotycznych w Królestwie Polskim Kościół katolicki ogłosił żałobę narodową. Jeszcze w tym samym roku obwieszczono w Królestwie stan wojenny (1861-1862) – kolejne burzliwe wydarzenia doprowadziły w końcu do powstania styczniowego, które wybuchło 22 stycznia 1863 r. w Królestwie Polskim, a 1 lutego 1863 na Litwie. Gotowy obraz Matejko zaprezentował publicznie, gdy powstanie już trwało – dzisiaj często zapominamy o tym kontekście. Mówiąc wprost, młody Matejko nie oceniał wysoko szans na powodzenie powstania styczniowego, widząc w nim nieprzygotowany zryw przeciwko Rosji, przewidując chaos w dowodzeniu i ostateczną klęskę. Podobnie jak jego Stańczyk, widział, że Żmudzini nie są gotowi, aby skutecznie walczyć z Moskwą.

Jednak Matejko w zaborze austriackim żył w innej rzeczywistości niż mieszkańcy Królestwa Polskiego. Podczas gdy upadek powstania styczniowego zaowocował wielkimi represjami, szczególnie na Litwie, to akurat Galicja uzyskała w latach 1865-1873 autonomię. Tutejsi konserwatyści dostrzegali potencjalne korzyści w rozsądnych kompromisach z dość liberalną władzą z Wiednia, argumentując, że nieudane zrywy narodowowyzwoleńcze tylko umacniają zaborców i ostatecznie pogrążają marzenia o niepodległości. Słynny pamflet polityczny opublikowany w „Przeglądzie Polskim" w 1869 r., który stanowił krytykę powstania styczniowego i odrzucał romantyczną mesjanistyczną postawę, miał tytuł „Teka Stańczyka" – stąd też galicyjskich konserwatystów zwano „Stańczykami".

Jeśli zaś chodzi o losy obrazu Matejki, to najpierw kupiło go Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych, które co roku losowało wśród członków-akcjonariuszy dzieła sztuki zakupione przez Zarząd. I tak, w wyniku losowania, „Stańczyk" trafił w ręce niejakiego pana Korytko spod Kołomyi. Sprzedawany potem do kolejnych prywatnych kolekcji, w 1924 r. został nabyty przez Muzeum Narodowe w Warszawie. Obraz zaginął w czasie II wojny światowej – jeszcze w 1955 r. określany był w publikacjach jako „wywieziony przez hitlerowców", ale odnalazł się... w ZSRR. Powrócił do MNW na mocy umowy kulturalnej z 1956 r., gdy strona radziecka zwróciła Polsce 12,5 tys. dzieł sztuki.

POCZET BŁAZNÓW | Nie mam oczywiście złudzeń – obecność obrazu Matejki w popkulturze czy to polskiej, czy światowej, nie wiąże się z głębszą analizą tego dzieła. Z drugiej jednak strony, paradoks „mądrego głupca" jest mocno osadzony w kulturze europejskiej – chyba już od greckiego teatralnego chóru satyrów, w ramach którego mityczne istoty, groteskowe i uosabiające dzikie popędy, stawały się przenikliwymi komentatorami rzeczywistości. Dalekowzroczność i odwaga w mówieniu prawdy, nawet tej niewygodnej, to też cechy np. szekspirowskich błaznów.

Na tym tle osadzony jest i polski Stańczyk. Nie trzeba zatem koniecznie zagłębiać się w lokalne historyczne konteksty, żeby docenić portret zamyślonego błazna Jagiellonów. Za to na pewno można się cieszyć, że nasze dzieło sztuki, reprezentujące niewątpliwie wysoką klasę artystyczną oraz ukazujące ważną postać dla polskiej historii i kultury, znalazło popkulturową drogę do wstąpienia w ów poczet europejskich błaznów.

© MAGDALENA ŁANUSZKA

STANISŁAW

Mancewicz: *Świat alkoholi*

Przyszły takie czasy na Polskę, że na alkoholu można nie tylko stracić, ale można przez alkohol gruntownie zbankrutować. Jest to – jak tu ponuro siedzimy – nowość nie tylko dla nas, ale zapewne dla najszerzej liczonej etni, zamieszkującej wszystkie znane nam dorzecza od Odry po Bug. Oczywiście, znalezienie się w więzieniu za przestępstwa popełnione pod wpływem alkoholu to w Polsce norma, ale fakt, że na produkcji wódki można stracić i także stanąć przed surowym obliczem trzeźwego prokuratora, to już jest nowość. Nowość, biorąca się być może z zapatrzenia w obce wzorce kultury osobistej w tym tzw. kultury picia oraz kultury handlu.

A więc – popatrzmy – energiczny, powszechnie znany przedsiębiorca, polityk, działacz kultury, obiecujący literat i kucharz, popadł w zasadnicze kłopoty finansowe i kodeksowe z powodu – jak czytamy – m.in. zbyt małego popytu na napoje alkoholowe przezeń produkowane. Sprzedawał za mało, więc popadł w długi. Tego za naszych młodych lat nie było, żeby alkohol stał w sklepie na półce, niekupowany, żeby jakakolwiek kropla, czy to słodka, czy kwaśna, szła na zmarnowanie, żeby producent miał problemy ze zbytem. Dla ludzi starszych opowieść o bankructwie producenta alkoholu z powodu zbyt małego popytu jest szokująca, ale i napawająca lękiem przed mentalną obcością młodszych pokoleń. Owe – popatrzmy – mają, zdaje się, za nic chlubne tradycje wykupywania na pniu przez ich pradziadów dowolnego destylatu bądź produktu ofiarnej pracy browarników. Są to wartości dla młodzieży dzisiejszej śmiechu warte. W ten sposób na naszych oczach giną wyróżniające nas w świecie cechy. Radzilibyśmy dziś wszystkim odczuwającym satysfakcję z doli uwięzionego biznesmena, by odgarnęli brudną pianę i zerknęli w głąb zacieru polskiej obyczajowości, by zastanowili się nad przyszłością naszej osobności i naszego trwania.

Druga historia – także alkoholowa i także międlona – dotyczy konfekcjonowania wódki w saszetkach. Chodzi o kolorowe torebeczki, które znalazły się w sklepach w ramach „misji przedefiniowania doświadczenia picia alkoholu". Uwielbiamy język misjonarzy polskiego biznesu, uwielbiamy nowe pomysły, uwielbiamy zawsze „nieszablonowy design" i „zabawę konwencją". Jesteśmy przekonani, że gdyby nie błyskawiczna i jak zawsze impulsowa akcja polskich polityków i urzędników, torebeczki z wódką by się przyjęły i zrewolucjonizowały tzw. szybkie picie. Nie stanie się tak z powodu, który wydał się nam naciągany, że mianowicie dzieci mogłyby pomylić saszetki z wódką z saszetkami z musem owocowym. Oczywiście, na temat postrzegania, spostrzegania i powodów spożywania czegokolwiek przez dzieci mamy stosunkowo mało do powiedzenia, ale obejrzeliśmy sobie nieco produktów sprzedawanych w ładnych, kolorowych saszetkach. Dla przykładu: nie słyszeliśmy, by nieletni pili płyn do mycia naczyń bądź żelik do czyszczenia grobowców w atrakcyjnej dziś i cenie, i torebce, będący także substancją, której treścią jest spirytus. Na ile się orientujemy, dzieci zawsze wiedzą, co piją, bowiem mają rozum.

Sumując – uważamy akcję usunięcia ze sklepów wódki w saszetkach za celną, ale z innego powodu. Otóż konfekcjonowanie wódki w ten sposób mogło przyjść do głowy komuś, kto – jak kiedyś powiedział Jacek Kurski przy nieco innej okazji – jest oderwany od wspólnoty aksjologicznej Polaków. Wódka powinna być zimna i sprzedawana w butelkach szklanych i przeźroczystych. Żeby się nie pomyliła z koniakiem. ©

Stanisław Mancewicz pracuje w Instytucie Literackim w Paryżu. Mieszka w Krakowie.

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TYGODNIK POWSZECHNY

PREMIERA

WYDANIE SPECJALNE
SZTUCZNA INTELIGENCJA

Już w sprzedaży, w najlepszych salonikach prasowych i kioskach.
W środku (150 stron na eleganckim papierze i z kredową okładką, a kosztuje tylko 30 zł).

O AI opowiadają: ▪ Agata **KAŹMIERSKA** i Wojciech **BRZEZIŃSKI** ▪ Łukasz **LAMŻA** ▪ Aleksander **MĄDRY** ▪ Michał **KOSIŃSKI** ▪ Jacek **DUKAJ** ▪ Tomasz **STAWISZYŃSKI** ▪ Michał **KRASENKOW** ▪ Evanna **HU** ▪ Dariusz **KOT** ▪ Katrin **AMUNTS** ▪ Aleksandra **PRZEGALIŃSKA** ▪ Piotr **DURKA** ▪ Olga **DRENDA** ▪ i inni.

Weź, czytaj i rośnij z nami!

Przereklamowana czy nie, sztuczna inteligencja już wśród nas jest. A jej obecność budzi nie tylko ekscytację, mniej lub bardziej adekwatne nadzieje i fantazje, ale także – zasadne niepokoje. Np. o sposób prowadzenia wojen, stan naszej debaty publicznej, przyszłość demokracji, granice między realnością i nierealnością, czy (bliżej ciała) kształt zwykłych, międzyludzkich relacji.

Gotowych odpowiedzi, jak zwykle, nie sugerujemy. I nawet jeśli bez trudu znajdą Państwo chatbot, który przeczyta to wydanie, a następnie spróbuje takie odpowiedzi podsunąć – ośmielam się jednak zaproponować samodzielną lekturę. O tym zresztą również jest tutaj mowa: rewolucja AI może sprawić, że zyskamy więcej czasu na czytanie – dla przyjemności.

MICHAŁ OKOŃSKI
REDAKTOR WYDANIA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. GRAŻYNA MAKARA

REKLAMA

Dookoła Islandii – wulkany, gejzery i lodowce

Wspaniała wyprawa dookoła wyspy słynącej z gorących źródeł, potężnych wodospadów i barwnej historii zapisanej w starych nordyckich sagach.

8 dni | Wyloty z Warszawy
25/04, 03/06, 29/07 2025 od **10.998,-**

Jezioro Garda i Północne Włochy

Program wycieczki: Dz.1 Wylot z Warszawy do Mediolanu. Piesza wycieczka po San Zeno i degustacja lokalnych przysmaków. **Dz. 2** Rejs po jeziorze Garda, czas wolny w Malcesine. **Dz. 3** Wenecja. Rejs po Canal Grande i zwiedzanie miasta. **Dz. 4** Całodzienna wycieczka do Werony i degustacja wina Amarone w Valpolicella. **Dz. 5** Alpejska sielanka w Tyrolu Południowym: Merano i Tirolo. **Dz. 6** Dzień do własnej dyspozycji. **Dz. 7** Przejazd do Mediolanu i podróż powrotna do domu.

7 dni | Wyloty z Warszawy
09/04, 23/04 2025 **5.498,-**

USA – Wschodnie Wybrzeże

Filadelfia, Waszyngton, Nowy Jork, Boston, Nowa Anglia czyli podróż do kolebki USA z bogatą historią i wielkimi miastami oraz wodospad Niagara – potęga natury.

11 dni | Wyloty z Warszawy
02/05, 19/09 2025 od **15.998,-**

albatros.pl | rezerwacja **+48 22 128 48 81**
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8 p.

Kod reklamy: TP05

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.